KLEMENS JUNOSZA.

Z ZAPADŁYCH KĄTÓW.



WARSZAWA. Nakładem Księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Pannie Helenie Szymańskiej od autora
Warszawa 2 Marca 1891.

Klemens Junosza.

Z ZAPADŁYCH KĄTÓW.

OBRAZKI.

Stracone szczęście. — Z pamiętników roznosiciela. — Młynarz z Zarudzia.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.

1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Октября 1890 года.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

I.

Pierwsze utarczki poranku z nocą, światła z ciemnością, już się zaczęły na wschodzie.

Jak przednia straż słonecznych promieni, bladawa smuga światła zarysowała się na samym skraju widnokręgu, obejmując część ziemi, niby wspaniałym pasem litym, znalezionym w niewyczerpanéj skarbnicy starych a zawsze nowych cudów przyrody.

Drobne ptaszki w polu odzywać się zaczęły, witając nadchodzący dzień; gwiazdy, mrugając trwożnie, bladły, noc ustępować zaczynała powoli, broniąc panowania swego zaciekle.

Łąki, wody, doliny były jeszcze w jéj mocy, ale wieżyczka kościelna, smukłe topole i lipy prastare wydobywały się już z oceanu mroków. Ciemność ustępowała światłu i zdawała się rzucać groźbę złowrogą:

— Poczekaj, ty jasne! ty słońce! ustąpisz mi wieczorem, a mroki moje ogarną świat cały!

Odwieczna, zawzięta, codzień praktykowana rewolucya i reakcya odbywała się na niebie. Mrok ustępo-

wał powoli, nieznacznie, cofał się w porządku, uznając konieczność, ale za wygranę nie dając.

We wsi ruchu jeszcze nie było, ludzie spali snem spracowanych, a taki sen najtwardszy.

Z chaty, najbliżéj kościoła położonéj, wyszedł człowieczyna niewielkiego wzrostu, przygarbiony nieco, na jednę nogę kulawy i, brzęcząc ogromnemi kluczami, ku kościołowi podążał.

O kilka kroków za człowiekiem wlókł się pies, osobliwy w swoim rodzaju—bez ogona, z nastroszoną sierścią i stojącemi uszami.

Kiedy człowiek ciężki klucz w zamek kościelnych drzwi wkładał, pies usiadł na szerokim, płaskim kamieniu, ziewnął i uszy stojące jeszcze bardziéj nastroszył.

Widocznie miał on przyzwyczajenia swoje, tak samo jak i jego pan, który, z trudnością otwierając zardzewiałe zamki, mówił:

— Kurta! masz mi tu siedziéć, gałganie, jak mur, ani się ruszyć! Jakby kto szedł, to szczekaj, bo to twoje psie prawo, a do kościoła nie właź, boś pies, a psu nie godzi się po świętém miejscu stąpać.

Kurta ziewnął, jakby na dowód, że zrozumiał, czego od niego żądano—i nie dziw: od lat dwunastu psisko codzień téj instrukcyi słuchał, więc musiała mu głęboko utkwić w pamięci. Niegdyś, niegdyś, jeszcze bardzo młodym i roztrzepanym będąc, Kurta wpadł za Szymonem do kościoła, ale, obity miotłą, cofnąć się musiał. Dziś wie, że mu tam wchodzić nie wolno; wysiaduje

więc na kamieniu, cierpliwie czekając, aż pan jego robotę swoją skończy.

W kościele było prawie ciemno—jedyna lampa, wisząca przed wielkim ołtarzem, rzucała migotliwe, czerwonawe blaski. W tych ruchliwych, niepewnych przebłyskach chwilowo można było dostrzedz jakąś łukowatą linię gotyckiego sklepienia, obraz świętego, postać białego, skrzydlatego anioła, lub posąg biskupa w infule, z pastorałem złoconym, zdobiący który z ołtarzy.

Było dziwnie poważnie i pięknie w tym kościołku niewielkim, gotyckim stylem zbudowanym. Przy migotliwém oświetleniu jedynéj lampy ostrołuki wyższemi się jeszcze zdawały, harmonijne ich linie poruszały się niby, wyciągały, rosły, biegły coraz wyżéj, jak modlitwa szczera, jak westchnienie...

Gdy Szymon drzwi otworzył, pęd powietrza płomień lampy poruszył—i oto z ciemności wychyliła się przytwierdzona do ławki czarna chorągiew żałobna, z trupią głową, na krzyż złożonemi piszczelami i wszelkiemi emblematami śmierci. Wychyliła się z ciemności, jak milczące „*memento mori*,“ i znów zniknęła w mrokach; płomyk zachwiał się, zakołysał i padł na białą postać Anioła Zmartwychwstania, wyrzeźbioną z marmuru,—na obraz Chrystusa, dźwigającego krzyż ciężki,—to znów na szlachetną twarz męczennika, zapatrzoną w niebo.

Szymon na chwilkę ukląkł przed wielkim ołtarzem, pomodlił się gorąco, po chłopsku, a potém ujął w obie ręce sznur od sygnaturki i, odmawiając głośno „*Anioł Pański*,“ dzwonić zaczął.

Odgłos dzwonka rozbrzmiewał daleko, wiatr niósł go na swoich skrzydłach na pola, na łąki. We wsi ludzie wstawać zaczęli, skrzypnęły drzwi od chat, skrzypnęły żórawie studzienne, odezwały się dzwonki i klekotki, zawieszone na szyjach krów; pastuch gromadził bydło w uliczce, a złocisty pas na wschodzie coraz bogatszym, coraz jaśniejszym się stawał i dziwnie różowych barw nabierał. Noc, zwyciężona, uciekała ze wstydem, pobita na wszystkich punktach sromotnie; uciekała, nie mogąc znieść widoku słońca, które lada moment, jak tryumfator, wjedzie na wozie złocistym, w majestacie purpury i blasków.

Przez kościelne okna wpada światło dzienne, lampa przed „*sanctissimum*“ blednie i już nie czerwonym, lecz żółtawym płomykiem migoce. Obrazy, rzeźby, ołtarze, łuki sklepień rysują się jasno, a na posadzce z ciosowego kamienia, jak tęcza siedmiobarwna, ułożyły się smugi światła, przedzierającego się przez kolorowe okno, będące ponad wielkim ołtarzem.

Ponad drzwiami, prowadzącemi do skarbca kościelnego, wiszą dwa potrety: Mężczyzna o marsowatem spojrzeniu, z piersią zakutą w stal, z buzdyganem w dłoni, z sumiastemi wąsami i wysoko podgoloną czupryną,—a obok niego niewiasta, matrona jakaś poważna, w dziwnym stroju, pół zakonnym, pół świeckim.

To są wizerunki założycieli tego kościoła, zabytki z XVII stulecia.

Podanie mówi, że ci dwoje, mąż i żona, siedmiu synów w wojnie ze szwedami stracili, a nie mając dla

kogo już zbierać, osieroceni, zboleli, na przebłaganie Boga za grzechy swoje kościół ten ufundowali.

O założycielach tego kościoła Szymon opowiadać lubi legendy, pełne cudowności i tajemniczego uroku. Szymon może coś o tém wiedzieć, gdyż ma tradycye rodzinne, podania z dawnych, bardzo dawnych czasów. To nie zwyczajny dziad, którego przypadek, zbieg okoliczności lub kalectwo do kościelnéj zapędziły służby... nie! to dziad z dziada pradziada, arystokrata w swoim rodzaju, patrycyusz. On z dumą kościół zamiata, z dumą dzierży swój kijek z kapturkiem do gaszenia świec, a w kopaniu grobów ma się za pierwszego mistrza. Nie żałuje on ziemi umarłym—*kopie im doły* wygodne, obszerne, *głębokie; boć grób to nie chałupa*, to nie marna siedziba na *rok*, czy na dziesięć lat czasu, ale na długie, *długie* wieki, aż do dnia ostatecznego sądu.

Kiedy Szymon kościół kończył zamiatać, rozległo się gwałtowne ujadanie Kurty.

— Co to znaczy?—mruknął stary—co to jest? Pewnikiem ktoś do chorego po księdza.

To mówiąc, dziad przed kościół wyszedł.

Koło bramy cmentarnéj stała biedka żydowska, a właściciel jéj kierował się ku plebanii.

— Boruch!—zawołał Szymon—hej, Boruch!

Żyd się obejrzał.

— Ny, Boruch, tak, Boruch; ale czego tak krzyczycie, Szymonie?

— Dziwno mi, żeście tak rano przyjechali i żeście tu, u nas... Jaka was bieda niesie? do kogo?

— Bieda! aj, aj, panie Szymonie, czy to bieda człowieka nosi? Nie! Po mojemu, to człowiek biedę niesie na swojéj głowie, na plecach, w kieszeni... Ona wszędzie wlezie; nieprawda, Szymonie?...

— A juści... tak... biednemu zawdy wiatr w oczy... wam żydom co innego: pieniędzy macie jak lodu.

— Aj, aj! co wy powiadacie, Szymonie! niech nasze wrogi takie pieniądze nie mają. Taki czas! taki paskudny czas! czy to się co zarobi? Powiedzcie mi, czy proboszcz w domu?

— A gdzieżby zaś miał być? Jest, niedługo wstanie, choć do późna coś robił, albo pisał, bo się jeszcze po północku w oknie świeciło. Interes pewnie macie do niego?

— Interes, nie interes; tak sobie, małe rozmówienie.

— Zgadnę... pewnie sad chcecie w arendę?

— Ładny interes, dalibóg! Co wy gadacie, Szymonie? Czy to ja, broń Boże, szewc, czy krawiec, żebym sady dzierżawił; ja nie z takiéj familii... ja z dobrego rodu i sam też byłem duchowny i uczony.

— Rabinem byliście?

—Et! co tam! — odrzekł niechętnie — wy się na tém nie znacie; wam z tego tylko śmiech, co u nas honor wielki. Pozwólcie-no, ja tu sobie siądę na kamieniu, poczekam krzynkę, nim się ksiądz obudzi. Może macie trochę tabaki, Szymonie?

— Ho! ho! jakżeżbym ja był przez tabaki! Toć sam ją kręcę i pewnie lepszéj nawet kozienicki rabin nie niuchał... Spróbujcie-no...

To mówiąc Szymon podał żydowi rożek, pełen zielonego proszku.

— Wasza prawda—rzekł Boruch,—to jest rarytna tabaka; nie wiedziałem, że z was taki mechanik, Szymonie... Ona kręci w nosie jak ogień... Oj, oj, Szymonie, panie Szymonie, teraz się wszystko kręci. Pan Bóg kręci swój świat, ludzie kręcą swój handel i naprzeciwko Pana Boga duże kręcicielstwo robią... żeby im wszystkie kości pokręciło! bez to na świecie jest źle... Powiedzcie mi, Szymonie, czy tu wczoraj u księdza nie był kto z Zielonki?

— Na co wam to wiedzieć?

— Na co? jakie na co? tak sobie. Oj waj, mogę wiedzieć, mogę nie wiedzieć... żebym nie miał tylko większego nieszczęścia! Wy, Szymonie, jesteście mądry człowiek, wy macie głowę na plecy! U nas powiadają, że głowa to grunt! Ja wam co powiem: wy jesteście za dziada, ja bułem dawno, dawno za szkolnika. Wy sobie dzwonita we dzwonek; ja, bywało, stukałem kijem w okna, a co piątek krzyczałem: *in szul arajn!* żeby żydzi szli sobie modlić do szkoły. To my powinni być jak przyjaciele.

Szymon niechętnie ręką machnął.

— Co to równać!?—rzekł.

— Wiadomo, co nie równać — odparł Boruch;— niech ten zginie, kto równa, niech idzie z głową do ziemi! To co innego, tamto co innego; tylko mnie się tak widzi, co Pan Bóg jeden jest.

— Wiadomo...

— A komu wy służycie? wy służycie Panu Bogu; a komu ja służyłem? ja służyłem także Panu Bogu. Gospodarz ma, nie przymierzając, dwa kunie: jeden trochę włogawy, a drugi dychawiczny... to jest para koni! Z jednéj ręki mają owies, jeden bat nad niemi. Wy to rozumiecie, Szymonie, wy mądry człowiek... A powiedzcie mi, czy tu i panienka z Zielonki wczoraj była?

— Nie, panienka tu nie była...

— Ja tak sobie sam miarkowałem. Un nie lubi z kobietami jeździć... un tu musiał sam być.

— Co wam tak dziś Zielonka w głowę zajechała? Czy był? czy nie był? Już-to pewnie musicie coś kręcić.

— Co mam kręcić!! co kręcić!? niech moje wrogi kark skręcą. Ot, tak sobie pytałem; powiedzieliście, że był, niech on sobie był... co mi z tego przyjdzie?

— Ja powiedziałem, że był?

— A kto? Powiedzieliście, że bez panienki przyjeżdżał.

— Nieprawda!

— Jeśli tak, toście zełgali, Szymonie.

— Jakżem zełgał, kiedym nic nie powiedział?

— Nie spodziewałem się po wasze mądre głowe, że nie rozumiecie taki prosty interes. Na jednę stronę ja mówiłem, że z Zielonki pan buł, a wyśta powiedzieli, że to nieprawda; na drugą stronę ja mówię, żeśta zełgali, a wy powiadacie, że to także nieprawda; teraz ja was się spytam: gdzie prawda?

Szymon się zamyślił.

— Nie pasuje, całkiem nie pasuje—rzekł Boruch. — Każdy człowiek powinien chodzić z prawdą, chyba że mu inaczéj wypadnie.

— Co tam! wypadło, czy nie wypadło! Był i już.

— Wy sobie lubicie czasem żartować, bo macie taką naturę; ale w końcu zawsze powiecie prawdę. Ja was znam; i jakbym, na ten przykład, spytał się was, po co on tu przyjeżdżał, to wy powiecie, że nie wiecie po co. I to będzie téż prawda...

— Otóż nie będzie prawda, bo wiem!

— Zkądbyście wiedzieli? Czy oni was posadzili z sobą do herbate? Ot, wy lubicie czasem pływać sobie po piasku, panie Szymonie...

— Do harbaty nie siadałem, bo dziad księdzu nie równość; alem samowar przynosił i słyszałem, co było gadane. Cóż to, tfy! do starego licha, ludzie mnie się mają wystrzegać, czy co?

— Ny, ny, nie gniewajcie się; wy dobry człowiek, Szymonie, wyście nieśli samowar, wy wszystko wiecie... Oj, oj, cobyście nie mieli wiedziéć... wy także wiecie, że on pieniędzy chciał...

— A tak! chciał, bo chciał; i dostał, bo dostał; i tyle dostał, ile chciał; bo u nas tak: jak dać, to dać... i siabas!

— Jakto u was?

— No, u nas, tu, na plebanii, przy kościele, i już! U nas, to u nas. Tfy! szkoda gęby psuć! Idźcie lepiéj szkapę swoją poratujcie, bo jéj chomont wlazł na łeb, jeszcze jéj ślepie wygniecie.

— To bajki! una tego zwyczajna; una już siedem lat ślepa na oba oczy, to trzeciego sobie nie wygniecie,

bo go nie ma. Ny, ny, nie odchodźcie-no, panie Szymonie. Cośta dziś takie złe? Czy was jakie brzydkie muche ukąsiło?

— Zły jestem, bom zły; a jakem zły, to nie gadam, bez złość! Proboszcz wstał, w okno patrzy, muszę tam iść do niego, bo takie moje prawo, i skutek!

Boruch długą brodę pogładził, trochę z kurzu kapotę strząsnął, pas na sobie poprawił i powoli ku plebanii poszedł.

Gdy Boruch przyszedł na probostwo, zastał zaraz w pierwszym pokoju sprzątającego Szymona.

Dziad widocznie był zły, zamiatał bowiem z takim impetem, że o mało szczotki nie połamał, a przytém stękał i wzdychał okropnie.

— Ny, panie Szymonie — rzekł żyd, — musieliśta bardzo kiepsko spać téj nocy, albo może, nie przymawiając...

— Co?

— Może mieliśta jakie zmartwienie od żony?

— Ja!?

— Choćby i wy... Co chceta, druga baba gorsza od samego dyabła.

— No, to co?

— Całkiem nic, ja tylko tak sobie powiadam, ja do wielmożnego proboszcza przyszedłem.

— Wnet tu ksiądz przyjdzie; jeno jak macie co gadać, to krótko, bo do kościoła pójdzie.

— Co ja mam gadać? co gadać?! całe gadanie: dwa słowa.

— Jak tam chcecie; ja zara idę dzwonić.

— Po co?

Szymon chciał odpowiedzieć, lecz w téj chwili ksiądz wszedł do pokoju.

Boruch z uprzejmością wielką do saméj ziemi się skłonił.

— Kłaniam—rzekł, — bardzo kłaniam wielmożnego kanonika dobrodzieja.

— Jak się masz, panie Boruch? Cóż cię to w moje progi sprowadza?

— Bogu dziękować, nic; tak sobie wstąpiłem przejazdem...

— Dokąd-że dążysz?

— Tak... za interesem, wiadomo księdzu kanonikowi, jak żyd: tu trochę, tam trochę, aby żyć...

Szymon sprzątanie skończył i wyszedł. Boruch obejrzał się uważnie na wszystkie strony i rzekł ciszéj:

— Ja powiem całe prawdę: ja trochę do Zielonki jadę...

— Po co?

— Niby tam miała być dziś licytacya...

— I miałbyś téż sumienie?...

— Co sumienie? jakie sumienie? Czy ja tam jadę, broń Boże, kogo zabić, albo okraść?... Ja jadę co kupić...

— Ale zawsze; komu, jak komu, ale tobie, mój panie Boruchu, nie wypada; tam dorobiłeś się, porosłeś w pierze, na kupca wyszedłeś! a teraz jedziesz ich licytować! fe!

— Sprawiedliwe słowo wielmożny kanonik powiedział; to też ja już tam nie pojadę, ja sobie wrócę z tego miejsca prosto do domu...

— Bardzo jestem kontent, że cię moje słowa przekonały; szczerze się cieszę... widzę, że jesteś dobry człowiek.

— Ny, ja zawsze bułem dobry człowiek; a powtóre, że ja słuchałem, co tam licytacye wcale nie będzie...

— Nie będzie?

— Tak jest... Mnie już to na drodze żydki powiedzieli. Ten pan z Zielonki to cały kot: zdaje się, że już łeci z trzeciego piętra, leci, leci, już zleciał jak kot... i znowuż żyje. Un szczęście ma i zawsze znajdzie ludzi, co jemu pomogą. Dalibóg, ja nie wiem, gdzie uni widzą swoje ewikcye?...

— Hm... uczciwość to podobno najlepsza ewikcya, Boruchu.

— Uczciwość? Niéma co gadać, ładny to interes, ale niezawsze pewny; bez to właśnie mnie dżywno...

— Nie dziw się; człowiek powinien wspomagać człowieka w nieszczęściu, więc i ten pan z Zielonki pomoc znalazł.

— Znalazł... nu, nu, a czy to na długo wystarczy? Nie sprzedadzą go dziś, to sprzedadzą jutro; nie jutro, to za rok.

— To zobaczymy...

— Co nie mamy zobaczyć, aby jeno Pan Bóg zdrowie dał... Nu, ale ja jemu tego nie życzę; a kiedy wielmożny kanonik sam powiada, żeby nie jechać, to ja nie

jadę; na jego godne słowo ja wierzę, że z tej licytacyi nic nie będzie.

— Zdaje mi się, że nic.

— I mnie się tak zdaje... Padam do nóg wielmożnego kanonika dobrodzieja.

— Już odjeżdżasz, panie Boruch, cóż ci tak pilno? Zdaje mi się, że miałeś jakiś interes... mów...

— Już po interesie; wiem, że licytacyi nie będzie, po co mam próżno szkapę gonić? Una i tak ledwie dycha, a do Zielonki jeszcze dwie mile drogi.

— A no, to bądź-że zdrów.

— Daj Boże *zdrowie wielmożnego kanonika... Ja już jadę, na mnie tam drugie żydki czekają przed karczmą.*

Z temi słowami Boruch wyszedł. Po chwil wsiadł na biedkę i znalazł się niebawem przed karczmą, gdzie oczekiwało go liczne grono współwyznawców.

Przed budynkiem karczemnym stały biedki, wasągi i wasążki, zaś w izbie arendarza kilkunastu żydów odmawiało swoje poranne modlitwy.

Odziani w białe płachty z czarnemi u brzegów szlakami, z rękami obnażonemi, okręconemi rzemieniem, zwróceni twarzą do wschodu, modlili się głośno, z płaczem, krzykiem, lamentem, jak na prawowiernych żydów przystoi.

Boruch, wszedłszy do izby, worek swój z „*nabożeństwem*“ rozwinął, płachtę na grzbiet narzucił i po chwili basowy głos jego zmieszał się z ogólnym chórem nabożnych lamentów.

Arendarka tymczasem, ziewająca, w czerwonéj spódnicy, krzątała się koło komina, zajęta przygotowaniem śniadania dla tak licznéj czeredy; w kącie izby karczemnéj wędrowny druciarz, odłożywszy na bok wiązkę pułapek na myszy i drobnych naczyń blaszanych, łatał sobie *kierpcie*, w długich wędrówkach podarte— i zukosa rzucał przelotne wejrzenia na żydów, kiwających się zawzięcie w modlitewnéj ekstazie.

Słońce jaśniało już we wszystkich blaskach swego majestatu i złociło drobne szybki w oknach plebanii, tysiące pszczół z głośnym brzękiem uwijało się pomiędzy gałęźmi lip kwitnących, jaskółki za muszkami goniły, bocian klekotał na gnieździe, a z dzwonnicy kościelnéj rozbrzmiewał melodyjny głos dzwonu...

Ładny kościołek, na niewielkiém wzgórzu stojący, panował nad całą okolicą, malowniczą, posiadającą ów smętny a pełen poezyi urok, równinom tylko właściwy.

Wioska była dość duża—białe chaty, słomianemi strzechami kryte, chowały się pod cieniem lip rozłożystych; w ogródkach czerwieniły się wiśnie, drażniąc apetyt wróbli, wilg i wiejskich dzieciaków, które wdrapywały się na płoty chróściane, aby zerwać smaczny— i zapewne zakazany—owoc.

W karczmie rejwach był wielki. Żydzi, wysłuchawszy relacyi Borucha, wszczęli między sobą spór żywy: gestykulowali, krzyczeli i wogóle znać było, że są pod wpływem jakiegoś niepowodzenia lub zawodu.

Zostawmy ich w spokoju, a przejdźmy natomiast do plebanii i, korzystając z nieobecności gospodarza, który

poszedł właśnie mszę odprawiać, rozejrzyjmy się po kątach.

Cisza panuje w tym zakątku; przez małe okienka, wychodzące na ogród, zaglądają zielone drzew gałęzie i wpływa strumień świeżego, balsamicznego powietrza. Ściany bielone, czyste, zdobi kilka obrazów. Piękny stary sztych przedstawia Sykstyńską Madonnę,—olejne niewykwintnego pędzla malowidło wyobraża „Wieczerzę Pańską.“ Ponad drzwiami, do drugiego prowadzącemi pokoju, wisi portret biskupa,—a w drugim pokoju, który jest sypialnią i gabinetem zarazem, nad łóżkiem zawieszony jest duży czarny krucyfiks, a na innych ścianach portrety ks. Józefa i Kościuszki.

Pierwszy pokój do przyjęcia gości służy. Jest w nim staroświecka jesionowa kanapa, takiż stół, kilka krzeseł i komoda.

W rogu duży komin, na którym podczas jesieni i w zimie grube szczapy drzewa płoną zazwyczaj.

W drugim pokoju łóżko, klęcznik, oszklona szafa książek pełna—oto wszystko.

Całe to mieszkanko miało pozór celi zakonnéj, tylko że dostęp do niego był dla każdego łatwy.

Nikt napróżno nie wszedł w te drzwi nizkie, a każdy odchodził ztąd pocieszony, weselszy, silniejszy na duchu. Gospodarz tego domku umiał osuszać łzy i goić rany bolesne, umiał wlewać ufność i nadzieję w serca zrozpaczonych i wątpiących. Słowa jego niewyszukane, pełne pokory i prostoty, wkradały się do duszy i miały moc kojącego balsamu i siłę przekonania zara-

zem. Nieraz, wśród nocy ciemnéj, podczas słoty jesiennéj, lub zimowéj zawiei, kołatał ktoś do tych drzwi i księdza do umierającego wzywał—i oto siedemdziesięcioletni starzec z rzeźkością młodzieńca zrywał się z łóżka i śpieszył, nie zważając, czy wicher wieje, czy deszcz oczy zalewa.

Nad biurkiem widzimy zawieszoną książeczkę. Zdejmijmy ją z gwoździa i otwórzmy, w niéj znajdziemy nazwisko naszego proboszcza: „*Komorno, Andreas Nałęcz curatus*," z niéj dowiemy się także, że ksiądz Andrzéj liczy już siedemdziesiąt lat wieku, a ledwie dwanaście kapłaństwa.

Gdzież więc poprzednio życie pędził? W jakiéj szkole wyrobił sobie ten hart ducha, spokój i pogodę umysłu?

Dużoby o tém mówić. Szczegóły, z których złożyło się to życie, zapełnićby mogły księgę całą.

Część z nich znaną jest w tradycyach pewnéj biednéj rodziny szlacheckiéj na Podlasiu, część pamiętają obcy ludzie, po szerokim świecie rozproszeni,—ale całość mógłby tylko chyba sam ksiądz Andrzéj opowiedziéć... gdyby chciał kiedy co mówić o sobie. Niestety, nie ma on tego zwyczaju. Zapytany, odpowiada zwykle wymijająco, niechętnie i na inny przedmiot zwraca rozmowę.

— Co było, a nie jest, nie pisze się w regestr— powiada...

Wypatrzono go jednak, bo czegóż na prowincyi nie wypatrzą? Wypatrzono więc, że ma księgę dużą, oprawną, którą starannie chowa i na klucz zamyka. Powia-

dają, że coś pisze wieczorami w téj księdze, że to jest jego pamiętnik.

Ile w tém prawdy, nie wiem. Widziałem raz zdaleka tę księgę, alem do niéj zaglądać nie śmiał. Na co podpatrywać czyje tajemnice?

Nawet ciekawy z natury Szymon już nie bada, chociaż z początku miał wielką do tego ochotę i nie mógł się pogodzić z myślą, że nie zna „swego jegomości“ na wylot.

Martwił się tém nawet, bo trzeba wiedzieć, że Szymon nie był zwyczajnym dziadem, jak inny, taki, co dziś kościół zamiata, a jutro do żyda w służbę pójdzie. To był dziad z dziadów, z dziada pradziada dziad, ordynat na dzwonnicy, cmentarzu i kruchcie, bo od stu lat podobno najstarszy z rodu Kosiorów godność kościelnego w Komornie piastował. Godność ta z ojca na syna przechodziła, a każdy pierworodny Kosior już z młodości do mszy służyć umiał, kalikować przy organach potrafił, a od biedy to i *asperges* po łacinie zaśpiewał.

Szymon od małego dziecka przy kościele był; czterech proboszczów pochował, pięciu organistów pamięta i przez ten czas tylko półtora roku przerwy miał w służbie.

Wojować chodził,—a kiedy, utykając trochę, do Komorna powrócił, to już kościołka swego poznać nie mógł, tak opuszczonym, zaniedbanym go znalazł.

Przez cały kwartał codzień ściany okurzał, na gzemsy się wdrapywał, pajęczynę omiatał, wzdychał ciężko i mówił:

— Biada ci tu było, Domu Boży, przez twego sługi Szymona!

Gdy ksiądz Andrzéj do Komorna na proboszcza przybył, Szymon obserwował go bacznie, usiłując słabostkę jakąś podpatrzyć, zaufanie sobie zdobyć.

Nic jednak wymiarkować nie mógł. W łagodnych oczach księdza była jakaś powaga szczególna, która Szymona zniewalała i nieśmiałym czyniła zarazem.

Nie pytał więc o nic, służbę swoją pełnił, o porządek bardziéj jeszcze niźli dawniéj dbał, a nawet gadatliwość wrodzoną umiał powściągać...

Raz tylko, zagabnięty już bardzo przez żonę, żeby jéj przecież coś, choć słówko, o nowym proboszczu powiedział, obejrzał się na wszystkie strony i rzekł:

— Osoba spaniała, ksiądz godny, jeno mi się zdaje, że z pod sutanny *ostrogi* mu widać... Znałem ja i takich, moja Jagno... boć coś *półtora* roku pod takich ostrogarzów komendą służyłem...

Szymon miał słuszność.

Ksiądz Andrzéj, cichy zazwyczaj i łagodny, umiał się w razie potrzeby znaléźć energicznie i ostro, potrafił zgromić po ojcowsku i skarcić.

Rzadko to się jednak trafiało, gdyż w Komornie i wioskach okolicznych lud był dobry, spokojny, poczciwy, jak wszędzie, gdzie wpływ szlachetny przeważa, gdzie trucizna moralna nie może się rozwinąć, dzięki zdrowym i zacnym zasadom, wpajanym we wrażliwe a dobre w gruncie serca prostacze.

Dzięki temu i arendarzowi nieosobliwie się wiodło i byłby już oddawna karczmę porzucił, bo z miejscowych ludzi klienteli prawie żadnéj nie miał, tylko że Komorno przy dużym trakcie leżało, więc na przeje-

zdnych zyski swoje odbijał. Tu była sławna z dobroci na całą okolicę woda, więc każdy z przejeżdżających zatrzymywał się dla napojenia koni, a przy téj sposobności gościnną austeryę Pinkusa odwiedzał. Pinkus więc grosze zbierał i żył, chociaż zawsze na ciężkie czasy i na ludzi paskudnych wyrzekał.

Wygłaszając takie pesymistyczne poglądy, rudobrody Pinkus zerkał jedném okiem na plebanię, jakby w jéj ścianach winowajcy chciał szukać.

— Pfe! pfe!—mówił—to jest świat, to ludzie są! żeby moje wrogi taki świat widzieli...

Zapalał fajkę, spluwał i, siedząc na przyzbie karczemnéj, wyglądał, czy nie nadejdzie podróżny z jakiego lepszego, nie tak bardzo jeszcze zepsutego świata...

Trakt uczęszczany był, do dużego miasta prowadził, podróżni więc jedni za drugimi dążyli—i Pinkus w pesymistycznych rozmyślaniach swoich często przerwę, a w niéj otuchę i pocieszenie znajdował...

Blizko południe już było, gdy arendarz, na przyzbie siedząc i spoglądając na drogę, dojrzał wędrującego Szymona. Poznał odrazu, że dziad w dalszą podróż się wybierał, gdyż wielki kij sękaty miał w ręku, tłomoczek trzymał pod pachą i szedł zamaszyście, na nogę cokolwiek utykając.

Za Szymonem pies kusy pośpieszał, ze łbem ku ziemi zwieszonym, ponury, nie zaczepiając nawet kaczek, które się nad rowem rozsiadły.

Pinkus pozdrowił dziada:

— Dobre południe, panie Szymonie — rzekł,—dobre południe... Aj waj! w takie gorąco w drogę idzieta... pewno do miasta?

— Ej, nie — odrzekł Szymon, — gdzieindziéj; ale gorąco szkaradne! Wody się z waszéj studni napiję.

— Pijta z Bogiem, ale ta woda na gorącość to jeno dla koni jest dobra. Człowiekowi gorzéj się jeszcze po niéj pić żąda. Lepiéj napijta się wódki, mam świeżą beczkę z Rudzienka, fajn wódka, żytniówka...

Szymonowi oczy zajaśniały. Miał on co prawda wielką do kieliszka słabość, nad którą starał się jednak panować, bojąc się gniewu proboszcza.

Na propozycyę Pinkusa nie odpowiedział wcale.

— Gdzie tak idziecie na dzisiejszą spiekotę?

— Niedaleko—odrzekł,—dwie milki. To ta wódka, powiadacie, z Rudzienka?

— Wczoraj mój zięć przywiózł całą beczkę; jeszcze nie rozpoczęta; zróbcie początek, Szymonie; z wierzchu to jest sam smak, sam cymes! Aj! aj! co to za wódka! Jeszcze w mojém życiu takiéj nie widziałem...

Szymon głową kręcił, z nogi na nogę przestępował.

— Co sobie macie żałować—mówił Pinkus,—nie stać was, czy co? Czy to u was dzieci, jak u drugiego? dla kogo macie zbierać pieniądzów?

To mówiąc, Pinkus wepchnął Szymona do karczmy, utoczył wódki w kwaterkę i na stole przed nim postawił.

— Ny, pijcie na zdrowie — rzekł;—na drogę to trzeba koniecznie: zaraz nogi inaczéj chodzą, cały człowiek ma inny ruch... Na waszą chorą nogę to najlepsze

lekarstwo... Powiedzta mi, Szymonie, gdzie wy tera idziecie?

— Ot, gdzie idę, to idę... przed siebie i już...

— Wiadomo! Albo to człowiek rak, żeby, broń Boże, za siebie chodził... Ja miarkuję, że wy idziecie przed siebie, a potém przez las na lewo, prawda?

— No juści...

— Wy idziecie do Zielonki z listem.

— No idę...

— Idźcie z Bogiem. Napijta się jeszcze kieliszek. Dwie mile drogi! czy to bagatela! a z waszą kulawą nogą to trzy mile znaczy.

— Dość!

— Co dość? jakie dość? Słuchajcie: ten pierwszy kieliszek to był wasz, drugi niech będzie mój. Co ja zgrzeszyłem naprzeciwko was, Szymonie, że nie chcecie wypić mój kieliszek wódki?

Dziad nie dał bardzo się prosić. Pinkus przysiadł koło niego na ławie, gadał to o tém, to o owém, nareszcie wprost zapytał:

— Powiedzta-no mi, mój Szymonie, co wasz ksiądz ma do Zielonki? Uni kapcany, a ksiądz ich ratuje. Tak, siak, bieda jest; zdaje się już koniec... już siojn... nieprawda! Ksiądz przyjdzie i przerobi, i znów dobrze. Powiedzcie mi, czy on brat im, czy swat, czy co takiego?

— Hę! co wy mówicie?—rzekł Szymon.

— Ny, ja sobie pytam, czy on brat, czy swat?

— A mnie co do tego! Ja dziad, moje prawo dzwonić, a nie gadać. Et... co tam, idę... idę ostro!... bądźta zdrowi, arendarzu.

— Ny, a zapłaćcie mi za dwa półkwaterki.

— Za dwa? Toż mówiłeś, że drugi twój.

— Właśnie, kiedy mój, wy potrzebujecie mi za niego zapłacić.

— Cygan!—szepnął Szymon, rzucając na stół pieniądze.

II.

Zielonka położoną była wśród lasów. Jak głosi podanie, w czasach dawnych rozciągały się tu puszcze niezmierne, a w tém miejscu, gdzie dzisiaj dwór się wznosi, stał niegdyś zameczek, w którym, przyjeżdżając na łowy, książęta mieli chwilowe mieszkanie.

Jeszcze z zameczku owego pozostała baszta murowana, okrągła. Dziś na jéj szczycie mech porasta, a w małych okienkach nietoperze się gnieżdżą.

W baszcie nikt nie mieszka: opuszczona ona i zaniedbana jest oddawna—i byłaby się już pewno w gruzy rozpadła, gdyby nie miała owéj siły niespożytéj, dawnym, fundamentalnie stawianym budowlom właściwéj.

Dwór w Zielonce był drewniany, dość obszerny i wygodny—brzemię lat przygnębiło go trochę, ale trzymał się jeszcze.

Poza dworem ciągnął się ogród rozległy, pół owocowy, pół dziki.

Środkiem ogrodu w wężykowatéj linii strumyk płynął i, przerzynając sąsiednie łąki, niknął w lesie.

Dwór stał na uboczu nieco, zabudowania folwarczne kryły się w cieniu ogromnych topoli, a sama wioska leżała przy drodze.

Ze wzgórza można było dostrzedz błyszczącą w oddali, spokojną, nieruchomą prawie powierzchnię ogromnego jeziora, i kilka wiatraków, nieustannie machających śmigami.

Zielonka w opinii znawców uchodziła za ładny folwarczek; lecz właścicielom nie szczęściło się jakoś. Szeptali między sobą chłopi, że jakieś zaklęcie czy urok nad tym mająteczkiem ciąży, bo żaden właściciel nie dorobił się w Zielonce; przeciwnie, co który nastał, to stracił—nieszczęścia go ścigały i klęski.

Jak twierdzili starzy gospodarze, miało to tak być od czasu, w którym ostatni z rodu dawnych dziedziców niemcowi tę fortunę sprzedał. Od téj pory źle się dziać zaczęło. Przychodziły grady, pomorki i ognie; zboże nie rodziło się, dobytek marniał. Dość powiedzieć, że nawet niemiec nie mógł wytrzymać i uciekł. Niby-to on wyjechał jak człowiek, nawet widzieli ludzie, jak wyjeżdżał, ale do dziś dnia nikt temu wierzyć nie chce. Chłop każdy przysiądz gotów, że szwab jest do dziś dnia—i, póki słońce świeci, to on w staréj wierzbie siedzi, a skoro mrok zapadnie, psoci na łąkach, w polu i w lesie. Nieraz słyszą ludzie śmiech jego, rozlegający się ze szczytu staréj baszty; widzą, jak się ugania za upiorami po bagnach, albo krzyczy cudacznie w trzcinie nad jeziorem. On i po drogach przeszkadza, na dziurawych mostkach czatuje—i niech-no chłop trochę podchmielony z jarmarku powraca, to niezawodnie „miemiec“ mu

coś spsoci: czapkę z głowy ukradnie, kłonicę z woza wyciągnie, albo poprostu razem z końmi w rów zepchnie i szkody narobi.

Wszystkoby dobrze było w Zielonce, żeby nie ten „miemiec,“ który nie co innego jest, tylko dyabeł w swojéj własnéj osobie. Chłopi znają go dobrze i dzieci nim straszą.

Gdy nowy dziedzic do Zielonki przybył, poczciwi ludziska żałowali go, że się na pewną zgubę naraża. Z czasem, gdy poznali go bliżéj, żal wzmógł się bardziéj jeszcze, gdyż młody człowiek jakoś do serca im przypadł: uczynny był, ludzki, każdemu dobre słowo powiedział—a jego siostra była prawdziwą opiekunką wszystkich chorych i wszystkich dzieci we wsi.

Do téj to właśnie Zielonki, na któréj terytoryum legendowy „miemiec“ figle różne wyprawiał, dążył Szymon z listem od księdza.

Zmierzchało się już, powietrze było parne, duszne, od zachodu zaczęły się pokazywać chmury. Raz i drugi mignęła błyskawica i dał się słyszéć oddalony, głuchy grzmot.

Szymon przyśpieszał kroku, starał się wynagrodzić czas stracony i nie mógł sobie darować, że kilka godzin w lesie odpoczywał, skuszony ponętną barwą poziomek, które tak apetycznie wychylały czerwone główki z pod liści.

Teraz widział zbliżającą się burzę, widział, że noc zapada i że trzeba koniecznie przejść przez grobelkę, koło owéj wierzby fatalnéj.

Dla nadania sobie kurażu Szymon zaczął do Kurty przemawiać.

— Widzisz, psie kusy, jak to źle... chciało się Zosi jagódek, a tera co?

Pies zatrzymał się, uszy sterczące nastroszył i spojrzał na dziada błyszczącemi oczami.

— Co będzie? et, bajki! nie bój się, piesku. Pan Bóg nad nami.

W téj chwili zagrzmiało, druga błyskawica rozdarła obłoki i przy jéj blasku krwawym można było dostrzedz już ową fatalną grobelkę, obsadzoną wierzbiną i brzózkami. Wielka wierzba, dyabelska siedziba, jeszcze potworniejszą się zdawała.

Znowu błysnęło. Zerwał się wiatr gwałtowny, zakręcił tumanem kurzu i zawył dziwacznie.

Szymon przeżegnał się.

— „Kto się w opiekę poda Panu swemu...“—zaczął odmawiać półgłosem i rękawem grubéj sukmany ocierał krople potu, występujące mu na czoło.

Do wierzby było jeszcze ze dwieście kroków może.

Kurta sierść nastroszył i głucho warczéć zaczął, w Szymonie duch zamarł ze strachu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!—rzekł —huzia go! Kurta! huź go, huź!..

Kurta skoczył naprzód, szczekając: jednocześnie zrobiła się przerażająca jasność i huk taki, że zdawało się, iż cała ziemia drży w swoich posadach, że sklepienie niebieskie zawaliło się, zapadło.

Szymon, jakby niewidzialną jakąś siłą rzucony, padł twarzą na ziemię, krzyknąwszy: Jezu, ratuj!

Zaszumiało w powietrzu, potoki ulewnego deszczu lunęły na ziemię. Zrobiło się zupełnie ciemno, a szum ulewy mieszał się z rykiem grzmotów i migotaniem błyskawic, co chwila rozdzierających ciemności.

Po niejakiéj chwili Szymon, drżąc z przerażenia, podniósł głowę i wzrokiem usiłował przeniknąć ciemności. Deszcz padał jeszcze, ale rzadszy już trochę.

Na grobelce potworzyły się kałuże, w powietrzu czuć było woń spalenizny.

Dziad podniósł się, wsparł ręce na kiju i, dzwoniąc zębami ze strachu, pacierz mówił półgłosem.

Znowu błyskawica mignęła i przy jéj świetle ukazała się owa straszna wierzba, rozdarta od góry do dołu. Połowa jéj pnia, z gałęźmi sterczącemi jak żebra szkieletu, legła na drodze,—druga zaś, osmalona, czarna, zdawała się chwiać i grozić upadkiem.

Domyślił się Szymon, że piorun uderzył w dyabelską siedzibę i rozwalił to gniazdo mocy nieczystéj... Woń spalenizny była dla niego wymownym dowodem, że i dyabłu musiało się coś dostać po skórze. Bezwątpienia uciekł on z wnętrza rozdartéj wierzby i przyczaił się w bruździe, jak zając. Szymon jest prawie pewny tego... témbardziéj, że Kurta warczy i szczeka dziwnie jakoś, rzuca się naprzód i znów, jakby przerażony, cofa do swego pana, skomląc i skowycząc żałośnie.

Zdobywając się na niesłychaną odwagę, dziad żegna się i ostrożnie postępuje naprzód. W wyciągnię-

téj ręce kij trzyma i gotów jest uderzyć na strasznego wroga...

Zaryzykował. Może zginie, ale przynajmniéj drogo życie sprzeda, gdyż nie wątpi, że takim kijem dębowym nawet dyabłu kości nadwerężyć można.

Kurta rzuca się naprzód z głośném szczekaniem. Szymonowi zdaje się, że widzi w ciemności jakąś postać dziwaczną, osobliwą. Jest ona niby pagórek, niby masa bezkształtna, a łeb ma jak bydlęcy lub koński.

Co jednak szczególna, że pies na tę postać nie szczeka—rzuca się na coś, czego Szymon dostrzedz nie może.

Czyżby i dyabła piorun rozdarł na części, jak wierzbę?

Takie myśli *przebiegały przez głowę* Szymona. Biedny dziadowina *tylu* wrażeń doznawał, że aż mu włosy dębem stawały na głowie. Od piorunu jeszcze dzwoniło mu w uszach, a przytém widział przed sobą jakieś dwie istoty tajemnicze, milczące, groźne, na które pies warczał i ujadał zawzięcie.

Przez chwilę stał niepewny, co robić... posuwał się naprzód i znów cofał, zaciskał kij w żylastéj, suchéj dłoni... to się znów żegnał nabożnie.

Nareszcie zdobył się na najwyższy akt odwagi... takiéj odwagi, która tylko w śmiertelnéj trwodze przychodzi. Rzucił się naprzód...

Wytężając wzrok, dostrzegł w ciemności jakąś postać, leżącą w rowie. Kurta przyskakiwał do niéj i szczekał.

— Zgiń, siło nieczysta!! — ryknął Szymon z całéj siły i uderzył kijem.

— Aj waj! — wrzasnęła owa mara, zrywając się na równe nogi—aj waj!

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał dziad.

— Niech un chwali, ale po co bije? dlaczego robi rozbój na drodze?

— Boruch!—zawołał Szymon—czy to wy?

— Oj waj! oj waj!—jęczał żyd—kto do mnie mówi? kto tu moje imię powiada?

— Szymon Kosior, kościelny...

— Szymonie! panie Szymonie! Was tu chyba sam Pan Bóg przyprowadził. Wołajcie wy swego pies, niech on nie ujada, niech nie kąsi! Ja chcę być przy was, przy wasze osobe, niech ja was wezmę za rękę... W takie nieszczęście! aj waj! niech moje wrogi takie jasność zobaczą, jak ja widziałem... Ja myślałem, że to już koniec świata. Aj, aj, Szymonie, kochany panie Szymonie... Wyście mnie chcieli bić z kijem, bo pewnie nie wiedzieliście, co ja tu leżę... Wielgie szczęście, żeście mnie nie trafili pociemku...

Szymon na psa zawołał, a Boruch rozpaczliwie rękę dziada uchwycił.

— Oj, oj!—mówił—ja myślałem, że tu już będzie mój koniec... ja już umarłem... ale teraz my dwa... to już nie tak straszno. Oj, Szymonie, panie Szymonie kochany! żebym ja dziesięć rubli na drodze znalazł, tobym tak sobie nie cieszył, jak z tego, że was tu zdybałem... Ja wam cały półkwaterek wódki kupię...

— Zkądże wyście się tu wzięli, Boruchu?

— Czy to człowiek może wiedzieć, gdzie go nieszczęście spotka? czy człowiek wie? Ja wiem, żem jechał do Zawadków kupić jęczmień, tymczasem kupiłem nieszczęście... Aj! Szymonie, co to buło! co to buło!

— Jeszcze w takiém miejscu—rzekł Szymon tajemniczo,—przy téj wierzbie, gdzie zawsze...

— Pfe! pfe! nie wymówcie to słowo... niech on zginie, niech on idzie w ziemię! Ja jechałem sobie biedką pomaleńku, tymczasem zaczęło sobie trochę grzmiéć. Miarkowałem, co może być deszczu, włożyłem drugą kapotę, przykryłem głowę starym workiem i jechałem daléj. Trochę bojałem sobie, ale cóż? Nie zgrzeszyłem naprzeciwko Pana Boga, mówiłem pacierz... Tymczasem w to samo miejsce, *niedaleko* te wierzbe, jak się zrobiało jasność, jak się świat zatrzęśnił! Moje stare kobułe z wielkiego strachu skoczyło do rowu, ja upadłem na ziemię i, oj! Szymonie, jeszcze mi serce pika! ja umarłem... Całe niebo sobie otworzyło... drzewa się łomili, ziemia drżała... a taki buł huk, że nie można było wytrzymać... Potém, to straszny deszcz padał... ja zacząłem krzynkę dychać, myślałem, co ożyję... Chcę podnosić głowę, a tu stoi kole mnie i krzyczy...

— Kto?

— Albo ja wiem, kto? Ja teraz dopiero miarkuję, że to był wasz pies; a pierwéj zkąd ja mogłem wiedzieć, że to pies? Ja myślałem, że to, niech Bóg zabroni, ten... paskudnik... z wierzby. Czy to można wiedzieć, w co taki gałgan wlezie? On dziś będzie w drzewie, za godzinę z niego się zrobi już czarny kot... za drugą godzinę wrona albo pies... Szymonie, jak on do mnie

przyszedł, to buła moja druga śmierć... Oj, ja czułem, jak on mnie wąchał... un ze mnie mało duszy nie wywąchał!... To była druga moja śmierć! Zdawało mi się, że un sobie poszedł, że słyszę jakieś ludzkie gadanie... tymczasem jak coś krzyknie, jak wyrżnie pałką w ziemię, to buła już dla mnie trzecia śmierć! Ale wyście mnie ożywili, Szymonie; jak ja was zobaczyłem, tom się na świat urodził... Aj waj! Szymonie, Szymonie, co ja się strachu najadłem!

— A gdzież wasz koń?

— Ona pewnie tam leży, gdzie upadła... Co jéj ma być, una ma taką naturę, co jak się położy, to jéj się wcale nie chce wstawać.

To była prawda: szkapa leżała na ziemi i tylko stękaniem dawała znaki życia.

Zanim Szymon z Boruchem *zdołali* ją do wstania namówić, zanim biedkę podnieśli i rzeczy porozrzucane zebrali, deszcz ustał i z pomiędzy resztek chmur wychylił się księżyc; przy łagodném świetle księżycowém widać było drogę pełną kałuż, zmoczone obficie pola wierzbę rozdartą.

— Ny, panie Szymonie kochany — rzekł Boruch, pozbierawszy manatki,—tera ja was podwiozę, siadajcie na biedkę!

— A jakże przejedzie... kiedy pół wierzby na drodze leży? Trzeba chyba odciągnąć krzynkę, albo jak... Może we dwóch jako poradzimy.

— Oj, oj, żebyśta wiedzieli, że ja nie mam teraz ani trochę siły... wszystko utrzęśniło się we mnie, ledwie ten kawałek bata mogę w garści udźwignąć.

Pójdźta wy sami, Szymonie, ja tu popilnuję kobułę, żeby jéj kto nie ukradł...

— Kto ma kraść? w pustém polu? Co wy?

— Czasem zdarza się taki przytrafunek.

— Powiedzcie lepiéj, że się boicie.

— Pfe! pfe! Szymonie, wy myślicie, że ja taki bojący... Ja nie bojący, tylko nie mam zdrowia.

— Ha, to jak chcecie... ja sam nie dam rady. Co mi tam! Bogu dzięki, teraz widniéj trochę, deszcz ustał, pójdę, droga niedaleka.

— Ny, ny, nie bądźcie takie prędkie... Sam, sam, zaraz sam! na co macie chodzić sam?! Czy ja wam żałuję te trochę miejsca w biedce?

— Idę! co mam dźwigać taki ciężar, albo mi to niewola?

— Poczekajcie, poczekajcie! aj waj! jaki to uparty człowiek; wy pójdziecie sobie, a ja mam się tu zostać... do czego to podobne jest? Pfe! Nie chcecie sami odsunąć te głupie kawałek wierzbine, to ja wam pomogę, choć... oj, oj, jak ja nie mam siły, za jeden grosz nie mam siły!! Nawet nie wiem, z któréj strony mam do tego przystąpić.

— O, tak! prosto, jak ja! — mówił Szymon, biorąc się do usunięcia złamanego drzewa.—Daléj! jeszcze, ostro, aby tylko, aby jeno biedka mogła się przesunąć.

— Oj, oj waj, jaki un ciężki, niech jego, jaki un ciężki ten paskudnik! pfy! ja tu przy nim całe moje zdrowie stracę!... Oj! oj! Dość, puśćcie wy, panie Szymonie, niech un zgnije na tém miejscu.

— No, teraz już biedka przejdzie, możemy jechać.

— Czekajcie-no, czekajcie, niech ja trochę ręce obmyję... Czy to bagatela jest taką rzecz dźwigać?... tfy! tfy! niech przepadnie!

Boruch obmył sobie ręce w kałuży i, wsiadłszy z Szymonem na biedkę, puścił się w dalszą podróż.

Szkapa, utykając, wlokła się powoli—podróżni milczeli czas jakiś.

Gadatliwy Boruch odezwał się pierwszy:

— Aj, buło strachu!—rzekł.

— Wiadomo, w takiém miejscu...

— Ja wam co powiem, Szymonie: teraz taki czas, co w każdém miejscu straszno... bardzo straszno...

— Zawdy mnie bierze ciekawość, gdzie się ten z wierzby zapodział. Piorun mu wierzbę rozwalił, a może i jego przypiekło, bo siarkę było czuć na dziesięć staj wkoło...

— Co jego miało przypieknąć?... takiemu piorun nie szkodzi.

— Ale!?

— Wiadomo, co nie szkodzi; un uciekł.

— Widzieliście?

— Co nie miałem widzieć? Jak się zrobiło taki błysk, taki huk... to widziałem, jak coś z te stare wierzbine wyskoczyło...

— Nie gadajcie!

— Coś wyskoczyło, naprawdę! jeden, dwa, czy tysiąc, może więcej... albo ja wiem? to było całe piekło... Och, ja już nie żyłem wtenczas...

Tak rozmawiając i opowiadając sobie nawzajem o różnych sztuczkach dyabelskich, podróżni nasi dojechali do karczmy w Zielonce.

Boruch szkapę zatrzymał.

— Ny, Szymonie—rzekł,—wam do dworu trzeba, to pójdźcie sobie; ja u arendarza trochę odpocznę, bo już dychać nie mogę od tego przestraszenia, ja pół zdrowia w tym przypadku straciłem. Na moje sumienie...

Szymon zsiadł z biedki.

Właśnie kilku chłopów wychodziło z karczmy, otoczyli więc podróżnych.

— Podobno w starą wierzbę piorun trzasnął?— pytali.

— Oj, oj, za co nie miał trzasnąć? — rzekł Boruch — i jak jeszcze trzasnął... same kawałki z niéj zostały.

— No, no, do kogo to tera „miemiec“ na komorne pójdzie?

— Pfe! un już nigdzie nie pójdzie, bo myśmy jego z Szymonem zabili! — krzyknął tryumfalnie Boruch.

— Gdzie? jak?—zaczęli pytać chłopi.

Szymon już téj relacyi nie słuchał—pilno mu było do dworu; pozostawił więc Borucha, opowiadającego chłopom cuda o swéj bohaterskiéj odwadze, a sam poszedł przez wieś i po kwadransie znalazł się we dworze.

Gdy dano znać, że posłaniec z Komorna przyszedł, sama panienka do przedpokoju wybiegła.

— Jak się macie, Szymonie! — zawołała dźwięcznym głosem.—Burza was zaskoczyła, pewnie przemo-

kliście do nitki; idźcież do kuchni coprędzéj, osuszcie się przy ogniu.

— Bóg zapłać panience — rzekł dziad.—Człowiek nie z masła, Bogu dzięki, nie rozpłynie się, a kapota na plecach zmokła, to i na plecach wyschnie. Mam tu do panienki kwitek i tobołek... musi książki w nim są.

To mówiąc, wydobył list z zanadrza i podał go młodéj osobie.

Rzuciła okiem na adres i rzekła:

— Dziękuję wam, Szymonie; idźcież do kuchni; przyślę wam zaraz herbaty.

Powiedziawszy to, weszła do swego pokoju, otworzyła list i czytać go zaczęła. Potém, podparłszy głowę na rękach, zamyśliła się smutnie.

Łagodne światło lampy padało na jéj twarz o rysach pięknych i regularnych. Główkę, obciążoną grubym warkoczem, oparła na dłoni i puściła wodze myślom.

Niewesołe były one zapewne, gdyż westchnienie wyrwało się z jéj piersi...

Po chwili zadumy wstała, przeszła kilka razy po pokoju i, schowawszy otrzymany przed chwilą list do stolika, wyszła.

Przeszła przez kilka pokoi i zapukała do drzwi ostatniego.

— Kto tam?—zapytano ze środka.

— Ja jestem—odrzekła dźwięcznym głosem.

— Ty, Marto? Czyż potrzebujesz pytać o pozwolenie wejścia?...

— Sądziłam, że ci przeszkodzę w zajęciu —rzekła, wchodząc.

— Moje zajęcia!! — odparł ironicznie młody człowiek, siedzący przy biurku, założoném papierami i książkami—moje zajęcia! Chyba żartujesz ze mnie.

— Wiesz, że rzadko bywam do żartów usposobioną, a zwłaszcza do żartowania z ciebie, mój braciszku.

— W takim razie był to żart mimowolny. Cóż za burzę mieliśmy! Pewnie się przestraszyłaś, biedaczko?

— Rzeczywiście, bałam się trochę.

— A ja z przyjemnością patrzyłem w niebo, rozdzierające się co chwila... Jakże marnemi są nasze siły ludzkie wobec tego majestatu grozy! Czy nie zastanawiałaś się nad tém, Marciu?

— Myśli moje szły innemi drogami. Ja drżałam z obawy, aby te wspaniałe zjawiska nie spaliły nam budowli, nie zniweczyły zbóż. Byłam tak przerażona tą myślą, że mi już w biednéj głowinie zabrakło miejsca na wszelkie inne refleksye.

— Masz słuszność... i ja myślałem o tém... na szczęście, obawy były płonne.

— Tak, gradu nie było... pioruny omijały nasz biedny folwarczek; i, jak dotychczas, nie trzeba tracić nadziei, że praca nasza wyda pożądane owoce...

— Nasza praca!! Jeszcze więc nie rozczarowałaś się, biedna marzycielko, jeszcze masz złudzenia?

— Ja nie mam żadnych złudzeń, mój Stasiu; mam tylko głęboką wiarę i przekonanie, że na naszém skromném stanowisku...

— A ja sądzę, siostro, że to tylko czas stracony napróżno; że szkoda sił i zdrowia, aby szarpać się tutaj. Zależéć od pogody, różnego rodzaju kreatur, od tysiącznych a tysiącznych okoliczności! Gospodarować, pracować, a tu przyjdzie grad, susza lub ulewne deszcze, i wszystko przepada; być obywatelem, chciéć pracować z pożytkiem dla dobra ogółu... i w działalności téj spotykać ciemnotę, i narażać się na każdym kroku na nieprzyjemności ze strony pisarzy gminnych i różnych podrzędnych figur kancelaryjnych! Powiesz, Marto, że zasada przedewszystkiém... wiem o tém. Dla zasady chcesz się zbliżyć do ludu, do tych sielankowych kmiotków, chcesz żyć z nimi jak z braćmi, a tymczasem ci bracia będą kradli drzewo w lesie, worywali się w miedze, wypasali bydło na łąkach! Inszy znów brat kmiotek, którego za parobka lub fornala trzymasz, skaleczy ci konia lub wołu, połamie narzędzia gospodarskie, będzie się upijał lub kradł. A! mam już tego dosyć, doprawdy! Okoliczności rzuciły nas na wieś. To nie mój żywioł, ale wziąłem się do pracy i zdawało mi się, że będę pożyteczny dla siebie i drugich. Zawiodłem się... i widzę, że drugim pożytku nie przyniosę i sam zginę.

— W zbyt czarnych barwach przedstawiasz nasze życie, Stanisławie; w gruncie rzeczy...

— W gruncie rzeczy — rzekł, przerywając siostrze, — ono jest bardzo sielankowe i rozkoszne!... Zapewne dla téj to sielanki mamy żelazne zasuwy przy stajniach i sześciu łańcuchowych brytanów na dziedzińcu... Zapewne dla téj sielanki dwóch stróżów co noc pilnuje folwarku, a ja, kładąc się spać, oglądam sta-

rannie rowolwer, chcąc się przekonać, czy jest dobrze nabity...

— Przecież nas jeszcze nikt nie napadał...

— Prawda, nie napadał dotychczas, ale któż ci zaręczy za jutro? Czyż mało łotrów włóczy się po okolicy?...

— Stasiu—rzekła siostra łagodnie, obejmując ręką szyję brata,—Stasiu, dlaczegoś ty zawsze taki rozdrażniony... taki dziwnie zniechęcony?... Wszakże dopiero niedawno trzydzieści lat skończyłeś...

— Zawsze jedna i ta sama piosenka, którą mi z księdzem Andrzejem śpiewacie... Masz lat trzydzieści i jesteś zniechęcony do życia... co będzie późniéj?

— Istotnie, jest nad czém pomyśléć.

— Co będzie późniéj, nie wiem; ale widzę, co teraz jest: na każdym kroku przeszkody nie do zwalczenia, prowadzę życie zupełnie bezużyteczne, bezowocne, próżne... Mnie tu duszno, ciasno, mnie zabija przekonanie o własnéj niemocy...

— Mój Stasiu, nie chcę ci zrobić przykrości porównaniem, ale przypominasz chorego z przywidzenia, który, zdrowym będąc, pod wpływem urojonych cierpień i niemocy męczy się, gryzie, trapi i życie sobie zatruwa.

Stanisław obruszył się, chciał odpowiedziéć, lecz w téj chwili dały się słyszéć ciężkie kroki i do pokoju wpadł jegomość nizki, krępy, gruby, o łyséj głowie i pełnéj, rumianéj twarzy, ozdobionéj wielkiemi szpakowatemi wąsami.

— Ślicznie!—krzyknął basem potężnym—zachwycająco! Braciszek z siostrzyczką gruchają sobie jak dwa gołąbki, tymczasem wpada jastrząb... *Falco omnivorens*, mokry jak żaba, głodny jak wilk, i przerywa to gruchanie. Jak się masz, panie Stanisławie!... rączki całuję, panno Marto!... albo lepiéj nie całuję, bo mam mokre wąsy, jak sum świeżo z wody wyjęty...

— Zkądże się pan tu wziął, panie Onufry?—zapytała Marta.

— Phi! to długa historya, bo trwa od samego rana... rano mi albowiem kazali zapłacić mało stu rubli podatków... Przeszukawszy wszystkie kieszenie, znalazłem dziesięć; prosta więc racya, że pojechałem do miasteczka w celu całowania żyda w brodę... Ja mam w tém taką wprawę, że cmokam ich jak z nut, jak sieczkę rznął! Wolałbym naturalnie całować ładne panny, ale te znowu nie mają zwyczaju pożyczania pieniędzy. Niedobrze to jest, ale jest; a że, jak twierdzi przysłowie: *Vana sine viribus ira*, co znaczy: kruty ne werty, treba umerty, więc się z losem godzę, płacę, a raczéj obiecuję płacić pięć na miesiąc. I dziś więc pojechałem do miasteczka, poromansowałem z Berkiem, kupiłem parę postronków i już miałem powracać, gdy tymczasem stała mi się dość osobliwa przygoda. Jak to mówią, „góra z górą się nie zejdzie, a szlachcic z komornikiem zawsze.“ Dziwisz się, panie Stanisławie? W naszém wesołém życiu wizyta komornika to tak pospolite zjawisko, jak wschód słońca. Dodać jeszcze należy, że ten, o którym mowa, to, powiadam ci, człeczysko z kościami poczciwe. Dusi on, to prawda, ale cóż ma robić? Żona, sześcioro dzieci, żyć

trzeba. Otóż: jak się masz? jak się masz? On powiada, że ma właśnie do mnie jechać... Owszem, mówię, zabiorę cię nawet swemi końmi.

— Pan się nie lękasz takich wizyt?

— Panno Marto, *consuetudo est altera natura*, co się tłumaczy... no, wie pani zapewne, jak się tłumaczy: przyzwyczajenie to jest druga skóra; jabym bez kłopotów żyć już nie potrafił. Naturalnie, że przed wyjazdem wstąpiłem z moim komornikiem na przekąskę do handlu i tam zastałem poczciwego sekwestratora. Czy wisieć za jednę nogę, czy za dwie, to już wszystko jedno; a że taki dobry kusy, jak i bez ogona, więc proszę obydwóch. Było to koło południa, więc tedy przekąsiliśmy trochę... no, i buteleczka pękła. Widzi pani dobrodziejka, przysłowie uczy, że *in vino veritas*, co się po polsku tłumaczy: prawda siedzi w butelce; a żem był okrutnie ciekawy, co w polityce słychać, więc kazałem dać drugą i trzecią... Uważam, że panna Marta tak na mnie patrzy, jak gdyby chciała powiedzieć: wstydź się, stary, takie zbytki robić!

— Ależ zkąd znowu?

— Wiem ja, wiem; ale *audiatur et altera pars*, co znaczy: niech wójt i Maćka wysłucha.

— Ale dowiedziałeś się zato, kochany sąsiedzie, co w wyższéj polityce słychać — rzekł z uśmiechem Stanisław.

— Naturalnie, teraz rozumiem nawet, jak trawa rośnie; bo trzeba ci wiedzieć, że nasz sekwestrator to osobliwsza głowa! Żeby się był Bismarkiem urodził, toby światem dziś trząsł; tak ci o polityce dowodzi, jak sie-

czkę rznął! Przy drugiéj butelce wszedł już do Konstantynopola i zaraz uporządkował stosunki rolnicze w Azyi Mniejszéj. Poczciwy człowieczysko, chciał, żebym rzucił moją wioszczynę i został komisarzem tureckim! Dawał mi już nawet nominacyę, ale zaszła nieprzewidziana przeszkoda... Usnął, zanim ją podpisał. Ja już mam takie szczęście! A szkoda, dawał mi bajeczną pensyę, nie licząc uczciwego dochodu i gratyfikacyi. Poczciwy mój komornik również usnął, więc musiałem wracać sam do domu. Koło przewozu zaskoczyła mnie burza. Nie było się gdzie schronić, zmokłem jak półtora nieszczęścia. Do domu jeszcze kawałek, więc kazałem trochę zboczyć z drogi i jestem tu u państwa, jak widzicie, *amicus et servus*, co się tłumaczy: głodny jak żyd w sądny dzień...

— Poradzimy łatwo na te dolegliwości — rzekła panna 'Marta.

— Marcia w téj chwili się zakrzątnie—rzekł pan Stanisław—i będziemy mieli wszystko, czego dusza zapragnie.

— *Dignum et justum*, co znaczy: mówiący ma racyę.

Pan Onufry podniósł się z krzesła i do stołowego pokoju ruszył, poprzedzany przez Stanisława, który niósł przed nim światło.

Panna Marta wyszła, aby się zająć przygotowaniem do kolacyi.

Gdy zasiedli przy stole, pan Onufry, przymrużywszy jedno oko, przypatrywał się gospodarzowi—po chwili milczenia odezwał się:

— Jakoś mi pan Stanisław niedobrze wygląda.

— Co się dziwić: kłopoty, trudności, zniechęcenie.

— Zniechęcenie! Słyszałem już kilkakrotnie ten wyraz, chociaż, co prawda, znaczenia jego nie rozumiem. Za moich młodych lat nie słyszeliśmy o niém; tak samo, jak nie słyszeliśmy o nerwach, ani o niczém podobném. Co prawda, my starzy byliśmy głupi... wy jesteście mądrzy, więc też wynaleźliście zniechęcenie i nerwy, jak niemcy katarynkę.

— Ależ, panie!

— Nie, nie, panie Stanisławie, nie kontruj; to wasz wynalazek specyalny.

— Więc dobrze, niechże będzie nasz; lecz czyż myśmy winni, że czasy są szkaradne, warunki życia ciężkie?...

— Panie Stanisławie! oj, panie Stanisławie! czy znasz przysłowie o niedźwiedziu i gałęzi?

— Pan bo zawsze przysłowiami mówisz.

— Bo w przysłowiach siedzi cała mądrość narodów... Mój panie, kiedy na nas starych waliły się całe gałęzie, nie czułeś tego, boś był jeszcze bardzo młodym niedźwiadkiem. Masz tedy delikatną skórę, i, gdy cię lada patyk trąci, już ryczysz...

— Ale tych patyków jest mnóstwo; weź pan naprzykład najbliższych sąsiadów, chłopów.

— A no cóż... chłopi, zwyczajnie jak chłopi... nienajgorsi ludzie, dalibóg!

— Tak pan sądzisz?

— Naturalnie, i mam racyę...

— Różowe okulary nosisz, panie Onufry: kochasz komorników i sekwestratorów, całujesz w brodę żydów, cieszysz się ze swoich chłopów; zdaje się, radbyś cały świat do serca przytulić.

— A choćby...

— Szczególniejsza czułość!

— Dlaczego nie miałbym całego świata do serca przycisnąć? ma się rozumiéć *exclusive szołder*, których godzi się przycisnąć do muru. Jednak odeszliśmy od przedmiotu.

— Odejdziemy jeszcze daléj, bo oto nakrywają do stołu.

— Przepysznie! powiedziano jest bowiem: *ora et labora*, co znaczy po polsku: jadaj dobrze i dużo; trzymam się przez całe życie téj zasady, a teraz doktorzy skazują mnie na deportacyę do Karlsbadu.

— Dokąd pan jednak jechać nie chcesz?

— Ciekawym, po co? Gdy zacznę kwękać w Karlsbadzie, dla niemców tamtejszych będzie to obojętne; gdy zaś zachoruję w domu, to żydzi odprawią na moją intencyę nabożeństwo, z obawy, ażeby im różne drobne należności nie poprzepadały.

Pan Onufry jadł i pił z apetytem, aż mu na łysinę krople potu wystąpiły.

— Niechże nam pan, z łaski swojéj, powie coś z nowości; my bo ciągle w domu, nie wiemy więc o niczém.

— A no, to powiem: w Bajkowszczyznie wszystko po dawnemu. Sędzia, jak zwykle, pali fajkę, robi, co

sędzina każe... bo sędzina, jak państwu wiadomo, jest *hic mulier*, co się tłumaczy na polskie: baba-Herod.

— Co też pan mówi! taka delikatna, wątła osoba.

— Pani dobrodziejko, brzytwa jest także delikatna, a tnie. Najgorsze są takie filigranowe anioły. Sędzia tańczy, jak mu żona zagra!... i nawet spytać nie śmie: *quousque tandem, Catilina?*... co się tłumaczy: nie wytrzymam, Katarzyno!

— Zdaje mi się, że pan coś do sędziny cierpisz...

— Nic a nic... niech sędzia cierpi. A cóż ja? Ja jestem, Bogu dzięki, kawaler i z tego powodu nigdy nie choruję na głowę... A teraz jeszcze o kimś powiem: Panno Marto, *caveant consules*, co znaczy: niech się pani bardzo nie zarumieni.

— Dlaczego?

— U sędziostwa wielka radość. Pan Jan przyjechał z zagranicy.

— Kiedy?

— Onegdaj, moja pani dobrodziejko; ale zdaje mi się, że pani zablizko samowaru usiadła... ztąd kolory...

— Więc jeszcze onegdaj przyjechał—rzekł Stanisław,—a u nas nie był dotychczas...

— Cóż pan chcesz? Ma dużo interesów do załatwienia. *Primo:* niemcy go wygłodzili, więc się musi odpaść; *secundo:* jako jedynaczek, musi zostać solennie wycałowany przez mamę; *tertio:* jak słyszałem, podobno się w drodze przeziębił.

— Chory jest pan Jan? — spytała niespokojnie Marta.

— To, pani dobrodziejko, rzecz względna: jeden ledwie dyszy, i nie piszczy; drugiego, z przeproszeniem, komar w nos ukąsi, i już gwałt, konsylia, kuracya i wody! Niedaleko szukając, choćby ja... Według mego zdania, jestem zdrów jak koń; a jak mi kiedyś doktór zaczął wyliczać wszystkie moje cierpienia, tom zgłupiał formalnie... Katar tego, katar owego, stłuszczenie, przekrwienie, wykrwienie, utrapienie *et cetera*, co znaczy, jak w tym razie: pięć tysięcy chorób, nie licząc niebezpiecznych skłonności.

— Pan bo żelazny człowiek jesteś; ale chciałabym wiedzieć, co się panu Janowi stało...

— Żeby pani chciała wiedzieć, niewątpię... i wnet wyprowadzę panią z niepewności. Właśnie dowiedziałem się wypadkiem. Wyjechawszy z miasteczka, po uśpieniu moich przyjaciół, spotkałem naszego powiatowego eskulapa, wracającego z sędzią śledczym z Zajezierza. Jeździli oni tam, żeby w sposób naukowy zbadać przyczynę śmierci człowieka, którego przywaliła sosna w lesie... Odbywszy tę czynność, wstąpili do sędziostwa na obiad, gdzie zastali pana Jana chorego.

— I doktór widział go?

— Naturalnie, że widział, i zaopiniował, że cierpienie jego nazywa się... otóż, moja pani, wybacz, bom zapomniał. Ktoby tam spamiętał tę doktorską łacinę!

— Ale groźnego nic niéma?

— Głupstwo! Przepisano mu suche bańki i miksturkę!

— Muszę go jutro odwiedzić—rzekł Stanisław.

— O, pojedź, pojedź, mój Stasiu...—wtrąciła Marta półgłosem.

— Ma się rozumieć, że pojedź, panie Stanisławie, bo warto zobaczyć to dziwo.

— Co za dziwo?

— A właśnie to, któremu dają miksturę i stawiają bańki. Osobliwość to istotnie! Jedynakowi, chłopcu, który ma wcale przyzwoity majątek, chciało się siedzieć pięć lat za granicą i pracować w fabrykach. Powiadają, że umie robić perkaliki i płócienka, jak szwab. Co mu z tego przyjdzie, nie wiem; chyba we dworze w Bajkowszczyznie ustawi sobie warsztat i będzie tkał fartuchy i chustki dla dziewek na kolendę.

— Że też pan każdą, choćby nawet najpiękniejszą rzecz wyśmiać musisz.

— A, panno Marto, od żarcików tak jestem daleki, jak kredyt od szlachcica... ale gdy słyszę, że obywatel, zamiast gospodarować, tkactwa się uczy, to mi dziwno. Co on tu będzie tkał? po co? na co?

— No, nie przesądzaj pan, kochany panie Onufry—rzekł Stanisław;—każda praca jest dobra.

— Nie przeczę, każda dobra; ale i z pomiędzy dobrych są lepsze i gorsze.

— Czekajmy więc, może Jan nas przekona, że jego praca należała do lepszych.

— Daj mu Boże, życzę! Chociaż, mojem zdaniem, w gospodarstwie to najlepsze tkactwo w dachach dziury zatykać. Znacie przysłowie: „klaczka, pszczółka, pszenica... to zbogaca szlachcica,“ ale nie jakieś tam szwabskie perkaliki.

— Panie Onufry! mówisz jak człowiek z przeszłego stulecia!

— Mościa dobrodziejko! ja mówię, co myślę, a czego nie myślę, to nie mówię, bo szkoda gęby psuć! Zresztą, alboście wy bardzo mądrzy, albo ja mam kamienną głowę... Wynaleźliście płodozmiany, zrobiłem u siebie płodozmian; wynaleźliście koniczyny i okopowizny, mam i to; konie pasę marchwią, zamiast pszenicy sadzę buraki... no i, jak mi Bóg miły, to już wszystko, co mogłem przemódz na sobie. Spódnic robić nie będę. To jest moje *ultimatum*, czyli ostatnie słowo... i żeby mi panna Marta w obronie sędzica najpiękniejsze stawiała argumenta, przekonać się nie dam. To już trudno! Nazywam się Onufry Wrzeszcz, jestem sobie zakłopotany szlachcic na obdłużonéj fortunie, ale takim chcę zostać *usque ad finem*, co znaczy po polsku: dopóki mnie dyabli nie wezmą.

— Nikt téż pańskich przekonań nie gwałci, ale pozwólże i nam także miéć swoje zdanie.

— A miéjcie sobie, miéjcie choćby sto! Cóż mi tam! Zresztą, nie będę dłużéj dysputował, bo czas do domu; przepraszam za kłopot, za to, żem tyle herezyj nagadał, i bywajcie państwo zdrowi!

— Zostań pan na noc, panie Onufry; jutro rano, po chłodzie...

— Nie, kochani państwo. Bóg zapłać za gościnność, ale roboty teraz moc, trzeba wcześnie być w domu.

Po burzy wypogodziło się ślicznie. Ciche fale jeziora odbijały w sobie promienie księżyca, którego świa-

tło bladawe załamywało się także w grubych kroplach deszczu, drgających na gałązkach i na trawie...

Pan Onufry, przez gościnnych gospodarzy pożegnany, z trudnością wgramolił się na swoją dryndulę i odjechał.

Brat z siostrą zostali sami...

— Ubawił cię ten nasz sąsiad? — spytała panna Marta.

— Przeciwnie; dał mi wiele do myślenia.

— Jakto?

— Pod tą skorupą dziwaczną domyślam się poważniejszéj treści.

— Kiedyż-bo takie herezye wygłasza?!

— Zapewne, ale grunt niezły.

— Nie przeczę... ale, mój Stasiu, ja chciałabym cię jaknajprędzéj spać wyprawić.

— Dlaczego?

— Żebyś mógł jutro rano wyjechać.

— Do sędziostwa?

— No, przecież pan Jan chory... wypada, żebyś go odwiedził.

— I zawiózł mu pozdrowienie od Marci...

— Cóż w tém złego?

— Zazdroszczę mu twego przywiązania, siostruniu, téj niezmiennéj stałości uczucia, jakie masz dla niego.

— Zasłużył na nie, mój Stasiu!

— Nie przeczę; nie masz bo nic łatwiejszego, jak zjednać sobie uznanie w oczach kochającéj kobiety.

— Przepraszam cię, mój drogi. Nie miéj zwyczaju mówić o tém, na czém się nie znasz, zabieraj się do swego pokoju i idź spać... a jutro przywieziesz mi wiadomości.

— No, no; już słucham cię, ty despotko śliczna, dobranoc.

To mówiąc, ujął rączkę siostry, i uścisnąwszy ją, oddalił się do swego pokoju.

Panna Marta długo jeszcze czuwała. Już dzień się robił, kiedy światło lampy w jéj pokoiku zagasło...

III.

— Proszę jegomości, będziemy mieli pogrzeb— rzekł Szymon, wchodząc do pokoiku proboszcza.

— Któż umarł?

— Maciek Paliwoda. Pierwszy gospodarz na całe Komorno i letni człowiek, ze czwartaków jeszcze, proszę jegomości... I tak mu się nieborakowi prędko zmarło. U kosy onegdaj był... Od wieczora zaczęło go coś łamać w sobie, niby kolka, chciał syn dziś po doktora jechać, tymczasowie przed słońca wschodem stary jęknął raz, drugi, ta i pomarł. Ktoby się spodziewał? toć ja starszy. Kilka dni temu, piorun przed samym nosem mi strzelił, i oto, Bogu dzięka, żyję, a ten nieborak!... ot, dopust Boży, nic więcéj. Żeby jegomość wiedzieli, jaki tam lament w chałupie, jaki płacz! przystąpić trudno... niech Bóg Najwyższy broni...

— Źle, źle, mój Szymonie—rzekł z westchnieniem ksiądz,—dobrzy starzy ludzie umierają, a z młodych...

— Z przeproszeniem jegomości, ojca duchownego, z młodych to tyle jest... co et! tfy! papierosiki jeno, bałamuctwa i tylo.

— No, no, za ostry jesteś, mój stary; przecież nie można wszystkich potępiać, nie godzi się.

— Ludzie ludziom nierówność, proszę jegomości, są takie i są jensze; jeden będzie, jak to mówią, i do ludzi i do Boga, drugi... Panie odpuść. Gdzie tera znajdzie naprzykład takiego, jak nieboszczyk Maciek. To chłop był rzetelny, gospodarz pierwszy, a człowiek dobry, bo dobry, na wszyćkie cztery boki godny chłop.

— Pójdź-no i zakrzątnij się w kościele, Szymonie, roboty dziś masz dużo, a na wieczór będę cię potrzebował.

— Miarkuję ja... pewnie za stangreta.

— No tak, więc pośpiesz się jak należy, żeby wszystko było w porządku.

— Duchem, proszę dobrodzieja, duchem... lecę!— rzekł dziad, z nogi na nogę przestępując.

— Więc leć...

Szymon zaczął drapać swoją siwą czuprynę, chciał coś powiedzieć, lecz nie śmiał.

— Na cóż jeszcze czekasz?—spytał ksiądz.

— Et, przez urazy jegomości, gęba mnie swędzi, chciałbym coś rzec, a nie wiem jak...

— Cóż takiego?

— Ano chciałem się zapytać, dlaczego to u nas inaczej, niż po ludziach?

— Jakto inaczéj?

— A choćby, na to mówiąc, u jegomości. Wózek ladajaki, szkapsko jedna, a za stangreta dziad, toćby, przez urazy, jegomości stać było na parę koni jak się patrzy i na stangreta...

— Ej, mój Szymonie, nie w swoje rzeczy się mieszasz...

— Pewnie, że nie w swoje... ale zawdy i na parafię nieładnie, żebyśmy tak w jedną szkapinę jeździli.

Ksiądz Andrzéj rozśmiał się.

— Poczekaj jeszcze—rzekł—ze trzydzieści lat, to sobie drugą szkapinę kupimy, tymczasem jedna nam wystarczy.

— Wola jegomości dobrodzieja... — rzekł dziad i do kościoła pośpieszył.

Po mszy, Szymon, wziąwszy łopatę, udał się na cmentarz, gdzie miał wykopać grób dla zmarłego Maćka. Cmentarzyk ów wiejski był ogrodzony murem i utrzymany czyściutko.

Zielono na nim było i zacisznie. Wśród zieleni drzew wznosiły się krzyże drewniane, z których jedne, starsze widocznie, pochyliły się już i mchem porosły; inne, młodsze, nosiły jeszcze na sobie ślady farby i napisów, ciężką dłonią wioskowego malarza zrobionych.

Koło muru rosły krzaczki drobne i otaczały jedyny większy nagrobek z piaskowca.

Szymon ciężkim kluczem otworzył furtkę, wszedł do „ogrodu umarłych“ i pilnie przez czas jakiś rozglądał się wokoło.

Widocznie dogodniejszego miejsca szukał.

— Oj, Macieju, Macieju nieboże — mówił sam do siebie.—Wykopię ci dołek porządny, na wzgóreczku, pod brzozami, będziesz miał dobrze leżéć, nieboraku. Nie pożałuję ci dobrego miejsca, boś był porządny chłop, jak się patrzy... rzetelny...

To mówiąc, Szymon zrzucił z siebie kapotę, zawinął rękawy od koszuli, a ująwszy rydel w grube ręce, zaczął swą pracę. W miarę postępu roboty, Szymon zagłębiał się coraz niżéj, aż wreszcie koło południa ledwo mu głowę widać było z dołu.

— No to i już!—rzekł, z trudnością wydobywając się z dołu—parę sztychów szpadlem i chałupa na wieczne czasy gotowa, na wieczne czasy! Dziedzictwo, którego nikt nie pozazdrości, nie wyprawuje i nie wydrze. Lepiéj to podobno w ziemi, aniżeli na ziemi— zakonkludował dziad i zarzuciwszy szpadel na ramię, opuścił mieszkanie umarłych.

Gdy już furtę zamykał i przypadkowo rzucił okiem na drogę, dostrzegł jeźdźca w oddali. Zasłonił ręką oczy od słońca i popatrzył wiedziony ciekawością.

Był to we własnéj swojéj osobie pan Onufry. Łysinę miał przykrytą wielkim kapeluszem słomianym, w ustach trzymał krótką fajeczkę, z któréj co chwila gęste kłęby dymu wypuszczał. Siedział na kasztanowatym grubo-płaskim mierzynie, tęgim, spasionym, o grubych nogach i potwornie rozrosłym karku. Koń ten był, jakby naumyślnie dla pana Onufrego stworzony, dźwigał téż swego jeźdźca z fantazyą, sapiąc przytém jak miech.

Gdy pan Onufry do cmentarza dojechał i Szymona ujrzał, krzyknął zaraz:

— Jak się masz, stary krecie! znów komuś dołek wygrzebałeś, jak widzę.

— A jakże, proszę wielmożnego pana... takie moje dziadowskie prawo. Oto dziś dobry człowiek nam pomarł, wielmożny pan znał go zapewne... stary Maciéj.

— Maciéj? a szkoda, porządny człowieczysko... znałem go, znałem, mój Szymonie, tak dobrze jak ciebie. Et! skwasiłeś mi humor tą wiadomością. Powiedzże mi, Szymonie, ksiądz jest?

— Jest, wielmożny panie.

— No to weźże konia i zaprowadź gdzie w chłód; ja pieszo na plebanię pójdę.

To mówiąc, pan Onufry z konia zsiadł i cugle Szymonowi oddał.

Ksiądz Andrzej ujrzał nadchodzącego gościa przez okno i wyszedł na ganek, aby go powitać.

— Rzadko mnie to szczęście spotyka — rzekł, ściskając pulchną dłoń pana Onufrego.

— Gdzie ci radzi tam rzadko, gdzie nieradzi tam nigdy, to moja zasada; a skorom się tu na takie gorąco przycłapał, to widać, że wierzę, iż mi ksiądz dobrodziéj rad będziesz.

— Więc tedy nie przejazdem?

— Naumyślnie. Byłem trochę w polu, zobaczyło się to i owo... no i myślę sobie: trzeba proboszcza odwiedzić...

— Proszę tedy pod dach.

— Bardzo chętnie, témbardziéj, że *hora canonica* czyli czas, w którym się zwykle coś łyka.

— Osobliwie tłumaczysz łacinę, panie Onufry.

— Już ja taki jestem lingwista od urodzenia... Stryj mój, u którego chowałem się, jako sierota, cuda o moich zdolnościach opowiadał... cała familia myślała, że będę profesorem w Padwie, ale na nieszczęście, przepowiednia nie sprawdziła się, a natomiast ziściły się słowa mędrca, który powiada: *nemo in sua patria propheta*, co znaczy...

— Ależ ja wiem, co znaczy, panie Onufry—rzekł, śmiejąc się ksiądz Andrzéj.

— Otóż właśnie, że nie wiesz jegomość, a jeżeli wiesz to niedokładnie. *Nemo propheta* znaczy: że trudno być w Psiéj-Wólce Bismarkiem.

— Ach! to znowuż coś nowego.

— Owszem, stare to jak świat, i dlatego nic się nie dziwię, że przepowiednie mojéj rodziny nie chciały się ziścić, złożyło się na to dwa tysiące przyczyn, a przedewszystkiem...

— Przedewszystkiem chodź do stancyi, nudziarzu, témbardziéj żeś głodny, jak powiadasz.

— Masz ksiądz dobrodziéj słuszność, a kto o téj porze niegłodny, niech rzuci kamieniem; właśnie gotów to jestem zaraz uczynić.

— A to dlaczego?

— Żebyś mi ksiądz, w myśl chrześciańskiéj zasady, chlebem odrzucił.

— Owszem, z całego serca; chodźmyż więc.

Weszli do pokoju, ksiądz kazał podać przekąskę.

— Masz tu, dobrodzieju — rzekł — starkę, którą, o ile wiem, lubisz.

— Najpiękniejszy to okaz z całéj starożytności, *antiquitas liquida!* Istotnie starka przepyszna!

— Powiedzże mi, kochany panie Onufry, co cię tu do mnie dziś przypędziło? bo juści bez przyczyny na takie gorąco, i przy twojéj tuszy...

— Co to tuszy?! jeszczebym niejednego cienkiego przeskoczył, a że sobie nieco sapię, toć mi wolno... Wracając zaś do pytania, to mogę odpowiedzieć i tak i nie...

— Dyplomatycznie.

— Co znaczy: kłamiąc gładko. Nie, księże, zawsze mówię arcyszczerą prawdę.

— Więc...

— Czekajże-no jegomość, bo mi dwóch funkcyj naraz pełnić nie sposób; więc niech-no sobie porządnie zjem, a potém pogadamy. Taka jest moja intencya...

Rzekłszy to, pan Onufry do talerza się zabrał i spożywał powoli, w milczeniu, ruszając ogromnemi wąsami w sposób pocieszny.

— Miałeś tu kiedyś, mój księże, piwo jakieś sławne... właśnie na taki upał...

— Wnet je Szymon przyniesie.

— Dajże ci, Boże, zdrowie, kochany proboszczu, a teraz właśnie zapaliwszy fajeczkę, możemy sobie zrobić małe *collcqium charitativum*, co znaczy...

— Wiem co znaczy.

— Kiedy ksiądz wiesz, to dobrze... Owóż tedy, jeżeli mam powiedzieć prawdę, to wstawszy dziś rano,

ani myślałem nawet, że tu będę, témbardziéj, że miałem w domu sprawę szczególniejszéj wagi...

— Oho... cóż tak ważnego?

— Gospodyni zapowiedziała bigos, a jak ona bigos urządza, to sądzę, że ksiądz dobrodziéj sam wiesz i możesz powiedziéć: *quorum pars magna fui*, co znaczy: brzuch mnie po nim nie bolał.

— I taką ważną okoliczność opuściłeś, kochany panie Onufry...

— Opuściłem... jak honor kocham opuściłem; raz, licząc na to, że odgrzewany bigos jest lepszy, a *secundo:* żem widział *periculum in mora*, co znaczy... głupi interes, czyli mówiąc po łacinie: *casus pascudeus*.

— Jaki *casus?*

— W istocie szpetny! Wyobraź sobie, byłem w polu. No w polu, jak w polu, człowiek by chciał odrazu wszystko załatwić, a tymczasem ludzi obrzednio, kłaniać się, prosić trzeba za swoje pieniądze. Właśnie, gdym zastanawiał się nad tém, przyszły mi na myśl różne a różne nowinki, które tu w okolicy kursują. Gdym jedno z drugiém pokombinował i uważnie porównał, *obstupui*, co znaczy: zgłupiałem... i w téj chwili przyszło mi na myśl przyjechać do kochanego proboszcza, a że u mnie co w głowie to w myśli, a co w myśli to w czynie, więc wziąłem się do mego kasztana *unguibus et rostro*, to jest: dałem mu kilka bizunów, i oto jestem tutaj... Rzecz to dalibóg niebłaha, gdyż o naszą skórę idzie, a chociaż przy téj sposobności opowiadano mi bardzo piękne rzeczy, niemniéj jednak *timeo Danaos et dona ferentes*, co znaczy: starego wró-

bla na plewy nie złapiesz. Radź, księże, zmiłuj się, bo źle jest...

— Nic a nic nie rozumiem.

— *Oculos habent et non vident*, co znaczy: Mają oczy jako ludzie, a ślepi są jako krety.

— Daj pokój, kochany panie Onufry, gdyż najprzód *oculos habent* nie znaczy to, co mówisz, a powtóre krety nie są wcale ślepe; mów więc lepiéj poprostu.

— *O sancta simplicitas!* co znaczy: o łatwowierny księże! czuję już, że i ciebie złapano na pięknie brzmiące słówka, że do ich obozu należysz.

— Nie wiem, do czego te słowa zmierzają.

— *Usque ad finem*, co znaczy: po łyżeczce do skutku, ciągle powtarzać będę, że to jest głupstwo, a w skutku będzie opłakaném... Jeszcze kiedyś wspomnicie moje słowa i powiecie: *sunt lacrimae*, co znaczy: pan Onufry miał słuszność.

— Ale mówże, człowieku, o co idzie, bez przysłów i cytat, gdyż dogadać się z tobą niepodobna!

— Dobrze, będę mówił bez przysłów: *sine ira et studio*. Zapewne słyszałeś ksiądz dobrodziéj, że sędzic z Bajkowszczyzny powrócił z zagranicy do domu.

— Wiem, wiem.

— Tém lepiéj. Mnie bo on zawsze wydawał się trochę nie tego, ale teraz widzę, że ma na czysto jakąś *aberratio mentalis*, co znaczy: małego zajączka we łbie.

— Dajżeż pan pokój, toż to człowiek wykształcony, rozumny.

— Gdzie tam ksiądz dobrodziéj ten rozum widzi, to *nescio:* co znaczy, jestem jak tabaka w rogu...

— Daj Boże, żebyśmy mieli więcéj takiéj młodzieży.

— Chyba ze względu na wesela ksiądz tak mówisz, *nuptiarum causa*, bo do tego, jak uważam, inklinacyi mu nie brak... w Zielonce panna o nim tylko myśli, a że „ona piękna, a on młody, więc weselne będą gody.“

— Co téż pan mówisz!

— Mówię bo widzę, *cogito ergo sum*, co znaczy: na swoje oczy widziałem; byłem ja tam niedawno i jakem wspomniał, że ten gagatek przyjechał, to panna Marta o mało nie podskoczyła z radości.

— Złego w tém nie widzę, ale téż nie widzę i związku z niebezpieczeństwem, o którém pan opowiadasz.

— Bo mi ksiądz dobrodziéj przerywasz, do słowa dojść nie pozwalasz...

— Już nie przerwę... mów pan.

Pan Onufry silnie z cybuszka pociągnął, wypuścił jeden, drugi kłąb dymu, nareszcie, po chwili namysłu, przymrużywszy lewe oko, rzekł:

— Powiedz mi ksiądz dobrodziéj, czy gospodarz na dużym folwarku może się obejść bez ludzi?

— Zapewne, że nie.

— Czy tych ludzi mamy zadużo?

— No, nie brak, co prawda.

— Nie brak? jakto nie brak? Chyba ksiądz dobrodziéj z księżyca przyjechałeś!? W żniwa mało sobie głów nie urywamy, zkąd robotników dostać... jeden drugiemu wydziera... ceny podnosi... prawdziwą licytacyę urządza...

— W żniwa... zgoda; ale tych żniw bywa trzy tygodnie, dajmy na to miesiąc, a potém, gdy przyjdzie jesień, zima, wiosna nawet, to ludzie, nie mając wiele do roboty, próżnują, a cóż z próżniactwa wynika? Moralnie upadek, materyalnie bieda.

Pan Onufry wstał i wielkiemi krokami po pokoju chodzić zaczął. Twarz mu poczerwieniała, sapał mocno i gestykulował rękami.

— Cóżeś jegomość taki zły?

— Zapewne, dobry mam być?! Tu właśnie przyszedłem wypowiedzieć, co mnie boli, co mam na sercu, czego się lękam, a tymczasem...

— Co tymczasem? dotychczas nic mi przecież nie wypowiedziałeś.

— Bo widzę, że ksiądz także do spisku należysz; czuję to przez skórę, i, niestety, muszę powiedzieć: *et tu Brute contra me*, co znaczy: nawet proboszcz przeciw mnie. Nie masz tu co robić między wami; trzeba będzie tę lichą fortunkę sprzedać i pójść między obcych... *Tempora mutantur*, co znaczy: że niedługo sam dyabeł nie wytrzyma...

Ksiądz roześmiał się.

— Jakkolwiek — rzekł — nie wypowiedziałeś pan jasno, co panu dolega, zdaje mi się jednak, że będę blizkim prawdy, domyślając się powodu. Zapewne doszły pana pogłoski o zamiarze założenia fabryki w naszéj okolicy.

— Tak, tak! Mało mamy szwabów, trzeba ich więc jeszcze z parę tuzinów sprowadzić! Wszak prawda, księże proboszczu dobrodzieju? prawda? A! koniec świa-

ta chyba! ale... *mundus vult decipi*, co znaczy: chcesz w błoto wdeptać; mało jest różnych plag, trzeba sprowadzić więcéj i *cui bono?* pytam, czyli mówiąc po polsku: na kiego dyabła? Po to chyba, żeby żniwakowi, zamiast dwóch złotych, płacić rubla, a zamiast z chłopami, mieć do czynienia ze szwabem... Dziś jest w parafii, dajmy na to, sześć karczem, przy fabryce będzie ich piętnaście. Ruch się zwiększy, a z tego powodu ze wszystkich końców świata pozwłóczą się złodzieje, i trzeba będzie liczbę zamków potroić. Dziś jeszcze, jeszcze od biedy, przespać się można, a wtedy, *vale et me ama*, co znaczy: bywaj zdrów, holenderski śledziu!... O pfe! powiadam, nawarzycie takiego piwa, że aż wam kwaśno będzie! Dziś z chłopem jeszcze jako tako, choć rozmaicie się zdarza, ale, bądź-co-bądź, jest pod nim uczciwa podszewka, zawsze to nasz chłop. Ja wam mówię: nie szukajcie guza, chociaż wiem, że słowa moje to niby *vox in deserto*, co znaczy: groch na ścianę rzucony! Źle jest, źle, a będzie jeszcze gorzéj, gdy nam takie figle zaczną przystępować do głowy.

— Pozwól się przekonać, panie Onufry, że jesteś w błędzie, że źle widzisz.

Zamiast odpowiedzi, pan Onufry głowę przez lufcik wychylił i krzyknął na Szymona, żeby konia przyprowadził.

— Odjeżdżasz już,—spytał ksiądz,—nie dokończywszy rozmowy, nie wysłuchawszy moich argumentów?

— *Oleum perdidi*, co znaczy: szkoda gęby psuć. Czas pokaże, kto miał słuszność, a teraz, księżulku dobrodzieju, *vale*, co znaczy: pisuj na Berdyczów...

— Nie, tak być nie może; masz żal do mnie, więc cię nie puszczę.

— Nie mam żalu, ale téż i nie mam chęci do dysputy: wodę warzyć, woda będzie. Ja swoje zrobiłem, ostrzegałem, mówiłem. Przysłowie mówi: kto nie słucha dobréj rady, niech słucha... wiesz ksiądz czego! *Discipulus supra magistrem*, co znaczy: jajko mędrsze od kury.

— Przecież w równym wieku jesteśmy, mój panie, obaśmy starzy.

— Ale ksiądz z młodymi trzymasz.

— Mój kochany panie Onufry, trzymam z tém, co uważam za dobre, co wedle mego przekonania przynieść może pożytek moim bliźnim. Nie znasz mnie i nie kochasz, skoro sądzisz inaczéj.

— Ja cię kocham, księże Andrzeju, bo któżby cię nie kochał! ale mi smutno, że się w zdaniach różnimy, że jest między nami dyferencya przekonań, co znaczy: że ty do sasa, a ja do lasa.

— To téż daj się przekonać i będziemy jednego zdania, jako dobrzy, starzy przyjaciele.

— Nie, księżulku kochany, przyjaciółmi bądźmy, ale dysputę o przekonania odłóżmy *ad calendas graecas*. W zasadach jestem *stabilis*, czyli uparty jak kozieł. Bywaj zdrów, księże Andrzeju...

— Ha, kiedy już chcesz koniecznie, to jedź, tylko żalu w sercu nie chowaj, przyjacielem bądź.

— Jestem, byłem i będę, choć się na wasze głupstwa nie zgadzałem, nie zgadzam i nie godzę, *me Hercule!* co znaczy: żebym tak był zdrów.

To powiedziawszy, pan Onufry wyszedł z pokoju, dosiadł spasłego kasztana i kłusem się puścił przez wieś.

Minąwszy ostatnią chałupę, jechał już stępo i rozglądał się wkoło po polach, mówiąc do siebie półgłosem:

— Boże miłosierny! czego ci ludzie chcą? Mają ziemię poczciwą, która rodzi zboże, mają lasy, łąki, wody, czego tylko dusza zapragnie; mają chłopów niezgorszych, żydów pełne miasteczko, mogliby żyć, jak dziady i pradziady... nie! zawsze im jeszcze czegoś braknie... zawsze są, jak ta Zosia z piosenki... jagódek im się zachciewa! jagódek!!...

IV.

Bajkowszczyznę liczono do najładniejszych majątków w okolicy, a zaściankowa fama głosiła, że państwo sędziostwo posiadają nawet kapitalik. Co prawda, nikt tych pieniędzy nie liczył, ale nawet Boruch, najlepszy znawca w tym względzie, twierdził, że gdyby tylko sędzia świsnął, a sędzina kiwnęła głową, to by żydkowie zaraz masę pieniędzy pożyczyli.

Sędzia jednak z uprzejmości téj nie korzystał, gospodarstwo prowadził porządnie, miał ładne inwentarze, a starannie uprawna ziemia corocznie obfite wydawała

płony. Dom prowadzony był porządnie, ale i oszczędnie zarazem, po gospodarsku, bez zbytków.

Sędzia był wzrostu niewielkiego, tuszy dobréj, przysadzisty i krępy, małżonka zaś jego, nosząca jeszcze na twarzy ślady dawnéj piękności, była wysmukła i szczupła.

To pod względem powierzchowności niebardzo dobrane stadło skojarzyło się przed laty z pobudek najidealniejszéj miłości. On miał wtenczas lat dwadzieścia kilka i niewielki mająteczek; ona zaś piękność, powaby młodości i trzydzieści tysięcy złotych, zapisane przez ciotkę. Było tam podobno jeszcze coś w sperandzie po bezdzietnym stryju, ale speranda zawiodła, gdyż się stryj na starość ożenił i fortunę dzieciom zostawił.

Sędzina, a w owe czasy jeszcze panna Weronika, miała, dla swéj urody i koligacyj pięknych, wielu konkurentów, ale odstraszała wszystkich pewną wyniosłością i dziwnie chłodném obejściem. Była przytém sarkastyczna i złośliwa, więc téż starający się o jéj rękę dawali za wygraną i wychwalając piękność Weronisi, woleli, żeby się to szczęście komu innemu dostało.

Po kilku latach piękna panna ujrzała się zupełnie odosobnioną. Rówieśniczki jéj powychodziły za mąż, a ona, znacznie od nich piękniejsza, na każdéj zabawie za królowę balu uchodząca, siała rutkę i towarzysza życia znaléźć sobie nie mogła.

W owym czasie wpadł jéj w oko dzisiejszy sędzia, a wtedy jeszcze czupurny blondynek z habrowemi oczami i rumieńcem na twarzy. Panna Weronika obserwowała go przez czas dłuższy, i przyszła do wniosku,

że ten właśnie może być dla niéj bardzo dobrym mężem. Trzeba przyznać, że nie myliła się, Wicuś albowiem miał charakter łagodny i miękki jak wosk, a pannie Weronice takiego właśnie było potrzeba.

Tańcząc zamaszyście mazura na jakimś kuligu zapustnym, Wicuś ani się domyślał, że spojrzenie pięknych czarownych oczu wciąż za nim goni, dopiero gdy panna Weronika wybrała go do figury, a potém porozmawiała z nim przez chwilę, spostrzegł ze zdumieniem, że w oczach jéj drgają jakieś iskierki, a na pięknie zarysowanych ustach uśmieszek nie jest tak sarkastyczny, jak zwykle.

Wicuś, który nawet nie myślał nigdy, żeby o pannie Weronice mógł marzyć, przekonywał się coraz bardziéj, że nie jest ona ani dumną, ani nieprzystępną; owszem, z własnych jéj ust dowiedział się, że szuka duszy bratniéj, któraby ją zrozumiéć i ocenić mogła. Pod czarującém wejrzeniem czarnych oczu serce jego topniało jak wosk i ani wiedział biedak, jak się zakochał na zabój.

Panna Weronika, sierota, mieszkała u ciotki, dożywotniczki dużego majątku, w którym był pałac starożytny, park przepyszny z grotami tajemniczemi, altankami i stawem. Wicuś bywał tam coraz częściéj. Ciotka, osoba już niemłoda i cierpiąca, lubiła spokój i samotność, więc młodzi ludzie sami chodzili po parku, zrywali kwiaty, rozmawiali o tańcach, gwiazdach, a najczęściéj nie rozmawiali wcale, upajając się wonią róż i jaśminów. Podczas jednéj z takich przechadzek samotnych Wicuś zdobył się na akt bohaterskiéj odwagi i przezwy-

5

ciężywszy wrodzoną nieśmiałość, ujął pannę Weronikę za rączkę i w ognistych wyrazach opowiedział jéj swoje sentymenta, poczém oboje, rozpromienieni radością, udali się do cioci po błogosławieństwo.

Dalszy ciąg tego romansu odbył się jak zwykle, z przyzwoitą wystawą i okazałością. Było huczne wesele i podróż poślubna, jak przystało na pannę, która ma w swym rodzie dwie hrabiny, czy nawet trzy podobno. O tych hrabinach pan Wincenty przez czas późniejszego, długoletniego z małżonką swą pożycia często bardzo miał sposobność słyszéć.

Podróż poślubna nie trwała długo, gdyż młodéj mężatce pilno było do gospodarstwa, do domu. Pan Wincenty byłby jeszcze chętnie gruchał z Weronisią wśród uroczych stron południa, ale ona, gładząc pieszczotliwie jego twarz rumianą, powiedziała mu otwarcie, że kochać się można i w domu, a wydatków na zbytkowne podróże robić nie potrzeba. Że w słodkich słowach żony była stanowczość, a pan Wincenty ducha sprzeciwieństwa nie posiadał, więc też spakowawszy manatki, młoda para powróciła pod nasze niebo szare i osiadła w wiosce pana Wincentego.

Dość było kilku dni, aby Weronisia rozejrzała się dobrze w całém gospodarstwie; wnet też zaczęła zaprowadzać w niém reformy. Przedewszystkiém, ażeby Wicusiowi zapewnić tyle dla zdrowia potrzebną agitacyę, odprawiła rządcę; następnie, ażeby ulżyć drogiemu mężusiowi kłopotów i pracy, zabrała w swoje ręce kasę, a służbę tak potrafiła wyuczyć, że żaden interesant nie

mógł się dostać do pana, nie wylegitymowawszy się pierwéj przed panią, kto jest i czego potrzebuje.

Dobroduszny Wicuś ani się spostrzegł, jak jego osobista wola, jego „ja“ zniknęło zupełnie i rozpłynęło się gdzieś w przestrzeni.

Czasem budziła się w nim dawna natura, trochę krewka, gorąca; radby wpaść tu i owdzie, na jarmarczek, przefacyendować konika, wypić butelkę wina z przyjacielem, ale przy pierwszéj wzmiance o takiéj intencyi na ustach Weronisi zjawiał się dawny złośliwy uśmieszek i zaczynała się opowieść o trzech hrabinach i o dystynkcyi, która nie pozwala na bałagulstwo i parafiańskie uciechy.

Wysłuchawszy kazania, Wicuś wzdychał, nasadzał czapkę na uszy i szedł w pole, zkąd wracał na obiad lub wieczorem.

W pierwszych latach, gdy mu się taka niewola zaczęła przykrzyć, gdy miał ochotę opierać się i na swojém postawić, pani zmieniała zaraz taktykę. Stawała się pokorną, cichutką, uległą... przymilała się pieszczotliwie, i wnet postanowienie pana Wincentego miękło, znów stawał się zakochanym jak student... i posłusznym.

Późniéj już ten sposób nie był potrzebny, pan Wincenty albowiem stał się posłusznym z przyzwyczajenia i wolę własną najzupełniéj zatracił.

W kilka lat po ślubie Weronisia potrafiła wytłumaczyć swemu małżonkowi, że porządny obywatel powinien mieć jakiś tytuł i sama postarała się, żeby Wicusia wybrano na sędziego pokoju. Przebył na tym

urzędzie jedno tylko triennium, ale już tytuł sędziego na zawsze mu pozostał. W okolicy o ślepéj uległości pana Wincentego rozpowiadają różne anegdotki, ale on na to nie zważał. Być pod pantoflem nie jest znów tak źle, jak się zdaje, sędziemu nawet bardzo dobrze było w téj sytuacyi: o nic się nie troskał, miał wygodny byt, spokojny kawałek chleba; a że fortunę powiększył i do kapitaliku doszedł, to głównie temu zawdzięcza, że trzydzieści lat blisko uczciwie pod pantoflem przesiedział.

Przyzwyczaił się sędzia do zależności od żony, jak wół przyzwyczaja się do jarzma, ale na obronę sędziny trzeba powiedzieć, że jarzmo, które na męża włożyła, nie było bardzo twarde. Przewaga jéj nie miała w sobie nic szorstkiego, przeciwnie, postępowanie jéj nosiło na sobie cechy wysokiéj delikatności. O wiele wyższa od męża pod względem inteligencyi, bez trudności umiała nad nim wziąć górę.

Przytém kochała go naprawdę. Dbała o jego zdrowie, wygody, umiała nawet dogadzać pewnym, bardzo zresztą niewinnym, kaprysom. Potrawa, któréj on nie lubił, nigdy się nie pokazywała na stole, a gdy po obiedzie sędzia zdrzemnął się trochę, to w domu było naówczas cicho, jak w grobie. Ustępując w drobnych rzeczach, w sprawach większego znaczenia sędzina miała absolutną przewagę i dzięki temu właśnie majątek ich mnożył się i wzrastał.

Przedsiębiorcza, zabiegła i oszczędna, sędzina dążyła do robienia majątku, do zdobycia sobie wybitnego stanowiska w świecie ziemiańskim—a gdy została matką, podwoiła energię i działalność

Zapragnęła dziecku los zapewnić jaknajlepszy, i szła do tego celu konsekwentnie, wytrwale, z godną podziwu energią. W téj szczupłéj, wątłéj kobiecie duch był silny, a wola niezłomna; opinia parafialna „Herodem“ nazywała sędzinę, lecz mała garstka osób, bliżéj ją znających, ceniła wysokie zalety jéj charakteru i duszy.

Do tych przedewszystkiém należał ksiądz Andrzéj i panna Marta, która w Bajkowszczyznie częstym bywała gościem i cieszyła się szczególnemi względami sędziny.

Z powodu przyjazdu syna i chwilowéj jego słabości, w domu sędziostwa panował ruch niezwykły. Matka, lękając się o zdrowie jedynaka, rozsyłała konie po doktorów, a nawet sam pan sędzia wydelegowany został do miasta, ażeby osobiście pierwszą w gubernii znakomitość lekarską zaprosić. Właściwie nie było potrzeby takiego alarmu robić—ale sędzina tak chciała, tak więc musiało być.

Sędzia wielką bryczką, w cztery tęgie konie zaprzężoną, puścił się w podróż.

Gdy Zajezierze już minął, w lesie wólczańskim ujrzał niezwykłe widowisko. Przez linię wśród drzew wyciętą szedł Boruch, trzymając w sztywnie wyciągniętych przed sobą rękach strzelbę w ten sposób, jak gdyby lufami jéj chciał wykłuć oczy niewidzialnemu nieprzyjacielowi. Przytém biedny Boruch, widocznie z użyciem broni palnéj mało obznajmiony, drżał jak liść i płaczliwym głosem mówił do idącego za nim pana Onufrego:

— Pfe! pfe! wielmożny panie dobrodzieju... ja już nie wytrzymam, ja rzucę na ziemię tę paskudną maszynę, niech jéj moje oczy nie widzą.

— Wcale nie radzę ci tego robić, strzelba jest nabita, jak ją rzucisz, to może być *ambo meliores*.

— Jakie *ambeliores?* co to za zwierzyne jest?

— To uważasz jest *ambo meliores*, co znaczy: obie lufy nabite; więc nie rzucaj broni, kochany Boruchu, bo może wystrzelić.

Boruch, słysząc to, starał się jeszcze bardziéj strzelbę od siebie oddalić, wyciągnął ręce jak struny i dygocąc ze strachu, prosił:

— Wielmożny panie, niech pan to już weźmie, to jest głupstwo, to nie żydowski interes! Czy to ja jestem jaki szlachcic, albo hrabia, żebym z taką maszyną po lesie latał? ja jestem sobie prosty żydek... handluję.

— Nic nie szkodzi, mój Boruchu, nic nie szkodzi; dziś jesteś prosty żydek, ale przysłowie mówi: *hodie mihi, tibi cras*, co znaczy: jutro możesz kupić dobra.

— Pan żartuje sobie ode mnie. Pan może myśli, że jak wyskoczy zając, albo jaki ptak, to ja do niego strzelę? pfe! na co? niech on sobie idzie na złamanie karku, niech jego dyabli wezmą...

— Ej, nie wytrzymałbyś... kropnąłbyś tak, żeby aż po całym lesie zagrzmiało...

— Żebym ja tak miał szczęście do handlu, jakbym ja wcale nie kropnął. Pfe! co to jest kropnął? Niech pan dobrodziej potrzyma ten karabin, to zaraz się przekona, że ja wytrzymam. Zresztą ja panu dobrodziejowi co powiem... Kiedy się panu zachciało koniecznie ro-

bić żydowskie polowanie, to niech pan strzela, a ja pójdę zajęców szukać... Zobaczy pan, jak to będzie dobrze... Pan myśli, że ja ucieknę? Broń Boże, ja będę stukał kijem po krzakach, będę krzyczał hu! ha! i wszystkich zajęców wypędzę... będzie pan miał zabijać co do samego wieczora.

Sędzia, widząc ten osobliwszy pochód, kazał konie zatrzymać.

Boruch z dubeltówką w naprzód wyciągniętych rękach szedł wprost do gościńca, za nim zaś pan Onufry z miną bardzo poważną kroczył ciężko, sapiąc.

Sędzia śmiał się na cały głos.

— Panie Onufry! — wołał — sąsiedzie! Cóżeś to naszego Borucha na myśliwego wykierował?

— Oj, wielmożny panie sędzio—jęknął Boruch—prawda, ja jestem cały myśliwy... bo tylko myślę jakby ztąd uciec...

— Dzień dobry szanownemu sędziemu—rzekł pan Onufry, — gdzież Pan Bóg prowadzi? *Quo tendis*, jak mówi mędrzec, co znaczy: dokąd z rozkazu sędziny pędzisz?

— Przedewszystkiém, powiedz mi, co znaczy ta maskarada?

— *Tempora mutantur*, sędziulku, co znaczy: dziś żydzi polują, a szlachta za nimi torby nosi...

— Panie sędzio—rzekł wpół z płaczem Boruch,—niech pan pozwoli położyć tę harmatę na bryczce; ja już dziś całkiem zdrowie straciłem w tym lesie... pan Onufry czasem lubi żartować, a z takiego interesu może być, broń Boże, nieszczęście...

— No dajże tę strzelbę—rzekł sędzia, wyciągając rękę—bo mi cię żal... ale powiedz, zkąd ci u licha przyszła ochota polować?

— Jakie polować? niech moje wrogi mają takie polowanie; ja przyjechałem do pana Onufrego kupić trochę lasu, tymczasem kupiłem sobie tylko frybrę... Żeby pan sędzia nie nadjechał, tobym już do téj pory jaką brzydką słabość dostał! Oj... oj... wołałbym tego lasu nie widzieć...

— Sędziulku kochany, wszystko to jest, uważasz, kłamstwo. Przyjechał dziś do mnie ten oto Boruch, znany ci nasz *benefactor*...

— Przepraszam pana, pan sędzia wie najlepiéj, co ja, Bogu dzięki, nie jestem faktor. Czy ja komu co stręczę? ja sobie uczciwie handluję.

— Nie znasz się na mowie mędrców, *benefactor* to znaczy: taki co pożycza pieniędzy. Więc tedy przyjechał z propozycyą kupienia kilkuset sosen; żeby zaś nie kupować kota w worku, zaprosiłem go do lasu. Wziąłem strzelbę na ramię i poszliśmy owe sosny oglądać *personaliter*, co znaczy: we dwóch.

— Oj — stękał Boruch,—ja sam nie wiem, po co my tam poszli?

— Poszliśmy sosny oglądać, a że gorąco zaczęło doskwierać, a ja już jestem nieco przyciężki, więc tedy prosiłem poczciwego Borucha, żeby mi strzelbę potrzymał.

— To ładne potrzymanie! ja musiałem półtoréj godziny takie maszynę w ręku nieść.

— Czemuś nie rzucił o ziemię?—spytał sędzia. —

— Chciałem to zrobić, ale pan powiedział, że jak tego interes cisnąć na ziemię, to on wystrzeli na dwa lufy i będzie dwa nieszczęście...

— No, nic się nie stało, zawsze przy téj sposobności Boruch czasu nie stracił, obejrzałeś przynajmniéj sosny.

— Żebym ja tak nieszczęścia nie oglądał, jak ja tu ani jednę sosnę nie widziałem. Ja widziałem tylko tego paskudztwo, co musiałem trzymać w garści.

— No uspokój się, Boruchu—rzekł pan Onufry;—o sosnach pogadamy późniéj, teraz wędruj do domu, i staraj się mieć zawsze *mens sana in corpore sano*, co znaczy: kielich szabasówki wieczorem i rano.

— A z sosnami co będzie?

— Pogadamy późniéj. Teraz, kochany sędziulku, gdzie jedziesz?

— Do miasta po doktora.

— Jak to dobrze się składa; zabierz mnie sędzia z sobą, właśnie miałem dziś jechać... to moich koni oszczędzę.

— Ależ owszem, z całą przyjemnością... siadaj pan.

— Słuchaj-no Boruch — rzekł pan Onufry — zrób mi jednę łaskę.

— Panowie to zawsze tak. Nastraszyć żydowi, odebrać jego zdrowia, a potem: zrób mi Boruch łaskę to taka szlachecka procedura!

— Więc nie chcesz zrobić?

— Co nie mam zrobić? ale niech wiem, co pan żąda, chociaż czas paskudny, zawsze trzeba mieć delikatność i serce... trzeba człowieka ratować.

— To też bardzo ci będę wdzięczny, mój Boruchu.

— Nu, ale co ja mam zrobić?

— Bądź łaskaw odnieść tę strzelbę do Wólki.

Jeszcze pan Onufry mówić nie skończył, jak Boruch puścił się gościńcem wielkim pędem...

— Oj, stary! stary!—rzekł sędzia—zawsze ci się figle trzymają!

— *Ridendo castigat mores*, jak twierdzi mędrzec... zapewne pamiętasz który, panie sędzio?

— Zkąd znowuż? siadaj oto lepiéj jegomość i jedźmy.

— Tak jest, *bene!*—rzekł pan Onufry, sadowiąc się na bryce—a co do mędrca, to zapomniałem o tém, mój sędziulku, żeś niewiele romansował z Minerwą.

Sędzia ramionami ruszył.

— Robisz taką minę, jak gdybyś nigdy nic nie przeskrobał, lecz nie bój się, sąsiedzie, nikt nas nie słyszy.

— Głupstwa mówisz, panie Onufry...

— Wiem, wiem, sędzia jest *modestus*, bo ci tak przykazano, a na to ci przykazano, żebyś słuchał. Słuszna rzecz *obedientia*, czyli: siedzenie pod pantoflem.

— Mój panie Onufry, na toż cię wiozę z sobą, żebyś mi przykre rzeczy mówił.

— A przepraszam; jeśli ci przykro, to już nic nie mówię, albo zacznę z innéj beczki... powiedz mi oto, czy

z twoim synem tak źle, że aż sam po doktora jedziesz, chociaż jeden już był.

— Nie, tylko dla spokojności Weronisi...

— Słusznie; spokojność także to skarb drogi, a żona podobno jeszcze droższy... na czém się wreszcie nie znam, bo jestem, jak uważasz, *puer* i *adolescens*, czyli: kawaler do wzięcia.

— Któżby cię wziął?

— Były takie co chciały, zresztą *de gustibus non est disputandum*, co znaczy: każda potwora ma swego adoratora; niedawno nawet chciała mnie uszczęśliwić pewna wdowa, alem jéj grzecznie odrzekł: *non sum dignus*, czyli po polsku: nie głupim!

— Nic nie wiedziałem o tym wypadku...

— Wypadek niewielkiéj wagi, ale jakże twój synek? nie widziałem go już dawno... Jak słyszę, piękny chłop, kubek w kubek tatuś...

Sędzia uśmiechnął się.

— Niczego chłopak, istotnie, kontent z niego jestem.

— Gdzie bywał? co robił przez tyle czasu? O długach nie mów, bo wiem, że każdy syn je robi, taką jest albowiem *rerum* natura, żeby ojcowie za synów płacili.

— Otóż mylisz się, kochany sąsiedzie, mój syn ani grosza długu nie zrobił...

— Czekajże no, sędziulku dobrodzieju, poszukam okularów.

— Na co?

— Chciałbym się dobrze przypatrzeć, jak wygląda ojciec takiego syna, który długów nie robi... takim się mienisz przecie...

— Co to mówić, mój sąsiedzie, wierz lub nie wierz, a ja powiadam ci, że takiego chłopca ze świecą szukać. Ja jestem z niego szczęśliwy i dumny...

Twarz sędziego rozpromieniła się, oczy zajaśniały; opowiadał o swoim synu z zapałem, mówił o jego poczciwości, przywiązaniu do rodzinnego kąta, o zamiarach na przyszłość, a im dłużéj mówił, tém wymowniejszym się stawał, tak, że pan Onufry słuchał w milczeniu, nie przerywając, zdumiony.

Pan Onufry rozmyślał nad tém co słyszał i w głęboką pogrążył się zadumę. Ważył w duchu każde słowo sędziego, czoło marszczył i ruszał wąsami pociesznie.

Gdy wjeżdżali do miasta, już była noc...

Pan Onufry miasta nie lubił. Czuł się jakby nieswoim i skrępowanym w tém rojowisku ludzi wszelkich kondycyj i stanów. Nie mógł swobodnie chodzić po twardym bruku i pełnych wyboi trotuarach, a nieustanne wymijanie i potrącanie z przechodniami doprowadzało go do wściekłości.

Zawsze też wyrzekał i mówił, że daleko lepiéj jest na wsi. Człowiek idzie sobie swobodnie, każdy go zna, przywita, powie dobre słowo... w tych zaś Sodomach i Gomorach nietylko że lada ulicznik porządnego człowieka potrąci, ale jeszcze za kieszeń trzeba się ciągle trzymać, na każdym kroku płacić i płacić bez końca...

To też przyjechawszy do miasta i zająwszy pokój w hotelu, pan Onufry postanowił urządzić się w ten sposób, aby jaknajmniéj gwaru miejskiego słyszéć.

— *In primis*, sędziulku kochany—rzekł,—idź zaraz do owego Eskulapa i proś, żeby jutro rano do drogi był gotów, a jak powrócisz, to sobie przepędzimy wieczór, jak dwaj poczciwi wieśniacy, w spokoju, ciszy i na przyjacielskiéj gawędce.

— A możeby tak do teatru? co?—spytał sędzia.

— Dajże pokój! to jest, jakby ci wytłumaczyć, nie teatr, ale raczéj *tomba obscura*, czyli kurnik; byłem tam raz... niech ich nie znam. Chyba, że sędzia chcesz przyjrzéć się aktoreczkom, co? ale wątpię, czy masz na to dyspensę, czyli mówiąc po ludzku: kwitek od sędziny?

— Co też mówisz?

— Czuję to przez skórę, żebyś takiéj licencyi nie dostał, a zresztą co nam starym z tego przyjdzie? jak cię kocham, sędziulku...

— Masz racyę, panie Onufry.

— Tedy idź do doktora i powracaj, a późniéj zabawimy się *honeste*, jak na uczciwych ludzi przystoi.

Sędzia, zawsze zgodny, nie oponował, przebrał się naprędce i poszedł; pan Onufry tymczasem rozsiadł się wygodnie na kanapce, zapalił fajkę i dumał...

Sędzia powrócił niebawem.

— Tedy—rzekł—interes załatwiony, doktora mam; jutro jedziemy z powrotem.

— *Wybornissime!* ja moje interesa rano załatwię, a teraz, kochany sędziulku, zabieraj się i chodź.

— Ale dokąd?

— Zaraz to zobaczysz...

Przeszli kilka ulic i dostali się w jakieś podwórko, zarzucone beczkami i rupieciami różnemi; w sionce świeciła zakopcona lampka i przy jéj blasku można było dostrzedz drzwi, na których domorosły jakiś artysta wymalował wielkie winogrono niemożliwego koloru...

— Otóż tu jest kres naszych utrapień—rzekł pan Onufry, otwierając drzwi—proszę naprzód, kochany sędzio, śmiało.

Umeblowanie pokoiku było bardzo skromne. Kanapka stara jak świat, kilka krzeseł, czerwony stół, a na ścianie sztych, przedstawiający jak książę Józef rzuca się w nurty Elstery.

Pan Onufry w dłonie klasnął; na to wezwanie przybiegł chłopak, a za nim i sam gospodarz, siwy jak gołąbek, wygolony starannie, odziany w surdut starodawnego kroju.

— Pana Onufrego dobrodzieja witam, witam!— rzekł, kłaniając się nizko—taki gość! taki gość! węglem w kominie zapisać; jakże zdrowie pana dobrodzieja?

— Źle, źle, panie Michale, widocznie muszę mieć gorączkę.

— Przeziębienie...

— Nie, tylko jak ciebie ujrzałem, zaraz mi się okrutnie pić zachciało.

— Mamy na to lekarstwo... piwniczka, chwalić Boga, niepusta.

— Zakręćże się więc sam, panie Michale, i daj nam butelczynę uczciwą, żebym nie potrzebował wstydzić się

za ciebie przed panem sędzią, przyjacielem moim i sąsiadem; pomnij zawsze o tém, że *vox populi vox Dei*, co znaczy: nie dolewaj wody, bo cię obmówią.

— Zawsze pan dobrodziéj łaskaw żartować; ja się wody boję jak ognia, nie pijam jéj nigdy, bo różne słabości na człowieka sprowadza...

To powiedziawszy, kupiec osobiście udał się do piwnicy, ażeby wyszukać butelkę, któraby panu Onufremu do gustu przypadła.

— Powiadam ci, sędziulku, że to nieoszacowany winiarz ten pan Michał. Jest on z pochodzenia *teutonus*, co znaczy dosłownie: kartoflarz, ale wyrodził się od swych braci. Pięćdziesiąt lat węgierskiem winem handlując, nabrał dziwnéj fantazyi i serca. Powiedzno mu, że on jest niemiec, będziesz się miał zpyszna... to *crimen lesae* dla niego, czyli jakbyś go w papę uderzył. Znam ja go dobrze, mój sędziulku. Czy wiesz, że on wędrował aż tam gdzie pieprz nie rośnie, taki ci szwab gorący... a polityk! pogadaj-no z nim tylko.

Kupiec wszedł i postawił gąsiorek na stole. Pan Onufry nalał trochę w kieliszek, skosztował, podniósł do światła i ruszając wąsami, rzekł poważnie:

— Warto buzi! Nie ma co mówić. Biblioteka twoja, panie Michale, zawiera piękne dzieła, *opera magna*, czyli: szacowne flasze. Siądź-że przy nas, bo jak mówi mędrzec: *tres faciunt collegium*, co znaczy: we trzech pić weseléj...

Pan Michał wymówił się brakiem czasu.

— Muszę do sklepu iść—rzekł—ale może późniéj służyć panom będę...

— Polityk! powiadam ci, sędzio! zawsze polityk; nie chciał teraz pić, ale jak przyjdzie, to nam przyniesie buteleczkę świeżą, w lepszym guście... Znam ja go, trzyma on się owéj wzniosłéj zasady mędrca, która mówi: *saepe stylum verte*, co znaczy: stawiaj coraz lepsze.

— I to niezgorsze—rzekł sędzia—wartoby nawet do domu wziąć trochę...

— A widzisz, sędziulku, jak to dobrze mądréj rady posłuchać. Chciałeś iść do teatru, nabawić się bólu głowy, ściągnąć podejrzenia, *bellum civile*, czyli kapelusz od żony... a tutaj siedzisz sobie, jak u Pana Boga, za piecem, gawędzisz z przyjacielem, ciepło ci, dobrze, nie słyszysz wrzawy ani turkotu, zapominasz o kłopotach, jeżeli masz jakie... No, sędziulku kochany, zdrowie twego jedynaka, ale do dna... to *sine qua non*, co znaczy: co do kropli.

Po zdrowiu jedynaka, pan Onufry wzniósł zdrowie sędziny i sędziego, a rozczulony sędzia odpowiedział toastem za pomyślne lata pana Onufrego, ale już z nowéj butelki.

Sędzia zarumienił się już dobrze, chwilami rozczulał się, miał łzy w oczach i był szczególnie skłonnym do zwierzeń...

— Mój sąsiedzie kochany — mówił — mój panie Onufry, już to dawno mam do ciebie trochę żalu, że mnie prześladujesz, a przecież nic ci nigdy złego nie uczyniłem.

— Ja!? ciebie prześladuję! to *calumnia*, dalibóg czysta *calumnia*.

— Zawsze mi wymawiasz, że Weronisię kocham i że jakoby skaczę, jak ona zagra... No, panie Onufry, powiedz tak sumiennie, czyli ja kiedy skaczę?

— No jużcić między nami powiedziawszy...

— Co między nami? co ty mówisz, człowieku. Boże sprawiedliwy!

— Nie alteruj się, sędziulku, że czasem ci przytnę to prawda, ale złego zamiaru, złéj woli w tém nie masz. Zresztą, mój sąsiedzie najdroższy, jeżeli myślisz, że ty pierwszy siedzisz pod pantoflem, to się grubo mylisz... Bywali insi i to nie z takim nosem, jak ty; historya starożytna wiele nam pod tym względem dostarcza szczegółów. Nie ubliżając ci, panie Wincenty, przyznając wysokie zdolności, wykształcenie, śmiem twierdzić, że ś. p. Sokrates chyba był od ciebie mądrzejszy, wszak prawda?

— Cóż za pytanie? przed Sokratesem schylam głowę, jak mi Bóg miły, schylam...

— A widzisz, a jednak pomimo całéj swojéj mądrości był on także *ejusdem coloris*, co znaczy: taki sam pantoflarz. Szanowna jego małżonka, *de domo*, nie pomnę, a imieniem Ksantypa...

— A panie Onufry! godziż się to moją Weronisię do Ksantypy przyrównywać?

— Nie równam, tylko mówię: kołki Sokratesowi na łysinie ciosała, a do tego rzecz prowadzę, żebyś do mnie, sędziulku, urazy nie miał, bo, jak ci powiadam, nie pierwszyś i nie ostatni... Wnoszę toast za zdrowie i długie życie sędziny. Niech żyje!

— Vivat! — rzekł sędzia, spełniając do dna kieliszek.—Mój panie Onufry, Onuferku, przyjacielu i bracie, ty jéj nie znasz... dalibóg, nie znasz jéj.

— Ależ znam, któżby sędziny nie znał. *Virago* to jest, czyli: szlachcic w spódnicy...

— Nie, nie, Onuferku, nie dowódź, nie znasz Weronisi. Pozwól, że ci wytłumaczę... to jest uważasz kobieta... kobieta, która, jakby to powiedziéć, ma, proszę cię, dwie strony ..

— Jak medal?

— Jak medal, ale złoty, złoty Onuferku, dziewięćdziesiątéj szóstej próby! Mówiłem ci tedy, że ma ona dwie strony...

— Domyślam się, *dexteram et alteram.*

— Co ty się możesz domyślać? Tyle lat przeżyłeś sam jeden, jak kołek w płocie, nie zaznawszy rozkoszy ani uciech rodzinnych. Wyrzekłeś się wszystkiego i dziś udajesz znawcę, i dokuczasz swoim przyjaciołom. Ho, ho, mój braciszku, tobie się zdaje, że mnie tak łatwo osiodłać... Powiadacie, że sędzia człowiek cichy, spokojny, Bogu ducha winien... co zresztą jest i prawda... ależ to wszystko nie dowodzi, żebym nie miał być energicznym w potrzebie...

— Oho!—rzekł pan Onufry, ruszając wąsami—anibym się tego domyślał.

— Bo mnie nie znasz, Onuferku, ja widzisz jestem z natury spokojny, ale niechno co, to potrafię dęba stanąć i jak wezmę na kieł, to żeby się świat zawalił, muszę na swojem postawić! Weronisia wie o tém dobrze

dlatego u mnie w domu, to powiadam ci taki słuch, że nie wyobrazisz sobie...

— Wierzę ci, wierzę, chociaż suponuję, czyli przypuszczam, iż sens moralny tego słuchu jest taki, co żona każe, to sędzia robisz... A co, nie przeczysz? *qui tacet consentire videtur*, co znaczy...

— Nic nie znaczy!—krzyknął sędzia, uderzając w stół kieliszkiem—u mnie w domu tylko ja znaczę! Zaraz w pierwszym roku pożycia postawiłem na swojém. Powiadam ci był obiad, dobry obiad ani słowa, ale na końcu podali jakąś cytrynową leguminkę, któréj nie cierpię. Rozzłościłem się strasznie, porwała mnie pasya i rzekłem:—Weronisiu! ja nie jadam takiéj leguminki. Co powiesz, przez tyle lat ani razu mi nie podano téj potrawy... i w obec tego, ty Onuferku, ty mój przyjacielu, krzywdzisz mnie, opowiadasz, że jestem pantofel! a wstydź się! wstydź naprawdę. Może jednak powiesz, że jeden fakt nie jest dowodem? Dam ci drugi. Pewnego razu, także w początkach naszego pożycia, zdrzemnąłem się trochę po obiedzie. Było, jak dziś pamiętam, gorąco, okno do ogrodu otwarte. Ledwie usnąłem, mucha siada mi na twarz, spędzam ją, przylatuje druga, dziesiąta, piętnasta. Co u licha, czy się worek z muchami rozsypał?! kąsają, brzęczą, łażą po twarzy, po nosie, po oczach... Szaleństwo mnie ogarnia, wpadłem w wściekłość; zerwałem się, pobiegłem do żony i powiadam: mnie muchy zjedzą, aniołku! Ona na to nic. Myślę sobie, jak nic to nic, poszedłem w pole i postanowiłem, że jak drugi raz się to stanie i wpadnę znowuż w wściekłość, to zrobię awanturę... Tymczasem co powiesz?

wracam z pola i widzę, że obadwa okna w moim pokoju otwarte. Weronisia stoi na środku, a cztery dziewki wielkiemi gałęziami wypędzają muchy. I wypędziły, jak cię kocham Onuferku, wypędziły co do jednéj, a późniéj Weronisia postawiła pełny talerz trucizny, i tak je wytępiła, że nawet na lekarstwo muchy w pokoju nie było. No, teraz pytam się ciebie, Onuferku: czy ja jestem pod pantoflem, czy nie jestem?

— Sędzio kochany, ty jesteś jak Cezar, możesz powiedzieć: *veni*, *vidi*, *vici*, co znaczy: dziewki wypędziły muchy.

— A ja ci mówię, że dobra żona jest domu korona.

— Za zdrowie korony! nie wdając się w rozbiór. czy cierniowa jest ona czy inna? *Pereat mundus fiat justitia*, co znaczy: świat się przewróci, a kobiety jeszcze nami rządzić będą; zostawmy, sędzio, te sprzeczki i jeszcze raz za zdrowie sędziny!

— Onuferku, mój bracie... tyś się poznał na niéj teraz, tyś ją zrozumiał... i ja ją zrozumiałem i ona mnie także, wszyscy się zrozumieli... Ha! ha! to heca była z temi muchami! bo Weronisia energiczna... żebyś dał rubla za muchę, ani jednéj nie było... żeby rubla za muchę... za jedną głupią muchę... jak cię kocham!

Poczciwy sędziulek przebrał miarkę, oparł brodę na rękach i jeszcze coś niewyraźnie mówił o Weronisi, o muchach, kręcił głową... wreszcie usnął na piękne.

Pan Onufry świeży sobie nalał kieliszek i rzekł:

— Wszędzie upadek! po dwóch butelkach oto już jest *mortus et sepultus*, co znaczy: urznięty i śpiący... i to sędzia! Sprawiedliwości! o! gdzież ty mieszkasz?

Wygolony kupiec z buteleczką w ręku do stancyjki się wsunął.

— Co to—zapytał—już?

— A już, jak widzisz... tacy to teraz ludzie, i uważasz to jest sędzia, *judex et justitiae distributor*, co znaczy: fuszer, który dwóch butelek nie zmoże...

— Fuszer! fuszer!—potwierdził kupiec, otwierając butelkę.—Gdzie dziś ludzi szukać, panie Onufry dobrodzieju, gdzie? Niema już ich, pomarnieli, przepadli. Znasz pan to wino assesorskie na dukata? Dobre winko, jak dzieci kocham doskonałe...

— Znam, przepyszne! Żeby gorszém nas Bóg nie *karał do* śmierci.

— Proszę pana dobrodzieja, dziś pies o nie nie spyta. Radca, poczciwy nasz radca, przeniósł się do wieczności; pan Damazy chory od lat trzech, nogi mu puchną, pan Seweryn wyniósł się do Warszawy... Niema komu butelki wina sprzedać, jak poważam pana dobrodzieja.

— Jednak targujesz!

— Ale co? lurę! fabrykowany portwein i szampańskie, ma się rozumiéć na kredyt... Co pan myślisz? albo się oni znają na rzeczy?

Tak gawędzili sobie pan Onufry z kupcem, susząc butelkę powoli, a sędzia, wsparłszy głowę na stole, spał snem sprawiedliwego, od czasu do czasu mówiąc niewyraźnie o Weronisi i muchach...

Tegoż samego wieczora, gdy sędziulek ze swym sąsiadem i przyjacielem zabawiali się w oficynie pana Michała, w Bajkowszczyznie okna były oświetlone.

Pan Stanisław z Zielonki przyjechał odwiedzić chorego przyjaciela.

Chory czuł się znacznie lepiéj; ubrał się i wyszedł na przywitanie kolegi.

— Jak się masz, Jasiu?—rzekł gość—nastraszono mnie, sądziłem, żeś bardzo cierpiący.

— Nic mi nie jest; w istocie zaziębiłem się trochę, a poczciwa moja mateczka rozesłała zaraz na wszystkie strony po lekarzy; nawet ojciec sam pojechał po jakąś znakomitość, która, jak widzisz, pofatyguje się do nas bez potrzeby.

— Nie, Janku, tak nie mów—wtraciła sędzina—w kwestyi zdrowia nigdy ostrożności nie jest zawiele. Jak cię zobaczyłam po przyjezdzie słabym, cierpiącym, zmienionym, byłabym posłała nie wiem po kogo, aby cię tylko ratować. Niech cię to nie dziwi, mój kochany; serce matki jest drażliwe na cierpienia dziecka.

— Poczciwa, droga mateczko!—rzekł pan Jan, całując ręce sędziny—alarm był zbyteczny, ale przekonałem się przy téj sposobności, że nie jestem mateczce obojętnym.

— Zapewne pierwszy raz, Jasiu?

— Setny! tysiączny! milionowy!

— Nie licz, nie licz, mój Jasiu, bo nie doliczysz się—rzekła sędzina — zabaw lepiéj gościa. Ale dlaczego, panie Stanisławie, Marcia nie była na nas łaskawa?

— Nie mogła, proszę pani, serdeczne ukłony kazała załączyć.

— Szkoda! wielka szkoda, doprawdy.

— Ach pani sędzino, rzecz do powetowania...

— Trzymam za słowo; panna Marta bardzo się z wizytami liczy, a jednak gdyby wiedziała, jak ją kocham, to może byłaby nieco mniéj skrupulatna w rachunku. Proszę jéj to powtórzyć, panie Stanisławie, dosłownie, tak jak powiedziałam.

To mówiąc, sędzina wyszła z pokoju, dwaj młodzi ludzie pozostali sami.

— Cóż, Stasiu—rzekł sędzic—jakże tu czas spędzałeś? czy pogodziłeś się ze wsią, z gospodarstwem?

— Eh! mój drogi, dużoby o tém mówić! Łudziłem się z początku; zdawało mi się, że będę pożytecznym, że coś zrobię; tymczasem widzę ze smutkiem, że nie jestem ani w roli swojéj, ani w swojém żywiole. Ot wegetuję z dnia na dzień, a co mnie boli najwięcéj, to owo przeświadczenie wewnętrzne, że jestem jakby piątém kołem u wozu, że czas tracę napróżno.

— Smutno to przyjść do takiego przekonania... mam jednak nadzieję, że wyleczymy cię z téj apatyi. Przebacz mi, kochany Stasiu, że przerywam tę rozmowę, gdyż niejednokrotnie powrócimy do niéj, ale chciałbym coś usłyszéć o twojéj siostrze.

— Zawsze ta sama, entuzyastka. Jéj się zdaje, że jest na jakiémś arcyważném stanowisku, niby kapłanka, mająca szerzyć wokół prawdę i światło, krzewić cnoty i moralność, pracowitość i zacność. Zwyczajnie młoda. Niech-no kto zachoruje we wsi, ona już tam jest z radą

i pomocą, w ważniejszych wypadkach po doktora na swój koszt posyła; wszystkie zamorusane wiejskie bachory zna po imieniu, a jak przyjdzie Boże Narodzenie, to rozdaje im książeczki, ubrania, podarunki różne. Entuzyastka powiadam ci zawzięta, i co gorsza, niczém jéj nie wyperswadujesz, że to nie prowadzi do niczego.

— Po cóż perswadować? dlaczego jéj przeszkadzać w dobrém?

— W dobrém? To bardzo względne... i mnie się kiedyś zdawało, że tu można czegoś dokonać, jakiś dodatni wpływ wywrzéć, lecz dziś, zniechęcony, machnąłem ręką na wszystko... i gdyby nie siostra, która ma sprzymierzeńca...

— Sprzymierzeńca?!

— Tak, tak; ale niech cię to nie straszy. Sprzymierzeńcem jéj jest ksiądz Andrzej z Komorna, znasz go przecie.

— Co prawda, niewiele; od czasu, gdym do szkół poszedł, tak rzadko bywałem w domu, że nie miałem sposobności poznać go bliżéj i ocenić; sądząc jednak z tego, co mi matka mówiła...

— Jest to także entuzyasta, chociaż staruszek. Dziwny człowiek. Zrywa pierś na ambonie, po pół dnia przesiaduje w konfesyonale, biednych wspiera i łudzi się, że to wszystko, co robi, jakieś owoce przyniesie. Wyobraź sobie, że ten stary człowiek stosunkowo do swego wieku jest jeszcze bardzo młodym księdzem.

— Nie wiedziałem o tém.

— Historya jego jest bardzo ciekawa. Szczegóły jéj tu w naszéj okolicy mało kto zna; on sam zaś lubi mówić o wszystkiém, byle tylko nie o sobie.

— Zkądże ty ją poznałeś?

— Ksiądz Andrzej jest dość blizko z nami skuzynowanym, gdyż matka moja jest Nałęczówna z domu. Zawdzięczamy mu téż wiele, niedawno nieproszony przyszedł nam z pomocą i jeżeli jesteśmy dotąd jeszcze w Zielonce, to tylko jemu możemy zawdzięczać.

— Jakto? byłożby z wami tak źle...

— Cóż mam taić przed tobą? Interesa nasze nie są świetne, hypoteka obciążona, a dochody wcale nieosobliwsze. Zapobiegliwość Marci i oszczędne życie, jakie prowadzimy, byłyby nie ochroniły nas od katastrofy, lecz w chwili najkrytyczniejszéj ksiądz przyszedł w pomoc i... wegetujemy daléj.

— Mówisz to takim tonem, jakbyś nie był kontent z takiego obrotu rzeczy.

— Nie mam się z czego cieszyć. Siedzę tu, bo tak chce siostra, a przecież jéj saméj w tém pustkowiu zostawić nie mogę, jednak gdyby byli Zielonkę sprzedali, miałbym rozwiązane ręce... Wiesz, Jasiu, że ja się tobie wydziwić nie mogę, słysząc, że masz zamiar osiedlić się tu na stałe. Przepędziwszy tyle lat w ogniskach cywilizacyi, wśród zupełnie innych warunków, osiąść w Bajkowszczyznie, chcieć tu strwonić najpiękniejsze lata życia, to niepodobieństwo!

— Zasada...

— Zasada! zasada!—rzekł z gorzkim uśmiechem Stanisław—doprawdy bawią mnie te wasze zasady! jest

w nich coś tragi-komicznego, mój Jasiu. Robicie na mnie wrażenie człowieka, który, mając ręce i nogi związane, zamierza wdrapać się na szczyt wysokiej wieży. Nie, nie, mój Jasiu, łudzisz się; gdy pobędziesz pomiędzy nami rok, dwa, trzy najwyżéj, przyjdziesz do tego samego rezultatu, do którego ja przyszedłem. Powiesz, że szkoda sił twoich, szkoda młodych lat, straconych zdolności szkoda...

— Ależ pozwól-no...

— Daj mi dokończyć. Sądzę, że możemy mówić spokojnie, trzeźwo, zupełnie jak gdyby o kwestyi osobiście nas nie interesującéj.

— Owszem, mówmy więc.

— Skoro tak, streść mi więc swój program, powiedz mi pan, czego chcesz dokonać?

— Łatwa odpowiedź: po pierwsze chcę utrzymać w ręku ten kawałek ziemi, który posiadamy... chcę stać silnie na nogach, nie dać się ruszyć, być zupełnie niezależnym pod względem materyalnym.

— Piękne żądanie. Zapominasz jednak, że jesteś, jako gospodarz, po tysiąc razy zależnym, pierwszy lepszy kaprys atmosferyczny lub losowy może cię zgubić ze szczętem, zniweczyć całą twoją pracę.

— Mylisz się, mój Stasiu; kaprysy losowe nie zdarzają się codzień, a wyjątkowe klęski wyjątkowo tylko przychodzą; na grad lub ogień mam asekuracyę; co się zaś tyczy nieurodzajów, które, jak ci wiadomo, nie zdarzają się co rok, to należy tak urządzić gospodarstwo, żeby na jedno źródło dochodu nie liczyć; nie dopisze jedno to drugie, nie drugie to trzecie.

— Słyszałem już niejednokrotnie te dowodzenia. Teorya bez zaprzeczenia piękna, ale w zastosowaniu, w praktyce wygląda inaczéj... i takich teoretyków wyzuwają z własności, na równi z innymi śmiertelnikami.

— Niemożliwy jesteś, mój Stasiu; sądząc według tego co mówisz, zdawałoby się, że wszyscy stoimy na wulkanie, że jutra nikt pewien nie jest.

— Alboż inaczéj jest?

— Ależ przez tyle lat, które przecież ciężkiemi nazywano, w okolicy naszéj nie wyzuto z mienia nikogo; chyba, że ktoś sam chciał pozbyć się fortuny i zapragnął wygodnego życia w mieście. Na przykład podaję ci naszego sąsiada Wrzeszcza.

— Ach! pana Onufrego!

— Ten chyba świetnie nie stoi; ile razy przyjeżdżam do domu, tylekroć słyszę o jego różnorodnych kłopotach, a jednak siedzi on w swéj Wólce i chyba nieprędko wyrzucą go ztamtąd.

— Pan Onufry! ależ to nie dowód. To oryginał, który komorników fetuje, zawsze jest ze swego losu zadowolony. To dziwak.

— Dziwak czy niedziwak, ale się nie daje, gospodaruje niezbyt świetnie wprawdzie, nie według wymagań postępu, lecz porządnie; wszystko w swoim czasie zrobi, inwentarze ma niezgorsze. Tak przynajmniéj mówił mi mój ojciec, który przecież zna się na tém. Do tego rzecz prowadzę, żeby ci dowieść, że ostatecznie przy pracy na kawałku ziemi utrzymać się mo-

żna, a kto się pracy nie leni, kto z wiarą w siebie stara się utrzymać ojcowiznę w ręku, ten ją i utrzyma.

— Zgoda nawet i na to, ale powiedz mi, Jasiu, a powiedz szczerze, czy wyprodukowanie pewnéj ilości korcy pszenicy jest ostatecznym celem życia?

— Któż to mówi?

— Może myślisz jeszcze o czém innéin teraz, boś młody, bo jaśnieją przed tobą jakieś ideały i nęcą cię swoją pięknością; ale za lat kilka w prozie powszedniego życia ideały znikną, a natomiast przyzwyczaisz się widzieć szczyt szczęścia w pszenicy i okowicie. Zrobisz się ekonomem, zapomnisz, czego się kiedyś uczyłeś, nie odświeżysz niczém umysłu. Będziesz dobrze jadł, dobrze pił, nabierzesz tuszy, a całą twoją rozrywką duchowną stanie się wist z licytacyą lub preferans.

— Kruku, nie kracz! Nie z temi zamiarami przychodzę tutaj. Ostatecznie nie zarzekam się produkowania pszenicy, okowity i innych towarów, bo te dają pieniądze, a pieniądz jest siłą; nie zaprzeczam także twoim prognostykom co do tuszy i wista z licytacyą. Lecz wszystko to nie przeszkodzi mi rozwijać swoich planów i dążyć wytrwale do celu.

— Do robienia pieniędzy?

— Powiedziałem ci, że i to dobre, ale poza tém jest lud.

Stanisław zerwał się z krzesła.

— Słuchaj-no, Jasiu—rzekł—mam ja już ludu po same uszy! Dziś miałem sprawę z chłopem, który przez dwa miesiące kradł mi drzewo w lesie, więc już mnie tym ludkiem nie częstuj. Przyjedź do Zielonki, tam

Marcia słuchać cię będzie z największą uwagą, oprócz tego poszlę jeszcze po księdza Andrzeja, mniemam bowiem, że we troje przerobicie całą parafię na raj ziemski. Nie będzie już chłopów, tylko aniołowie w sukmanach i cherubiny w zapaskach. Może rozciągniecie swą działalność daléj jeszcze i ucywilizujecie żydów.

— Żartuj sobie, mój Stasiu, to nam nie przeszkodzi robić swoje; szczerze się ucieszyłem, słysząc, że i ksiądz Andrzej podziela zdanie twéj siostry.

— Ksiądz Andrzej jest, jak powiedziałem, dziwak i entuzyasta, przed kilkoma dniami dał tego nowy dowód.

— Jakiż?

— Trzeba ci wiedziéć, że umarł w Komornem chłop, Maciéj Paliwoda.

— Ten staruszek, pamiętam go dobrze.

— Tak, dawny wojskowy, weteran; ile tam dębczaków i sosen miał na sumieniu? ile razy łąki cudze wypasał? nie wiem; zresztą był chłopisko niezły, a przynajmniéj lepszy od innych. Otóż chłop ten umarł. Dotąd rzecz zwykła; ksiądz Andrzej jednak zapragnął tę okoliczność dla swoich celów wyzyskać; wyprawił mu więc wspaniały pogrzeb, a zanim trumnę spuszczono do grobu, wypowiedział mowę. Ludzi było dużo, pomimo dnia roboczego zgromadziło się mnóstwo chłopów z całéj niemal parafii.

— Widocznie więc ów Maciéj musiał miéć dużo życzliwych?

— Zapewne... taki stary! pokumany, spokrewniony z wieloma rodzinami w sąsiednich wioskach, znali go tu wszyscy.

— Cóż w tém za osobliwość; rodzina nieboszczyka zapłaciła, więc ksiądz mowę powiedział.

— Nie znasz księdza Andrzeja. Nie cierpi on wszelkich panegiryków pośmiertnych, i bywały wypadki, że chociaż dobrze chciano mu płacić, od mów wymawiał się. Tymczasem, na chłopskim pogrzebie palnął mówkę z własnéj inicyatywy.

— Mocno żałuję, że nie należałem do liczby słuchaczów.

— Zapewne, z twego punktu widzenia rzeczy była to mowa świetna. O nieboszczyku powiedział niewiele, ale mówił, jakiém powinno być życie i postępowanie chłopa. Pod względem krasomówczym była to rzecz świetna, aczkolwiek wyrażona w sposób dziwnie prosty i przystępny.

— Wiesz, Stasiu, już z opowiadania twego pokochałem księdza Andrzeja, widzę, że to prawdziwy przyjaciel i nauczyciel ludu.

— Et!—rzekł Stanisław, machając ręką—cóż z tego? gdzie owoce jego pracy?

— On nie pyta o owoce; sieje tylko zdrowe ziarno, niech pięćdziesiąt ziarn zmarnieje, a pięćdziesiąt wyda zbiór dobry, on będzie szczęśliwy.

— O czém tak panowie rozprawiacie — rzekła, wchodząc, sędzina—przepraszam, że tak długo byłam nieobecną, ale gospodyni trzeba wybaczyć. Chodźcież do stołu.

— Mateczko—rzekł pan Jan—dowiaduję tu się różnych rzeczy o naszym księdzu Andrzeju... a mama nic mi o nim nie mówiła.

— Moje dziecko, niech mu Bóg da jaknajdłuższe lata, to człowiek, który dużo dobrego czyni. Znajdziesz sam sposobność przekonania się o tém. Co robi siostrzyczka, panie Stanisławie?—zapytała sędzina gościa.

— Marcia, pani sędzino, jak zwykle, gospodaruje w swoim zakresie; wyrabia różne dziwa z masłem i serami, które ma podobno posłać do Afryki.

— Żartujesz pan z siostry!

— Wypsuła mi cały zapas desek na ule, tak, że już do ogrodu nie wychodzę z obawy o całość nosa; no i zajmuje się chłopskiemi dziećmi, których zawsze pełno koło niéj.

— A mówiłeś pan, że cierpiąca...

— O! to jéj nic nie przeszkadza, témbardziéj, że wynalazła teraz nowy rodzaj zabawki.

— Cóż takiego?

— Przypomniało jéj się, że niegdyś w Warszawie uczyła się robienia koronek...

— Więc uczy?

— Tak... i wynalazła nawet jakąś Frankę, która podobno ma niezwykłe po temu zdolności.

— To wybornie!

— Czy wybornie nie wiem, ale to rzecz niewątpliwa, że nigdy się z moją siostrą dogadać nie mogę. Chciałbym z nią porozmawiać, gdzie tam! panna Marta jest w oborze; panna Marta poszła do choréj baby, która się przepiła na odpuście; panna Marta pokazuje Fran-

ce nowy deseń, panna Marta uczy jakiegoś Mikołajka czytać; słowem jest dla wszystkich zawsze, ale dla mnie bardzo rzadko.

— Nie zrzędź pan—rzekła sędzina—powinieneś raczéj cieszyć się.

— Nie mam z czego. Powody do zmartwienia są zawsze; choćby i wczoraj.

— Cóż nowego?

— Przyjechał z Warszawy młody Sielski, synowiec i spadkobierca owego nieboszczyka radcy Sielskiego, który, jak pani wiadomo, ma na hypotece Zielonki dość znaczną sumę zaraz po Towarzystwie. Ostatecznie jest to nasz największy wierzyciel i dawny znajomy, ale zawsze wierzyciel... Marcia podczas pobytu na pensyi w Warszawie mieszkała u państwa Sielskich, i była z niemi w wielkiéj przyjaźni. Nawet podobno pan Edward, właśnie ten sam, który wczoraj był u nas, zajmował się bardzo Marcią, i nawet oświadczał się o jéj rękę, ale ponieważ Marcia była jeszcze bardzo młodziutka, odmówiono mu. Obecnie, po śmierci stryja, stał się właścicielem sumy na Zielonce i przyjechał w tym interesie.

Pan Jan niecierpliwie poruszył się na krześle...

— Jakkolwiekbądź — ciągnął daléj Stanisław— takiego gościa, choćby ze względu na dawny stosunek, należało przyjąć serdecznie. Tymczasem Marcia ledwie raczyła się na chwilę pokazać przy obiedzie i nie wiem czy dziesięć słów zamieniła z gościem... ale za to Franka dokładnie wyuczyła się nowego deseniu.

Naturalnie robiłem wszystko, co mogłem, żeby pana Edwarda dobrze przyjąć.

— Czy już odjechał?—spytała sędzina.

— Prosił o konie na nocny pociąg i pojechał... czemu się wcale nie dziwię. Zapowiedział jednak, że niedługo powróci.

— Zapewne, że powróci, choćby dla saméj sumy.

— Tak, témbardziéj, że jest to człowiek niezamożny, a ten fundusz, który przychodzi na niego drogą spadku, to jest owa suma na Zielonce, jest zapewne całym jego majątkiem.

— A cóż ten pan robił dotychczas?

— Pracuje na drodze żelaznéj. Jest to technik.

Pan Jan zamyślił się przez chwilę, potém skierował rozmowę na inne kwestye, opowiadał o pobycie swoim za granicą, o różnych fabrykach, które zwiedzał, nareszcie zwierzył się przyjacielowi z zamiarem założenia zakładu przemysłowego.

Stanisław uśmiechał się z wyrazem pewnego powątpiewania.

— To jest konieczne—mówił pan Jan—dotychczas zamało zajmowaliśmy się przemysłem, ztąd téż wszystkie fabryki są w ręku niemców, tak jak handel w ręku żydów. Znośniéj z tém było jeszcze wówczas, kiedy ziemia, niewymęczona i niewyczerpana jak dzisiaj, rodziła bez nakładów, obfitość lasów dawała na zawołanie pieniądz, a chleb był tańszy i ludzi mniéj niż dzisiaj. Teraz, inne są czasy, powinniśmy pomyśléć, że ludzi już jest dużo, a ziemi nie przybywa. Chłop-gospodarz grzebie się jako tako na swoim kawałku, który dla

niego wystarcza; ale należy wziąć na uwagę, że ten chłop ma kilkoro dzieci, że te dzieci pożeni i wtenczas drobna fortunka nie wystarczy na wyżywienie kilku już rodzin. Musimy więc dla nich wytworzyć przemysł.

— Piękne to są bezwątpienia teorye, ale, powiadam ci Jasiu, że o takich rzeczach mów lepiéj z Marcią, ona prędzéj cię zrozumie. Co do mnie, mam już tego dość i jeżeli Sielski będzie żądał stanowczo swéj sumy, postawi mnie tym sposobem w konieczności sprzedania majątku; to, między nami powiedziawszy, wyświadczy mi wielką a wielką przysługę. Miałbym już raz przynajmniéj rozwiązane ręce i poszedłbym tam, gdzie praca moja mogłaby być istotnie na coś komu przydatną.

— Ej, panie Stanisławie, panie Stanisławie—rzekła sędzina—nie lubię tego słuchać. Pan, *szlacheckie* dziecko, czujesz się nie swoim, tu na wsi!

— Więc téż przerwijmy tę dyskusyę, témbardziéj, że już późno... ja pożegnam państwa i zarazem w imieniu własném i Marci zapraszam do nas na niedzielę. Mam nadzieję, że Jaś będzie zupełnie już zdrowym i przyjedzie. Będą starzy znajomi i sąsiedzi: ksiądz Andrzéj, pan Onufry, stary pan Rafał z Komorna... i, niech pani sędzina zgadnie, kto jeszcze...

— Może państwo Czarnowscy z Zajezierza?

— Nie, z niemi nie jesteśmy w bliższych stosunkach; będzie nowy sąsiad, który niedawno się sprowadził w te strony.

— Z Bogatego?

— Tak, pan Kintz. Złożył nam wizytę, późniéj rewizytowaliśmy go z Marcią i zaprosili na niedzielę. Przyjedzie z córką.

— Poznałeś pan ją? ma być niezwykle piękna.

— Rzeczywiście... jest to panna wyjątkowéj a oryginalnéj urody. Szczególny typ. Włosy jéj wpadają w kolor rudy, czerwonawy prawie, oczy duże, a czarne jak smoła; przytém twarz osobliwéj białości, figurka prześliczna, a ręka...

— Tak ją dokładnie opisujesz, mój Stasiu, iż można przypuszczać, że zajechała ci w głowę, jak fura siana...

— Nie. Ma w sobie coś demonicznego, a ja wolę w kobiecie łagodność i słodycz... zresztą raz ją tylko widziałem, więc na to, żeby mi zajechała w głowę, nie było jeszcze czasu.

— Ale będzie jeszcze—rzekła z uśmiechem sędzina.

— O nie! jabym się jéj bał. Gdy mówi, a zwłaszcza gdy chce czegoś dowodzić, to oczy jéj błyszczą szczególniejszym ogniem...

— Zaciekawiasz mnie, mój Stasiu; ale powiedzże mi przedewszystkiém, co zacz jest ów pan Kintz? Zkąd się tu wziął?

— Albo ja wiem; bogaty kapitalista podobno. O ile wiem, włóczył się z córką po świecie, bywali w Wiedniu, Paryżu, Konstantynopolu, przez rok mieszkali nawet w Kairze. Teraz, jak mówi, na stare lata kupił wioskę i chce odpocząć.

— Jakiéj narodowości jest?

— Powiada, że polak; nazwisko wszakże niepolskie. Podobno dziadek czy pradziadek jego przywędrował tu z Saksonii i osiadł; nieboszczka zaś pani Kintz, bo wdowcem jest ten jegomość, była, jak mówią, rodem z Francyi.

— No, ale panna rozsądna, wykształcona?

— O tak! co do wykształcenia, mówi wszystkiemi językami europejskiemi i gra prześlicznie, chociaż przyznam ci się, że ja i jéj gry słuchać nie mogę.

— Dlaczego?

— Działa mi na nerwy. Zdaje się, że całe piekło szaleje w tych akordach, które ona wydobywa.

— Intrygujesz mnie, Stasiu; przyjadę więc w niedzielę, choćby dla poznania téj rudéj dyabliczki, która ci tak na nerwy działa.

— Strzeż się jednak... dyabliczki niebezpieczne bywają.

V.

Pierwszą osobą, która w niedzielę zajechała przed dwór w Zielonce, był pan Onufry.

Przyjechał jeszcze za dnia, na swoim wózku węgierskim, ubrany w długi szlafrok płócienny od kurzu, w kapeluszu z szerokiemi skrzydłami.

— Zdaje mi się, że jestem pierwszy—rzekł do Stanisława, który wybiegł na ganek, aby gościa powitać.—

Pierwszy albo *primus*; takim właśnie bywałem zamłodu, zwłaszcza w szkołach, gdziem ostatnią ławkę miał w dzierżawie wieczystéj. Jak się ty miewasz, panie Stanisławie? jak się miewa twoja śliczna siostrzyczka. *pulcherrima puella*, co znaczy: karmelek dziewczynka! Oj, żeby nie szósty krzyżyk na karku i reumatyzm w kościach... Bo trzeba ci wiedzieć, mój Stasiu, przepraszam, że cię tak familiarnie nazywam, ale i ja zamłodu nie byłem szpetnym chłopcem, czego ślady zapewne widzisz. Ale to już uważasz *praeteritum plusquam perfectum*, co znaczy po polsku: był to obraz, ale oblazł.

Sapiąc jak miech, Onufry wtoczył się do przedpokoju, zdjął z ramion płócienny kitel, otrzepał się z kurzu i wszedł do sali, w któréj znajdowała się już panna Marta.

— *Servus, servus et sclavus*—rzekł—co znaczy: proszę o rączkę; sługa uniżony najpiękniejszéj mojéj sąsiadki, do nóżek upadam...

— Witam łaskawego pana—rzekła panna Marta, podając gościowi rękę, którą ten do ust przycisnął.

— Dziwisz się pani zapewne, żem pierwszy, ale, jak powiada pewien mędrzec arabski, czy chiński, bo już dalibóg nie pamiętam: zakochany jak komar dąży do płomienia, w którym sobie skrzydła opali.

Panna Marta rozśmiała się.

— Moja pani dobrodziejko, *amicus Plato sed magis amica veritas*, co znaczy: piękność kochaj jak rarytas; nie sądzę, abyś pani zabroniła sąsiadowi żywić w sercu jakieś afekta, czyli sentymenta, lub jeżeli pani wolisz'

zachwyty. Co się rzekło bardzo a bardzo w porę, gdyż oto widzę, iż się zatacza landara sędziny, która, jako formalistka, stawia się dzisiaj w asystencyi męża... i jeżeli się nie mylę, syna. Oh! oh! panno Marto, jeszcze chwilkę, jeszcze nie wjechali w bramę, są dopiero *ante portas*, co się tłumaczy koło karczmy; ale patrzno, pani dobrodziejko, jakowaś kara czwórka ich wymija. Konie jak lwy, i powozik mości dobrodzieju jak z igły. Któż to u licha?

— Pan Kintz z córką—rzekł Stanisław.

— Pan Kintz! Słusznie, bardzo słusznie, teraz tylko niemcy mogą takiemi powozami jeździć. Z córeczką... no proszę...

— Śliczna panna!—wtrąciła panna Marta.

— Prawda — rzekł pan Onufry—trochę w niéj żydówki, trochę wiewiórki, a trochę dyabła.

— Cicho, przestań pan!—rzekła Marcia—już są przed gankiem.

Rzeczywiście jednocześnie prawie obadwa powozy zajechały przed dom. Z pierwszego wysiadł sędzia z sędziną i z synem, z drugiego pan Kintz z córką.

Po wprowadzeniu gości do salonu i prezentacyi wzajemnéj, sędzina zajęła miejsce na kanapie i zaczęła rozmawiać z panną Martą. Pan Stanisław zabawiał Kintza, do którego przysunął się pan Onufry i sędzia, zaś pan Jan czynił honory Kintzównie.

Trzeba przyznać, że ta ostatnia wyglądała prześlicznie. W czarnéj jedwabnéj sukni figurka jéj wydawała się jeszcze wiotszą, a twarz bielszą, oczy zaś, duże, rzucały olśniewające blaski.

Przybywali inni jeszcze goście, tworzyły się nowe grupy, lecz panna Kintz tak umiała prowadzić rozmowę, tak sędzica zająć, że młody ten człowiek ani na chwilę opuścić jéj nie mógł.

Panna Marta, jako gospodyni domu, zanadto była zajętą, aby na ugrupowanie się gości mogła zwracać pilniejszą uwagę.

Panna Kintz była wymowna i wesoła, a chwilami, gdy rozmowa zeszła na poważniejsze przedmioty, to mówiła o nich z takiém przejęciem się i zapałem, że sędzic wpatrywał się w nią jak w obraz i słuchał niepomiernie zdziwiony.

Z opowiadania Stanisława wyobrażał on sobie, że spotka jakąś istotę dziwaczną, ekscentryczną, rozpieszczoną jedynaczkę, wreszcie artystkę może—lecz zawiódł się zupełnie. Ona, jak mówiła, czy to w uroczych górach Szwajcaryi, czy pod pogodném niebem Włoch, zawsze marzyła o wiosce polskiéj, o szarém, pochmurném niebie, czarnych lasach sosnowych i tych wielkich płaszczyznach zbożem okrytych. Marzyła zawsze o nich, i ostatecznie namówiła ojca, żeby taką cichą wioseczkę nabył. Znała dobrze poezyę i muzykę wszystkich cywilizowanych krajów, ale nad Bajrona przenosiła Mickiewicza, a nad mistrzów włoskich rzewne pieśni Moniuszki lub Szopena. Gdy mówiła o nich, głos jéj stawał się dziwnie melodyjnym i śpiewnym, niby syreni, a oczy robiły się wilgotne, jak gdyby od łez.

Pan Jan nie spostrzegł nawet, że czas bieży szybko, że panowie zasiedli już do kart i że Marcia, rozma-

wiająca z sędziną i dwiema starszemi paniami, rzuca na niego z pod spuszczonych powiek przelotne, jakby pytające spojrzenia.

Już się dobrze zmierzchało, gdy dryndulą, w jednego zaprzężoną konika, z Szymonem na koźle, przyjechał ksiądz Andrzej.

Stanisław i panna Marta pośpieszyli na przywitanie gościa. Sędzina podniosła się z kanapy, panowie powstali od kart.

— Nie przeszkadzajcie sobie — mówił ksiądz — a tu z panami pogawędzę, a przedewszystkiém pilno mi pana Jana zobaczyć. Lubię ludzi wracających z obczyzny, zwłaszcza jeżeli z niéj swoim co dobrego przynoszą. Chodźże-no tedy, panie Janie, opowiadaj nam, mów. Byłbym sam do was przyjechał, ale z powodu zajęcia nie mogłem. Zawsze coś wypadnie: ludzie rodzą się, żenią, umierają, chcą się spowiadać lub modlić, a ksiądz dla wszystkich na każde żądanie być musi. Zróbże, panie Janie, dla starego ustępstwo i opowiedz-no swoje dzieje i zamiary, bom ciekawy bardzo, jak każdy starowina, mój młody przyjacielu...

Pan Jan przysunął się z krzesłem bliżéj i opowiadać zaczął, ale nie szło mu jakoś; czuł ciągle na sobie magiczny wpływ spojrzeń czarnych oczu, które wciąż zwracały się ku niemu.

Zdaje się, że panna Marta dostrzegła te spojrzenia i ich wpływ, bo posmutniała jakoś, i może obrażona, trzymała się od sędzica ciągle zdaleka, starając się innymi tylko gośćmi zajmować.

Po kolacyi, goście znów się znaleźli w salonie, drzwi wychodzące do ogrodu były otwarte. Przez nie dolatywał zapach kwiatów i szmery nocy letniéj.

Zachwyceni pięknością wieczoru, goście wyszli na werendę — wszyscy, oprócz panów w karty grających i panny Kintz, która otworzyła fortepian i uderzyła kilka akordów.

Z pod jéj palców popłynęła jakaś dumka dziwnie rzewna, tęskna, rozmarzona, jak echo pieśni brzmiącéj daleko na stepach, pieśni starego lirnika, opiewającego smutne dzieje. Późniéj tony wzmacniały się, potężniały, rosły, wybuchnęły burzą akordów, w których słychać było jak gdyby odgłos gromów, jęków i przekleństw... nareszcie i gromy ucichły i ustąpiły miejsca poważnym tonom modlitwy.

Podczas gdy rozlegały się dźwięki muzyki, wszyscy milczeli—panna Marta zadumana przechadzała się po alei, nawet pan Onufry, który chwilowo od kart był wolny i znajdował się na werendzie, ani jedném słowem nie przerwał milczenia...

Ksiądz Andrzéj szepnął do sędziny:

— Artystka...

Pan Jan przetarł ręką blade czoło, jak gdyby chciał odpędzić myśli, na gwałt się do głowy cisnące.

Gdy ostatnie dźwięki ucichły i rozpłynęły się w ciszy nocy letniéj, panna Kintz skinęła na ojca i szepnąwszy mu kilka słów do ucha, zaczęła się do odjazdu zabierać. Sędzina, wymawiając się bólem głowy, również chciała odjechać.

Panna Marta, zazwyczaj bardzo gościnna, dziś jednak nie zatrzymywała nikogo.

Naprzód odjechał Kintz z córką, potém sędziostwo z synem, za niemi reszta towarzystwa. Pozostali tylko domowi, ksiądz Andrzej i pan Onufry.

Ten ostatni gawędził z panem Stanisławem i osuszał butelkę, która mu jakoś dziwnie przypadła do gustu; ksiądz Andrzej zaś, usiadłszy przy Marci, prowadził z nią rozmowę.

— Posmutniałaś mi, dzieweczko — rzekł łagodnie—a i ten twój pan Jan dziwnie był roztargniony. Czy zaszło co pomiędzy wami?

— Zkąd znowuż?! Smutna jestem to prawda, bo mnie nieznośnie głowa rozbolała... a co się tyczy pana Jana, którego nie wiem z jakich powodów ksiądz kanonik nazywa moim, cóż mam powiedzieć? Nie zaszło pomiędzy nami nic, gdyż, co prawda, nie rozmawialiśmy nawet z sobą...

— Że téż to wy młodzi zawsze musicie się sprzeczać.

— Sprzeczać?

— Co w bawełnę owijać? Dotychczas nie miałaś przedemną tajemnic i w duszy twéj czytałem jak w książce otwartéj, zkądże dziś te półsłówka, Marciu. Sądziłem, że dziś właśnie zastanę cię ożywioną, wesołą, zajętą panem Janem.

— Pan Jan...

— Aha, mościa panno, mam cię wreszcie! Już! teraz wiem o co idzie... Ale jesteś w błędzie. gotów jestem za sędzica ręczyć.

— Nie należy za nikim zaręczać zbyt pohopnie.

— No, no; nie martw się, kochanie; przecież, jako młody człowiek dobrze wychowany, nie mógł uciec od panny, gdy ta rozmawiać z nim chciała.

— Czyż mi o to idzie?

— Przypuśćmy, że nie; a wiesz, na czém się to skończy? Sędzic przyjedzie, przeprosi, rączki ucałuje i będzie święta zgoda.

— Nie jestem jego babką, ani ciotką, żeby mnie miał po rękach całować.

— Ale możesz być jego żoną.

— Ja? Bardzo wątpię.

— Przecież jesteście jakby po słowie...

— Nigdy nie mówiliśmy o tém.

— Widzę, że się gniewasz na niego nie żartem, tém lepiéj, moja Marciu, tém lepiéj. Dowód to, że go kochasz...

— No: *si finis bonus laudabile totum*!—zawołał głośno pan Onufry—co znaczy: gdy ostatnia flasza jest dobra, wszystko było dobre; a że było dobre to gotów jestem ogłosić *coram populo*, czyli na środku rynku. Żałuj, księże Andrzeju, żeś nie pił... A teraz ruszajmy. Szymon od pół godziny drzemie na koźle przed gankiem, a mój Jędrek ziewa aż tu słychać. Pojedziemy razem, kanoniku, na mojéj bryce trochę ci będzie wygodniéj. Wypuszczajmy się tedy *ex nexu*, czyli wynośmy się za drzwi, ucałowawszy poprzednio rączki naszéj gosposi. Co się zaś tyczy twojéj, panie Stanisławie, propozycyi, to zaskoczyła mnie ona *ex abrupto*, czyli jak piorun z pogodnego nieba; dajże mi więc kilka dni do namysłu...

— Cóż to za propozycya? — spytała panna Marta.

— Nie moja właściwie, tylko Jasia, który prosił mnie o zapytanie, czyby pan Onufry nie zechciał odstąpić mu kilkunastu morgów torfowiska nad rzeczką.

— Otóż to jest właśnie enigma, czyli sęk; co jemu po tym nieużytku? Czy ma zamiar prowadzić w rzeczułce racyonalną hodowlę żab?

— Więc odpowiem, że się kochany sąsiad dobrodziéj namyśli.

— Czy namyśli?... ha, zobaczymy. Tymczasem, kanoniku, ruszajmy, bo już późno. Nam starym jeszcze pół biedy, ale śliczne oczki będą jutro zaspane.

Gdy wyjechali już za wieś, pan Onufry fajeczkę nałożył, zapalił, a puściwszy kilka potężnych kłębów dymu, rzekł:

— Nie pamiętam ja, mój księże Andrzeju, kto to napisał, że coś się w państwie duńskiém popsuło...

— Zkądże jegomości duńskie państwo na myśli?

— Tak sobie. Ten dzisiejszy wieczór w Zielonce wydał mi się nieco dziwny. Patrzyłem ja jedném okiem w karty, a drugiém na towarzystwo...

— I cóżeś dostrzegł?

— Hm! co się dostrzegło to się dostrzegło. Panna Marta, nie ubliżając jéj śliczności, wyglądała jak półtora nieszczęścia; sędzina siedziała jak na szpilkach; Stanisław ledwie że się czasem odezwał, a ksiądz dobrodziéj także byłeś nieswój. *Errare humanum est*, co znaczy: człek się może poszkapić, więc i ja téż może się mylę, ale zdaje mi się, że niepotrzebnie tego szwaba z córeczką zapraszali...

— Nie podobał ci się?

— Cóż! szwab jak szwab, zdaje się człowiek gładki i wista nieźle zna... ale córeczka?

— Gra pięknie.

— Prawda, ale ma jakieś w oczach świderki. Już to ja myślę, że sędzina dobrze swemu jedynakowi uszów natrze za to, że się do owéj niemeczki absztyfikował. Ma nos! powiadam ci, kanoniku, że sędzic ma nos, bo choć sam z siebie niebiedny, ale niemeczka będzie miała *alterum tantum*, nie licząc świderków w oczach...

— Posądzasz go?

— Czasy! czasy, księże dobrodzieju, młodzież dziś praktyczna... a niemeczka będzie miała pieniędzy *ad libitum*, co znaczy: pełen wór. Powiadali mi żydzi, że stary Kintz ma kapitały w banku...

— I cóż to może sędzica obchodzić? o ile mi wiadomo, zajęty jest panną Martą.

— Niby, były podobno jakieś aprehenzye w tym kierunku, ale porównawszy, to panna Marta, oprócz pięknych buziaków, niby wiele więcéj nie ma... nawet finalnie biorąc, żeby nie ksiądz dobrodziéj...

— Et, dajno jegomość pokój, uwziąłeś się dziś, aby gderać. Niemka ci w głowę weszła jak gwóźdź i basta.

— Może, ale nie uwziąłem się. Ot tak, wygadał się człek przypadkiem, *volens nolens*, jak przed przyjacielem, a przyjaciel powiada, że nieprawda... Kto was tam wie, gdzie teraz prawda mieszka? Ja tego dochodzić nie będę. *Vita brevis*, powiada mędrzec, co znaczy po polsku: Szymon oczy zasypie.

Przy bladém świetle księżyca można było dostrzedz wieżyczkę kościoła w Komornie i niebawem podróżni nasi znaleźli się przed wrotami plebanii.

Ksiądz zapraszał do siebie, lecz pan Onufry śpiący już był dobrze—i pośpieszył do domu.

VI.

Upłynął tydzień. Przez ten czas pan Jan był raz w Zielonce, ale niefortunnie trafił, gdyż ani Stanisława, ani panny Marty w domu nie zastał. Akurat tego dnia wyjechali oboje po jakieś sprawunki do miasta.

Zostawił więc bilet i po chwilowym namyśle kazał się zawieźć do Bogatego, do Kintzów.

Tam dwór urządzony był z pewną elegancyą i komfortem.

W obszernym przedpokoju był służący, który pobiegł natychmiast zameldować gościa i powróciwszy niebawem, poprosił do małego, bardzo gustownie urządzonego saloniku.

Nie było tam ani błyskotek ani świecideł; meble starożytnego fasonu, pokryte ciężką jedwabną materyą, koronkowe firanki i dwa wazony palm przepysznych stanowiły całą ozdobę téj komnaty. W kącie na słupie marmurowym stała jakaś starożytna amfora, a bronzowy zegar, również antyk, wskazywał godzinę.

Po kwadransie oczekiwania, które pan Jan urozmaicał sobie przeglądaniem albumów i sztychów, weszła panna Kintz w towarzystwie bardzo otyłéj osoby.

— Długo pan dałeś czekać na siebie—rzekła—cały tydzień... lecz lepiéj późno aniżeli nigdy; pozwól pan, że go przedstawię mojéj cioci.

Otyła dama, z pełnym godności gestem, skinęła głową.

— Ojciec mój—mówiła daléj panna—w téj chwili jest w lesie, ale spodziewam się, że za godzinkę powróci; będzie bardzo kontent, gdy zastanie gościa. Jesteśmy tu prawie jak obcy, mało kto u nas bywa; gdyby nie muzyka i książki, byłoby mi tu bardzo a bardzo smutno. Czy był pan w Zielonce?

— Ztamtąd właśnie jadę.

— Jakże się miewa panna Marta? Bardzo miła i inteligentna to osóbka, pragnęłabym koniecznie zjednać sobie jéj przyjaźń. Nie wiem jednak, czy mi się to uda, jest bo jakoś dziwnie poważna... Robi ona na mnie wrażenie statysty, zajętego niezmiernie ważnemi sprawami. Przy jéj urodzie i wdzięku młodości tworzy to szczególny kontrast, a ja bardzo lubię kontrasty.

— Tak, Izia lubi kontrasty pasyami—odezwała się otyła dama—zawsze je lubiła od dziecka.

— Nie przeczę: naprzykład po wrzawie tak zwanego „świata“ wioska wydaje mi się niby oazą, w któréj można odetchnąć spokojnie, być zupełnie swobodną, niezależną, nieskrępowaną niczém.

— Aby późniéj—wtrącił pan Jan—znowuż powrócić do hałasu i wrzawy... dla kontrastu.

— To zależy... Marynarz, gdy się znajduje na pełném morzu, tęskni do spokojnego portu, do lądu, na którym pozostawił jakieś wspomnienia. Powiadają także, że góral, gdy za chlebem puści się w żyzne bogate doliny, marzy o swéj chatce, przylepionéj do wysokiego urwiska, niby gniazdo jaskółcze, i tęskno mu do swéj biedy i do swoich. Dla mnie właśnie tym przedmiotem tęsknoty jest polska wioska, taka właśnie jak Bogate, nad wodami, wśród lasów; tu czuję, że jestem u siebie.

— Istotnie, Izia się zawsze czuje u siebie—wtrąciła pulchna ciocia—dwa lata temu powiedziała to samo pewnemu anglikowi w Kairze. Czy to, Iziu, było w Kairze, czy na Malcie?

— Ciocia nic nie pamięta, gdyż ani w Kairze ani na Malcie nic podobnego nie mówiłam. Mówię wyraźnie, że jestem u siebie.

— Tak, Izia zawsze jest u siebie.

— Ach, ciociu! — odrzekła, wstrząsając z niezadowoleniem głową — ciocia mi zawsze przerywa bieg myśli.

— Nie, kochaneczko, ja nie przerywam ci biegu myśli; proszę cię, myśl daléj, bez żadnéj subiekcyi.

— Panie podróżowały razem?

— Tak, ciocia była moją nieodstepną towarzyszką.

— Pochlebiam sobie, że tak, oprócz w górach. Koléj żelazną znoszę, do okrętu przyzwyczaiłam się kosztem zdrowia, ale wdrapywać się pieszo na góry nie mogłam. Delikatna moja kompleksya nie pozwala na

to. Szczęściem, ludzie są bardzo uprzejmi i Izi towarzystwa nie brakło.

— Ciocia zawsze poświęcała się dla mnie.

— To prawda... ale gdy się komu zastępuje matkę, to poświęcenie nie powinno znać granic.

To powiedziawszy, pani ciocia przymrużyła powieki w ten sposób, jak gdyby chciała usnąć.

— Pan, zdaje się, także niedawno do kraju powrócił?—spytała Iza pana Jana.

— Niedawno, rzeczywiście.

— Podróżował pan dla przyjemności?

— Ale gdzież tam, dla prozaicznych celów... uczyłem się trochę, a potém zwiedzałem fabryki.

— Ideały dzisiejszego wieku, kominy fabryczne i warsztaty!

— Śmieje się pani z tego?

— Broń Boże. Przeciwnie, ja to uwielbiam tak samo, jak gdybym żyła temu lat trzysta, uwielbiałabym jakiego olbrzyma, zakutego w stal i trudniącego się rozbijaniem ciężkiego miecza na głowach swych nieprzyjaciół. Człowiek, mojém zdaniem, musi płynąć z prądem czasu, szczęśliwy, jeżeli ten prąd uda mu się trochę wyprzedzić, zgubiony, gdy przeciwko niemu się zwróci. Z tych powodów nietylko nie wyśmiewam ludzi, którzy stosują się do ducha czasu, lecz, przeciwnie, mam dla nich szacunek i sympatyę.

Otyła ciocia, może pod wpływem tego przemówienia, a może też dzięki rozmyślaniom o poświęceniu się dla Izi, wpadła w tak głęboką zadumę, że można ją było wziąć za sen.

Panna Iza spostrzegła to i wstając z krzesła, rzekła do sędzica:

— Pokażę panu nasz ogród, a zarazem zobaczymy, czy ojciec nie wraca.

Ogród rzeczywiście był piękny. Bogate niegdyś było rezydencyą magnacką, później podupadło; ale teraz, przy zamożności właściciela, odzyskiwało potroszę swój dawniejszy charakter. Stary park, cienisty, bogaty w pięknie ugrupowane drzewa, odświeżono znacznym kosztem: na obszernych trawnikach umiejętny ogrodnik porozrzucał kobierce kwiatowe, a rośliny z cieplarni ustawione estetycznie dopełniały harmonii.

Panna Iza zerwała kilka róż.

— Patrz pan—rzekła—wszystko to są róże, a jakaż pomiędzy niemi rozmaitość! ta naprzykład ciemnopąsowa barwy krwi zdaje się być mieszkanką palącego południa lub wschodu, a ta, biała jak śnieg, chłodna, to znowuż niby dziecko północy.

— To właśnie w pani guście... kontrasty.

— Wzięłam barwy krańcowe, ale pomiędzy niemi jest przecież cała gamma tonów pośrednich, bez szczególnego wyrazu, nie mówiących nic... bladych jak pospolitość...

— Nie lubisz jej pani?

— Nienawidzę, nietylko w kwiatach, ale i w ludziach, w czynach ich i uczuciach.

— Przepraszam, ale muszę zaprotestować; wszakże wszystko, co czynimy, nie wykracza poza granice powszedniości. Czynność rolnika rzucającego ziarno w ziemię, inżeniera kreślącego plan mostu, lub też kupca

sprzedającego towar, nie ma w sobie nic nadzwyczajnego... a jednak suma tych prac i czynności powszednich tworzy względne szczęście społeczeństw...

— Mogłabym się o to posprzeczać, lecz ustępuję i gotowa jestem uchylić czoło przed owemi czynami zwykłemi, które, jak pan powiadasz, tworzą szczęście ludzkości... ale co do uczuć, o panie! to zupełnie inna historya.

— I te przecież, ściśle biorąc...

— A nie! nie! nigdy. Uczucie, według mego przekonania, nie może być czémś zwykłém, pospolitém. Nie! ja wyobrażam je sobie jako burzę, wstrząsającą całém istnieniem człowieka, jako największe szczęście lub nieszczęście.

— Czy wolno pani zadać jedno niedyskretne pytanie?

— Proszę.

— Czy pani kiedy kochała?

— Nie. Odpowiadam najzupełniéj otwarcie i szczerze. Spotykałam już w życiu wielu ludzi, mieliśmy liczne znajomości, nie brakło téż i takich, którzy ubiegali się o moją rękę, czy téż o majątek może; ale wszyscy byli mi zupełnie obojętni, przesunęli się przed memi oczami, jak szereg figurantów na scenie, ale żaden nie pozostawił mi nawet wspomnień. Patrzyłam na nich z daleko mniejszém zajęciem, aniżeli na piękne widoki natury, bo w tych znajdowałam coraz nowe kombinacye linij, barw, świateł i cieni, bo widziałam w nich pewien urok... Może to i lepiéj—rzekła jakby sama do siebie półgłosem.—Może i lepiéj przejść tak przez życie spo-

kojnie, cicho... przesunąć się po niém, jak łódka po gładkiéj fali jeziora i zniknąć na owém wybrzeżu, które jest dla nas wszystkich nierozwiązaną zagadką.

Pan Jan uśmiechnął się.

— Wpada pani w sprzeczność... gdyż takie samotne przesunięcie się przez życie nie miałoby wcale cechy nadzwyczajności...

— Mylisz się pan. Samotność ma także swój urok i nawet niezwykły. Wobraź pan sobie naprzykład pustelnika, oddalonego zupełnie od świata, nie widzącego nic, oprócz puszczy, kryształowego strumienia u stóp i wspaniałego słońca albo gwiazd nad głową.

— Wyobrażam sobie, chociaż nie zazdroszczę... ale zarazem wyobrażam sobie także piękną, samotną pustelniczkę w Bogatem. Nie widzi ona dokoła siebie nikogo prócz ojca, szanownéj cioci, licznéj służby i gości. Pod stopami ma piękną dębową posadzkę, nad głową sufit tylko... Chwilowo wybiega z téj puszczy do ogrodu poić się wonią róż, czasem przejedzie się po świecie... Biedna, samotna pustelnica! jakżeż ją szczerze żałuję!

— Złośliwy jesteś, panie sąsiedzie, i podchwytujesz za słówka. Czyż nawet wśród najdogodniejszych warunków życia, najliczniejszego otoczenia, nie można być zawsze samotną sercem i nie mieć na świecie nikogo a nikogo... aż do śmierci zostać pustelnicą, naturalnie w przenośném tego wyrazu znaczeniu.

— No zapewne... nie przypuszczam jednak, żeby taka samotność miała być pani ideałem...

— Czyż wiemy, co nam przyszłość przyniesie? Wszakże i ta róża, którą trzymam w ręku, przed chwilą była jeszcze pełną życia, a niedługo zwiędnie i porzucona zostanie, jak śmieć niepotrzebny. Biedna róża!

— Jeżeli pani ubolewa nad jéj losem, to można ją zasuszyć w zielniku lub książce... zawsze to będzie przedłużeniem jéj egzystencyi.

— Nie...ja jéj zgotuję los jeszcze gorszy... ofiaruję ją panu.

To mówiąc, podała sędzicowi wspaniały kwiat, o ciemno-krwistéj barwie.

— Przynajmniéj nie z mojéj ręki zginie—dodała.

— Nie będę surowym wykonawcą wyroku — odpowiedział — uwiężę ją tylko na czas nieograniczony.

— Jak pan chcesz... Chodźmy tędy, przez tę wązką dróżkę, wijącą się wśród czarnych świerków; o kilkaset kroków ztąd park się kończy i można podziwiać całą okolicę. Jezioro gładkie, lazurowe, spokojne...

— Jak serce samotnicy?—zapytał pan Jan.

— Tak, a po za niém widać wieżyczkę kościoła w Komornie, śpiczastą, jak pańska złośliwość.

— Nie ubliżaj pani... wieżyczce.

Z miejsca, w którém park się kończył, widok był bardzo piękny. Ogromne jezioro, do połowy otoczone lasem, Komorno z kościołkiem, chaty rozrzucone na wzgórzach i obszerne pola tworzyły nader malowniczy krajobraz.

— Przyznaj pan, żem go nie zawiodła; ten widok wart jest pędzla artysty.

— A przecież taki powszedni...

— Nie, niepowszedni; w moich oczach jest oryginalny, i dlatego przychodzę tu często, aby się nim zachwycać. Powiedz mi, panie sąsiedzie—rzekła, patrząc panu Janowi w oczy — czy dawno znasz pannę Martę z Zielonki?

Niespodziewane to pytanie zmieszało trochę sędzica.

— Dość dawno — odpowiedział po chwili.—Zkąd pani na myśl przyszło to pytanie?

— Kobiety są w ogóle ciekawe.

— Nawet samotnice?

— Samotność nie odbiera cech wrodzonych, powiedziałabym, że je potęguje nawet; a że tak jest, dowiedzie drugie pytanie, które panu zadam.

— Słucham pani.

— Ona mi się wydaje bardzo zakochaną, czy to prawda?

— Zkąd ja mogę o tém wiedzieć.

— Jesteś pan nieszczery, a pomiędzy przyjaciółmi... Masz tobie! nadałam panu tytuł, którego może przyjąć nie zechcesz.

— Przed chwilą wziąłem różę, teraz przyjmuję przyjaźń, dziękując za drugą bardziéj jeszcze.

— I obadwa te dary zasuszysz pan zapewne dobrze... Byle tylko nie w jakich starych rejestrach gospodarskich.

— Więc w najpiękniejszym poemacie lub romansie... czy zgoda?

— Najzupełniejsza... ale w zamian za przyjaźń proszę o otwartość... chcę poznać stan serca panny Marty.

— Dlaczego nie zapyta pani o to jéj saméj?

— Bo ja mam zamiar zapytać o stan twego serca, mój panie sąsiedzie szanowny...

— To już zakrawa na szykanę.

— Nie, to tylko ciekawość... Ciekawość taka, jaką wzbudza w nas naprzykład podróżnik, powracający z odległych a nieznanych krain. Każdy zarzuca go pytaniami... wszak prawda? Otóż widzisz pan, dla mnie właśnie piękna kraina miłości jest *terra incognita*, jak mówi ów pan otyły, z dużemi wąsami, którego miałam sposobność poznać w Zielonce. Co nieznane to ciekawe, nieprawdaż? i dlatego właśnie radabym się was moi państwo zapytać: gdzie leżą te ponętne krainy wiośnianych zachwytów? jaka droga do nich prowadzi, jaki klimat w nich panuje, kto je zaludnia? rzeczywiści ludzie, czy téż jakie duchy o białych skrzydłach. Czy się tam śmieją, czy płaczą?

— Jedném słowem, idzie o bagatelkę... o geografię téj zaczarowanéj krainy...

— Będę panu bardzo wdzięczną za jasny i przystępny wykład.

— Niestety! trafiłaś pani nie na specyalistę.

— Nie uciekaj się pan do wybiegów... pamiętaj, że mieszkamy w jednéj parafii.

— Więc cóż ztąd?

— Głos parafii wskazał mi pana jako biegłego.

— Tym razem głos był fałszywy.

— Znowuż wymówka! Widzę ze smutkiem, że nic się nie dowiem od pana... Patrz pan, jakie to jezioro jest spokojne i ciche... ledwie kiedy niekiedy zmarszczy się powierzchnia wody... gdy jaskółka ją skrzydłem potrąci, albo rybka pluśnie; czy w zaczarowanéj krainie panuje taki sam spokój? Ale prawda, pan o tém podobno nic nie wiesz. Wracajmy do domu. Na drodze, téj oto, która od lasu idzie i po nad jeziorem się ciągnie, dostrzegam czarny punkcik. To ojciec mój powraca z lasu, będzie bardzo szczęśliwy, zastawszy tak miłego gościa...

Szli przez jakiś czas milcząco pod cieniem świerkowych gałęzi, które, jak baldachimy, unosiły się nad ich głowami.

— Powiedz mi pan szczerze—odezwała się panna Izabela — czy nie nadużyłam pańskiéj cierpliwości, zarzucając go pytaniami przed chwilą; słyszałam albowiem, czy téż może czytałam w jakiéjś powieści, że ci, którzy powracają z krainy zachwytów, albo téż zamieszkują w niéj stale, są bardzo małomówni... i niechętnie opowiadają o wrażeniach, jakich doznawali lub doznają? Jeżeli tak jest rzeczywiście, to cofam wszelkie pytania i proszę, chciéj je pan uważać za niebyłe. Nie zastanawiałam się nad tém, że zbrodnią jest ściągać kogoś z obłoków...

Zanim pan Jan zdążył odpowiedziéć, z alei sąsiedniéj wyszła otyła ciocia. Szła o tyle szybko, o ile tusza jéj pozwalała na to.

— Ach, Iziu — rzekła — założyłabym się, że byliście państwo nad jeziorem!

— Tak, ciociu.

— Domyślałam się. Powiadam panu, Izia szczególnie lubi jeziora, przepada za jeziorami, mieszkałaby na jeziorze! To jest szczególne, naprawdę! W Szwajcaryi lubiła oglądać jezioro przy świetle księżyca i ja zawsze z takich wycieczek powracałam z katarem. Tutaj znowu jest na nieszczęście jezioro...

— Dlaczegóż na nieszczęście? Przeciwnie, łaskawa pani, pominąwszy bowiem praktyczną wartość, przyczynia się ono do ozdoby parku i całéj rezydencyi.

— Kubek w kubek to samo Izia mówi. Ona zawsze tak: piękne, malownicze, zachwycające! ale ja nie mogę się wszystkiém zachwycać... to zaś jezioro specyalnie działa mi na nerwy.

— A to z jakiego powodu?

— Ach! wyobraź pan sobie, mówił mi ogrodnik, że nad brzegiem téj szkaradnéj wody można spotkać węża, żywego węża! No, teraz osądź pan sam, czy można tam chodzić?

— U nas niema jadowitych wężów.

— A to mi już wszystko jedno! Żebym, Boże broń, miała zobaczyć takiego potwora, to umarłabym, nie pytając czy on jadowity, czy niejadowity...

— Więc niech ciocia nie chodzi nad jezioro, po co się narażać?

— Izia zawsze tak mówi, żeby się nie narażać. Powiadam panu, że mi to ciągle powtarza! Ona ma

bardzo dobre serce, ta dziewczynka... ale lubi góry i jeziora. Proszę państwa do domu, brat mój lada chwila nadejdzie.

Niedługo powrócił pan Kintz. Był to już człowiek niemłody, szpakowaty, o ostrych, wyrazistych rysach twarzy. Czarne oczy z pod brwi krzaczastych, nastroszonych, przenikliwie patrzyły, zaś szpakowata, krótko przystrzyżona broda dodawała pewnéj powagi.

Kintz przywitał gościa serdecznie. Widocznie rad był bardzo tym odwiedzinom i dokładał téż wszelkich starań, aby pana Jana jaknajdłużéj pod swoim dachem zatrzymać.

Rozmawiał z nim o gospodarstwie, o przemyśle i o stosunkach wiejskich wogóle, a jako człowiek inteligentny, oczytany, który wiele widział i wiele już w życiu doświadczył, miał do powiedzenia dużo.

Pan Jan usiłował go słuchać uważnie i z zajęciem, chociaż mu się to niebardzo udawało. Czuł spoczywające na nim magnetyczne spojrzenia czarnych oczu Izy, siedzącéj niedaleko na kozetce. Aczkolwiek usiłował być arcypoważnym i prowadzić z Kintzem dyskurs o kwestyach, które nie były dla niego obojętne, pragnął jednak, aby ta rozmowa jaknajprędzéj się skończyła, aby znowuż mógł się przekomarzać i sprzeczać z panną Izabellą. Słuchając rozumowań Kintza o przyszłości rolnictwa, myślał o tém, że oczy Izy mają w sobie wdzięk jakiś osobliwszy, nie dający się określić, że jéj rączka ma kształt klasyczny, a włosy niezwykłą, oryginalną barwę...

Ztąd téż wyniknęło, że wiele bardzo oryginalnych i trafnych uwag Kintza przebrzmiało dla młodego człowieka zupełnie bez śladu.

Dopiero przy herbacie pan Jan znalazł sposobność zamienienia kilku słów ze swoją sąsiadką. Lecz nie było już mowy o zaczarowanéj krainie uczuć i marzeń... nie było dopytywań i badań. Panna Iza mówiła tylko o sztuce, o malarstwie i rzeźbie, których najpiękniejsze pomniki w licznych swoich wędrówkach widziała, wreszcie o muzyce.

Późniéj, jak gdyby pragnąc poglądy swoje co do muzyki dowodami poprzéć, zasiadła do fortepianu i grała.

Po północy już opuścił pan Jan Bogate i odjechał rozmarzony; w uszach brzmiały mu jeszcze dźwięki fortepianu i melodyjny głos panny Izabelli, która przy pożegnaniu prosiła, aby ich częściéj odwiedzał.

Gdy powrócił do domu, ujrzał, że w pokoju matki świeci się jeszcze. Nie wszedł tam jednak, lecz wprost udał się do swego gabinetu na górę i zapaliwszy cygaro, rzucił się na szezlong.

Pomimo spóźnionéj pory spać mu się wcale nie chciało; patrzył na błękitny dymek cygara i marzył...

Lekkie pukanie do drzwi zbudziło go z zadumy.

— Kto tam?—zapytał zdziwiony?

— Czy można?

Pan Jan poznał głos matki. Zerwał się i pośpieszył drzwi otworzyć.

Sędzina weszła do pokoju.

— Mateczka jeszcze nie śpi — zapytał — tak późno?

— Czekałam na ciebie... Chciałam się zapytać o Marcię, gdyż, nie wiem sama dlaczego, byłam o nią niespokojną...

Pan Jan milczał.

— Nie wiem, co to znaczy—mówiła daléj sędzina—przesądną ani zabobonną nie jestem, w przeczucia nie wierzę, a jednak doznawałam dziwnego niepokoju o Marcię, i dla uspokojenia własnego nie kładłam się spać, czekałam aż powrócisz z Zielonki, żeby się o téj mojéj kochanéj czegoś pewnego dowiedziéć. O! bo ty może nie wiesz, mój Jasiu, jak ja ją kocham, uważam ją, jakby za własne dziecko. Powiedz-że mi, proszę, czy zdrowa przynajmniéj, czy dobrze wygląda? dlaczego tak już dawno u nas nie była?

— Niestety, mateczko, na te wszystkie pytania nie mogę ci udzielić odpowiedzi.

— A to dlaczego?

— Dla bardzo prostéj przyczyny, bo nie widziałem panny Marty.

— Nie rozumiem... wszak do Zielonki jezdziłeś?

— Tak, mateczko, lecz nie zastałem ani Stasia, ani panny Marty, wyjechali do miasta i mieli dopiero późnym wieczorem powrócić. Ta okoliczność powinna jednak uspokoić obawy mateczki; gdyby panna Marta była cierpiącą, to zapewne nie wyjeżdżałaby z domu.

— Więc nie zastałeś w domu? Szkoda. A powiedz-że mi, gdzie bawiłeś tak długo?

— Proszę mateczki — rzekł pan Jan nieśmiało— zdawało mi się, że wypada być u Kintza. Tak mnie serdecznie zapraszał... i nawet przyrzekłem mu, że będę. Musiałem więc słowa dotrzymać, a ponieważ nie zastałem w Zielonce nikogo, więc...

— Pojechałeś do Bogatego?

— Tak, mateczko.

— I tam byłeś aż do téj pory?

— Cóż miałem robić? zatrzymywali... prosili...

Sędzina bacznie spojrzała synowi w oczy.

— Słuchaj-no, Jasiu—rzekła, siadając na szezlongu — chciałabym się z tobą szczerze, jak matka z synem, rozmówić.

— Proszę mateczki—rzekł z niechęcią.

— Są kwestye, w których naturalnie wola twoja jest decydującą, ale nie zaszkodzi wysłuchać życzliwéj rady...

— Coś mateczka bardzo poważnie zaczyna, aż się boję...

— Moje dziecko, od chwili, kiedy ujrzałeś światło dzienne, aż do dnia dzisiejszego, kiedy opieka matki może ci nie jest potrzebna, traktowałam cię zawsze bardzo poważnie. Zapewne kiedyś, gdy mieć będziesz własne dzieci, zrozumiesz to i ocenisz lepiéj, niż dziś. Ale nie o to idzie, zostawmy te ogólniejsze kwestye na kiedyindziéj, teraz zajmijmy się bieżącą...

— O, mateczko! musiałem coś bardzo przeskrobać, kiedy się na takie kazanie zanosi.

— Nazywaj to jak ci się podoba; usłuchaj lub nie usłuchaj, to od twéj woli zależy. Jesteś już mężczyzną

dorosłym i panem swojéj woli... ale nie zaprzeczysz matce prawa głosu, choćby doradczego tylko.

— Ale o cóż idzie? bo doprawdy nic nie wiem.

— Idzie o dzisiejszą wizytę, która, mojém zdaniem, była co najmniéj zbyteczną...

— Dlaczego?

— Oszczędź mi, mój Jasiu, potrzeby tłumaczenia ci tego, co sam dobrze rozumiesz. Już zeszłéj niedzieli w Zielonce postępowanie twoje nie podobało mi się wcale. Przyczepiłeś się do téj ekscentrycznéj niemeczki, a dla Marci nie znalazłeś ani jednéj chwilki.

— Jakto przyczepiłem się? Osoba młoda, wesoła, zajmująca, cóż więc dziwnego, żem z nią rozmawiał?

— Zdaje się jednak, że wobec twego stosunku do Marci nie było to zupełnie właściwém.

— Co mateczka mówi? Stosunek mój do panny Marty niczém się nie różni od stosunku do panny Kintz, chyba tém tylko, że pierwszy jest dawniejszy.

— I ty śmiesz to mówić? ty, Jasiu?

— Tak, ja śmiem to mówić. Przyznaję, że lubiłem rozmawiać z panną Martą, że w wielu kwestyach mieliśmy jednakowe przekonania, że szanowałem ją i szanuję bardzo, jako osobę wysokiéj zacności, ale nadto nic więcéj. Nie jestem jéj narzeczonym, nie powiedziałem nigdy, że ją kocham.

— Ale dawałeś to do zrozumienia... Ja sama nazywałam ją nieraz swoją córką, a co się jéj tyczy, to wiem, że kocha cię szczerze i że byłaby najlepszą żoną, idealną towarzyszką życia dla ciebie. Czy więc nie czujesz żadnych wyrzutów sumienia, odsuwając się od

téj dobréj, szlachetnéj dziewczyny, przywiązanéj do ciebie tak szczerze?

Pan Jan wahał się przez chwilę, na twarzy jego malowała się walka wewnętrzna... Po chwili dość cichym głosem rzekł:

— Nie.

Sędzina powstała z kanapki.

— Mój synu — rzekła poważnie i zimno — jesteś mężczyzną dorosłym, możesz sam o swoim losie stanowić. Może kiedyś pożałujesz tego, żeś wypuścił z rąk szczęście, które samo garnęło się do ciebie. Rób co chcesz i jak chcesz; bywaj sobie w Bogatem, konkuruj, żeń się wreszcie... ale matki ani o pozwolenie, ani o błogosławieństwo nie proś. Co do mnie, mogę ci zaręczyć, że Marci zginąć nie dam: sama wynajdę człowieka, który potrafi ocenić ją jak zasługuje, sama będę lekarzem jéj serca. Co syn zepsuł, to matka naprawi; uważam to za święty mój obowiązek. Wreszcie uważaj tę dyskusyę za wyczerpaną zupełnie i skończoną... ja już do niéj nie wrócę. Dobranoc ci, mój synu, oby ci niebo oszczędziło gorzkich rozczarowań.

Z temi słowy sędzina wyszła z pokoju tak szybko, że pan Jan nie zdążył nawet ucałować jéj rąk na pożegnanie. Był jak oszołomiony. Słyszał tylko, jak matka szybko zbiegła po schodach i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Przeszedł kilkakrotnie wzdłuż i wszerz po swym gabinecie, wreszcie zgasił światło i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Dopiero nad ranem usnął, ale sen miał niespokojny, rzucał się jak w gorączce, przed oczami jego przesuwała się smutna, zapłakana postać Marci, ale znikała zaraz jak cień, a natomiast ukazywały się czarne, płomiennne oczy Kintzównéj, jéj drobne, sarkastycznie uśmiechnięte usteczka i gruby czerwonawo złoty warkocz, świecący jak ogon komety. W uszach brzmiała mu denerwująca muzyka; śnił, że unosi się wśród gwiazd, a każda z nich patrzy na niego i mruga płomiennemi oczami, jak ona...

VII.

Dwa tygodnie upłynęło od tego czasu. W Zielonce zrobiło się jakoś dziwnie posępno i smutno. Pan Stanisław, zamknięty w swoim gabinecie, pisał ciągle, a Marcia blada, mizerna, chodziła jak cień, ukradkiem ocierając łzy, które jéj się do pięknych, łagodnych oczu cisnęły.

Przez ten czas sędzina była raz jeden w Zielonce, wstąpiła niby to przejazdem, na krótko, zamknęła się z Marcią w osobnym pokoiku, rozmawiała z nią sam na sam z godzinkę i ucałowawszy, upieściwszy jak dziecko, odjechała do domu, nie chcąc nawet, pomimo zaproszeń serdecznych, na herbacie pozostać.

Panna Marta nie zmieniła zwykłego trybu życia, zajmowała się domem, gospodarstwem, odwiedzała cho-

rych, uczyła dzieci, wieczorem przeglądała dzienniki lub książki, lub téż do fortepianu siadłszy, jakieś smutne dumki grywała.

Tak schodziły dnie jedne za drugiemi, jednostajne, smutne, nieurozmaicone niczém, gdyż nawet nikt ze znajomych do Zielonki nie zaglądał, bo ksiądz Andrzej był chory, a pan Onufry pojechał do Galicyi, gdzie miał jakąś niespodziewaną sukcesyjkę odebrać.

Pewnego wieczoru, dość już późno, na dziedzińcu rozległ się dźwięk trąbki pocztowéj.

Turkot bryczki rozległ się przed gankiem, Marcia sądząc, że ktoś obcy przyjechał, poszła do swego pokoju, pan Stanisław zaś wyszedł na spotkanie gościa.

Z bryczki zeskoczył młody człowiek i serdecznie dłoń gospodarza uścisnął.

— Ledwo się wyrwałem—rzekł—ledwo wyprosiłem urlop, aby skorzystać z twego zaproszenia i odetchnąć chwilowo po pracy i zgiełku warszawskim.

— To wybornie. Dziękuję ci za dotrzymanie słowa, chociaż mam w tém egoistyczne pobudki. Stęskniłem się już do towarzystwa ludzi równych mi pojęciami i wiekiem. Ale chodźże, rozgość się.

Gdy weszli do pokoju i usiedli przy stole, Sielski zapytał Stanisława:

— Wspomniałeś mi, żeś się stęsknił do towarzystwa... a gdzież pan Jan, twój przyjaciel, który miał właśnie przyjechać. Czy niema go jeszcze?

— Eh, jest, ale... nie wiem co się stało... stroni od nas, nie bywa.

Sielski zrobił wielkie oczy.

— Co mówisz? to niepodobieństwo... przecież, o ile słyszałem...

— Mój kochany—rzekł Stanisław—różnie bywa na świecie: jak pobędziesz u nas parę tygodni, to może sam co innego dosłyszysz lub dostrzeżesz. Zresztą będziemy mieli jeszcze czas o tém pomówić, a przedewszystkiém odpocznij. Przepraszam, że cię przez chwilę pozostawię samego. Pójdę uprzedzić siostrę, że przyjechałeś.

— Daj pokój, panie Stanisławie, tak późno.

— Nic nie szkodzi. Marcia jeszcze nie śpi, nigdy wcześnie nie udaje się na spoczynek.

Z temi słowami Stanisław wyszedł z pokoju.

Sielski doznawał dziwnych wrażeń. Oddawna kochał Marcię, kiedy jeszcze jako bardzo młoda panienka mieszkała w domu jego matki. Wówczas nie miał jeszcze odpowiedniego stanowiska, więc postanowił nie narzucać się z uczuciami swemi i czekać. Późniéj Marcia wyjechała na wieś i stracił ją z oczu. Nie zmienił jednak swoich zamiarów. Zwyciężywszy wiele przeszkód, poniósłszy niemało trudów, doszedł nareszcie do stanowiska i mógł spełnić upragnione zamiary. Przez ten czas wszakże dzieweczka wyrosła i serduszko jéj uderzyło przyśpieszoném tętnem, lecz dla kogo innego. Sielski dowiedział się o tém i zniósł cios, który go dotknął, jak na mężczyznę przystało, spokojnie, nie żaląc się, nie mówiąc nikomu o ranie, jaka się w jego sercu jątrzyła. Skorzystał z zaproszenia Stanisława i przyjechał tu jeszcze, aby przez jakiś czas przynaj-

mniéj pobyć w blizkości ukochanéj i na zawsze już utraconéj dla niego osoby, odetchnąć tém samém, co ona, powietrzem, popatrzéć na nią może już raz ostatni— i powrócić późniéj do twardego jarzma obowiązków. O szczęściu, o szukaniu innéj towarzyszki nie marzył, pomimo rad i zachęcań ze strony matki staruszki, pomimo usiłowań ciotek i wujenek, które koniecznie go wyswatać pragnęły...

Przyjechał do Zielonki, aby może po raz ostatni ukochaną swoją zobaczyć... a tymczasem na samym wstępie dochodzą go wieści, z których mógłby wnioskować, że nadzieja jeszcze niestracona...

Sam sobie jasno nie zdawał sprawy z uczuć, które nim miotały. Myśli jego plątały się jak nitki w ręku swawolnego dziecka; nadzieja i niepewność przejmowały go naprzemian...

Oparł głowę na ręku i pogrążył się w smutnéj zadumie, z któréj wyrwało go dopiero skrzypnięcie drzwi.

Panna Marta przyszła go powitać.

Wyciągnęła do niego rękę, a na ustach jéj pokazał się uśmiech wymuszony, zdradzający smutek i przygnębienie.

Przyszedł i pan Stanisław.

Marcia dopytywała gościa o zdrowie matki, o Warszawę i dawnych znajomych, ale na jéj twarzy nie znać było ani ciekawości, ani ożywienia.

W godzinę późniéj udała się do swego pokoju, panowie zaś pozostali sami.

— Słuchaj-no, Józiu—rzekł do Sielskiego Stanisław—przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. Powiedz mi szczerze, co myślisz zrobić z sumą, którą masz na hypotece.

— Jeżeli sądzisz, żem przyjechał w charakterze wierzyciela, to bądź zdrów; o jedną łaskę tylko cię proszę, to jest, jeżeli pocztylion już odjechał, odeszlij mnie swemi końmi do kolei.

— Dzieciństwo! przecież to ma swoje znaczenie, to dla ciebie majątek.

— Mój kochany, pieniędzmi nie gardzę, ale ich téż i nie potrzebuję. Mam posadę, która mi daje dostateczne utrzymanie, a czy suma, jaką mi stryj zapisał, będzie na Zielonce czy na innéj hypotece, to mi zupełnie wszystko jedno.

— Są zaległe procenta.

— Jak będziesz miał z czego, to mi oddasz, a najlepszy procent, jaki mi możesz zapłacić, będzie, gdy przestaniesz mówić o téj kwestyi. Spodziewam się, że zaprosiłeś mnie jako dawnego przyjaciela waszéj rodziny, jako znajomego, nie zaś...

— Co za przypuszczenie! Przebacz mi, jeżelim cię uraził.

— Więc dobrze; nie wszczynajmy już téj kwestyi... powiedz mi oto lepiéj, co się tu u was stało? czemu siostra twoja taka przygnębiona, smutna? co to jest?

— Dużoby było o tém mówić...

— Zapewne wiąże się ta rzecz z tém, co mi po przyjeździe ogólnikowo powiedziałeś.

— Istotnie. Stało się to, czegośmy się najmniéj spodziewali. Licho nadało, że w okolicy osiedlił się jegomość pewien z córeczką...

— Kintz?

— Czy znasz go?

— Znam doskonale i jego i córeczkę; dwie zimy przepędzili w Warszawie, spotykałem ich w towarzystwie. Więc to tam usidłany został twój przyjaciel?

— Podobno...

— Jakto podobno?

— Wiem, że bywa często w Bogatem, prawie co drugi dzień tam jeździ, a nas omija. Miał tu zakładać fabrykę, miał projekta... ale jakoś widocznie o nich zapomniał, a jak obecnie tylko Kintzówną jest zajęty. Moja siostra, jak widzisz, bardzo to wzięła do serca...

— Czemuż nie jestem jéj bratem?—rzekł Sielski pół głosem.

— Cóżbyś zrobił?

— Nauczyłbym tego pana, że nie można bezkarnie igrać z sercem dziewczyny.

— Sądzisz, że jabym również tego nie potrafił?

— A dlaczegóż zrobić tego nie chcesz?

— Niestety, nie mam do wystąpienia najmniejszego powodu.

— Nie rozumiem.

— Że bywał w naszym domu, że rozmawiał z Marcią, to jeszcze nie racya, żeby go wyzywać do honorowéj rozprawy za to, że teraz bywa w domu innym. Formalnie nie oświadczył się nigdy. Była to jakby milcząca umowa, sędzina okazywała względy Marci

on zdawał się być zajęty i oto wszystko... Przytém, jeżeli mam prawdę powiedziéć, ja, na drodze, o któréj wspomniałeś, nie widzę pomyślnego wyjścia z niemiłéj sytuacyi.

— Istotnie sytuacya przykra, lecz jeżeli, jak powiadasz, ten pan nie czynił kroków formalnych...

— Nie czynił. Wprawdzie to nagłe zerwanie nie obejdzie się bez gawęd różnych i plotek, ale wszelkie moje wystąpienie przeciwko panu Janowi narobiłoby niepotrzebnego hałasu. Mojém zdaniem, należy całą tę sprawę pozostawić czasowi, témbardziéj, że choćby pan Jan chciał złe naprawić, to już mu się nie uda.

— Dlaczego?

— Znam ja moją siostrę. Łagodna ona jest i szlachetna, cierpienie w sobie stłumić potrafi, ale urazy téj nie przebaczy, choćby sobie całe życie zatruć miała.

W oczach Sielskiego błysnął płomyk radości, którego wszakże pan Stanisław nie dostrzegł, i mówił daléj:

— Ostatecznie przykra to dla nas rzecz, ale znowuż powodu do rozprawy nie widzę. Wogóle biorąc, pan Jan, jako partya, był nie do odrzucenia; ale czyż on tylko jeden na świecie?

— Lecz twoja siostra kochała go, a może jeszcze kocha?

— Prawda. Przeboleje ona to zerwanie, przecierpi; mam jednak nadzieję, że czas zagoi te rany. Wróci równowaga umysłu, spokój wróci... i może będzie lepiéj...

Długo jeszcze młodzi ludzie rozmawiali o tym przedmiocie, a gdy się rozeszli, już na wschodzie rumieniła się zorza i rozpędziła całkiem mroki nocne.

Pomimo znużenia, Sielski usnąć nie mógł. To, o czém się dowiedział, było dla niego całkiem niespodziewaném i nowém; do marzeń jego, dotychczas tak smutnych, wkradał się promyk nadziei.

Dnie pobytu w Zielonce schodziły mu przyjemnie, a nawet względnie wesoło. W rozmowie z panną Martą unikał wszelkich wspomnień, mogących zadrasnąć tak świeżą ranę jéj serca; ze swoją sympatyą i przyjaźnią nie narzucał się, nie mówił o niéj wcale, wzrokiem jéj nawet nie zdradził; tym sposobem zjednywał sobie nieznacznie zaufanie. Chętnie przebywała w jego towarzystwie, słuchała opowiadań o Warszawie, sama nawet wywoływała wspomnienia z czasu swego pobytu w tém mieście. Dopytywała o dawnych znajomych, koleżanki— i wśród takich rozmów na jéj twarzy znać było pewne ożywienie się i zajęcie.

Sielski był do prowadzenia takich rozmów jedynym. Znał doskonale Warszawę, a zwłaszcza te kółka towarzyskie, w których niegdyś pannna Marta bywała; poglądy miał poważne, rozumne, a sposób wysłowienia się barwny, zaprawiony w miarę dowcipem w nader szlachetnym guście.

Dla Marci, smutnéj i zgnębionéj, zadumanéj o rozczarowaniu i zawodzie, jaki ją dotknął, gość taki był bardzo w porę. Codzień téż witała go bardzo przyjaźnie i wyciągała do niego szczupłą białą rączkę, jak do dawnego i zaufanego przyjaciela.

Jednego wieczoru, gdy już tylko kilku dni brakowało do skończenia się urlopu Sielskiego, brat z siostrą i z gościem swoim siedzieli w ogrodzie, w altance, z któréj ścian zwieszały się festony dzikiego wina.

Słońce się już zupełnie ku zachodowi zniżyło i pokryło obłoki purpurą i złotem.

Na uliczce, prowadzącéj od altanki, ukazał się pan Onufry, odświeżony i wystrojony. U lakierowanych, jak szkło lśniących butów, błyszczały ostrogi, z pod aksamitnéj kurtki wychylała się jasna kamizelka w kwiaty. Wygolony był bardzo starannie; grube, zazwyczaj rozstrzępione wąsiska uczernił węgierską pomadą, a końce ich, niby dwie dratwy wielkie, zaostrzył. Na rękach miał rękawiczki żółte, a idąc wymachiwał szpicrutą.

Śmiałym, posuwistym krokiem zbliżył się do altanki i ujrzawszy pana Stanisława, siedzącego przy samém wejściu, zawołał:

— Otóż i jestem *sub tegmina fagi!* czyli w naszym kącie... jestem i witam.

— Jak się masz, sąsiedzie dobrodzieju?—rzekł Stanisław—co się z panem stało? odmłodniałeś przynajmniéj o lat dwadzieścia.

— Widzisz, mój braciszku, *honores mutant mores*, co znaczy: że jak są pieniądze, jest i mina. Rączki panny Marty całuję...

Ujrzawszy Sielskiego, przerwał, nie dokończywszy wyrazu.

— Nie znacie się, panowie?—spytał Stanisław.—Pan Sielski z Warszawy, pan Wrzeszcz, nasz sąsiad.

— *Jucundum mihi est*—rzekł pan Onufry, wstrząsając ręką Sielskiego — co znaczy: niespodziewana przyjemność. Zapewne pan dobrodziéj żonaty i w wista grywa?

— W wista grywam i dobrze, a co do pierwszego punktu przypuszczenie pana dobrodzieja nie sprawdziło się.

— *Non bis in idem*, co znaczy: zadużo w barszczu dwa grzyby. Tak, kto dobrze grywa w wista, ten nie jest żonaty, i dlatego jak się ożenię...

— Czy w podróży przyszła panu myśl żenienia się?—spytała panna Marta.

— Dojrzała tylko, pani dobrodziejko, dojrzała, gdyż nosiłem ją w sobie dość długo, o czém w swoim czasie powiedzianém będzie obszerniéj i z komentarzami.

— Pan do Galicyi jeździł?

— Właśnie, wyobraźcie sobie państwo, że stało się to *ex promptu*, co znaczy: jak piorun trzasł. Nic a nic nie wiedziałem, że mam we Lwowie ciotkę, która nazywała się Biedulska... no i zapisała mi trochę grosza. Pojechałem tedy, zmówiłem za duszę nieboszczki Biedulskiéj pacierz, dałem na wotywę żałobną, a zgarnąwszy pieniądze do kieszeni, powróciłem do *rura paterna* czyli na swoje śmiecie. Przyjechałem wczoraj i ma się rozumiéć dziś stawiam się, aby państwa powitać. Wybrałem się konno, i uważacie państwo spotkała mnie przygoda...

— Pewnie zając drogę przebiegł—wtrąciła panna Marta.

— Gorzéj, pani dobrodziejko.

— Więc cóż?

— Kto mi drogę przebiegł, to się w dalszym ciągu samo wyjaśni.

— Słuchamy pana.

— Owóż tedy, nie zaczynam *ab ovo*, boby to długo trwało; dość, że jadąc koło Zajezierza, uważam, że na drodze do lasu posuwa się jakaś para, jeździec i amazonka. Myślę sobie: amazonka *rara avis* w naszéj okolicy, co znaczy dziwna ryba. Dogonić nie mogę, bo daleko, ale powiadam sobie tak: oni wjechali w las gościńcem, to jak ja, panie dobrodzieju, kopnę się na przełaj, smolarzową dróżką, to ich wyprzedzę. Jakoż tak się stało; wyprzedziłem ich. Zatrzymałem konia za krzakiem leszczyny i czekam. Moja para nadjeżdża. On mówi coś do niéj, a ona przechyliła się trochę na siodle i patrzy mu w oczy, jak sroka w kość.

— Któż to był?—spytał Sielski.

— Powoli, moi państwo, powoli. *Festina lente*, powiada mędrzec, co się tłumaczy: pomaleńku koło ściany. Zjechałem trochę na bok i zatrzymałem konia za krzakami leszczyny. Gęsto one tam rosną, przeto siedziałem sobie jak za parawanem i sam niewidziany, widziałem ich doskonale. Widocznie nie było im bardzo pilno, gdyż jechali stępo, rozmawiając *de omnibus rebus quibusdam aliis*, czyli o najrozmaitszych głupstwach.

— Jakto?

— No tak; bardzo prostym sposobem, on do niéj, ona do niego, potém on znowuż do niéj i tak daléj: na-

reszcie ona zatrzymała konia i powiada: „spocznijmy.“ W niego jakby, panie dobrodzieju, piorun trzasł; w oka mgnieniu znalazł się na ziemi, wziął jedną ręką jéj konia za cugle, a drugą zsadził ją z siodła, jak piórko. Co prawda niewielkiéj sztuki dokazał, gdyż cała ta panna, *cum omnia*, czyli ze wszelkiemi dodatkami, nie waży więcéj jak sześćdziesiąt pięć funtów.

— Zkąd pan możesz wiedzieć?

— Ano tak miarkuję, na oko... Owóż tedy, jak ją zsadził, ona sobie usiadła przy saméj drodze na mchu, a on stanął koło niéj i trzymał konia za cugle. Nie lubię ja cudzych tajemnic, ani sekretów, nie podsłuchiwałbym nikogo, ale *nulla regula sine exceptione*, co znaczy: różnie się czasem trafia. Zresztą nie chciałem płoszyć téj pary gołąbków. Siedzę tedy na koniu i czekam, co będzie daléj... Widocznie prowadzili w dalszym ciągu swój dyskurs, ale taki mądry, żem niewiele co z niego zrozumiał. Mówili o jakichś zaczarowanych krainach, do których ona miała ochotę pójść, a on miał służyć jéj za przewodnika; chwilami wtrącała do rozmowy wiersze w jakimś dyabelskim języku, bo aczkolwiek mam się za lingwistę, ani słóweczka z téj paplaniny wyrozumiéć nie mogłem. Siedziałem tedy jak na niemieckiém kazaniu, przypatrywałem się trochę koniom, a trochę gołąbkom. Konie co prawda piękne, dawno nie widziałem takich; szczególniéj jéj biały, jak śnieg, arabczyk, to powiadam państwu proszę siadać! bo wyobraźcie sobie tylko, łeb malutki, suchy, oko...

— Panie Onufry—rzekł Stanisław—wiemy, żeś znawca na konie, ale dla nas ludzie są ciekawsi.

— I to racya, prawdę mówi mędrzec: *quod capita tot sensus*, co znaczy: każdy ma we łbie ćwieka. Wracam tedy do gołąbków... I to była para piękna. Jako się rzekło, on stał, ona zaś siedziała, więc mówiąc do niego, musiała patrzéć w górę i wyrabiała oczami takie figle, żem się nadziwić nie mógł. Oj ma ona w oczach świderki, ma! Nie skłamię także, gdy powiem, że jest zgrabna jak kotka i że jéj w czarnéj amazonce i męzkim kapeluszu bardzo a bardzo do twarzy. Rozmawiali po jakiemuś, a poźniéj już po polsku, lecz nie słyszałem, o co im chodziło. Wtém on przykląkł przed nią, i zdjąwszy jéj rękawiczkę, rzetelnie pocałował ją w rękę. Tom widział i mógłbym dać na to *visum repertum*. Ale co to? uważam, że pani pobladła, panno Marto?

— Przywiduje się panu... jestem jaknajzdrowsza i z całém zajęciem słucham pańskiego opowiadania...

Mówiąc to, rozśmiała się jakimś przymuszonym śmiechem.

Pan Onufry odsapnął, pomyślał chwilkę i rzekł:

— Skąpa to musi być kobieta, owa amazonka, bo mu ręki długo całować nie dała, i, dla oszczędności zapewne, ukryła ją napowrót w rękawiczkę, chociaż Bogiem a prawdą nie było czego żałować. Gdybym ja był na jéj miejscu, dałbym mu nawet obie ręce do całowania, niechby się nacieszył, jak pies w studni. Ona jednak widocznie inne miała poglądy, gdyż kazała mu wstać, co też zaraz uczynił. Zapewne jest w nim jakaś sukcesyjna skłonność do posłuszeństwa, czyli pantoflarstwo dziedziczne, bo jak spojrzała na niego, w téj chwili posmutniał i stanął pod drzewem, jak pokorny

baranek... Ale oddając *suum cuique*, co znaczy: żydowi rewers, a sobie pieniądze, muszę przyznać, że mała zawziętą nie jest, bo znów zaczęła na niego patrzéć po swojemu, ze wszystkiemi świderkami, i powiedziała, że nie trzeba tracić nadziei. Z kolei on zaczął robić się wymownym. Opowiadał, że ją kocha bez granic, co między nami powiedziawszy jest fałsz, bo jak kto kocha pannę, to ją kocha ze wszystkiém, a więc i z granicami; mówił, że bez niéj żyć nie może, co także nie jest prawda, bo przed tém wcale jéj nie znał i pomimo tego żył; nareszcie przysiągł, że jéj będzie wierny aż do śmierci, za którą to obietnicę nie dałbym trzech niuchów tabaki.

— I to wszystko prawda, panie Onufry, to pan słyszałeś na własne uszy? — spytała panna Marta.

— Na moje najrodzeńsze, na co daję pani *verbum nobile*, co znaczy: żebym spuchł, jeśli kłamię.

— Istotnie przygoda pańska była bardzo zabawną.

— Przygoda może, ale sytuacya, czyli siedzenie za krzakiem wcale niewesołe. Te westchnienia i przysięgi zaczęły mnie nudzić, w dodatku muchy i bąki niecierpliwiły mego konia, kręcił się on i parę razy tupnął kopytem. Zakochani tego nie słyszeli, ale arabczyk zaczął strzydz uszami, rozdął chrapy i wietrzył... Śliczny koń! powiadam ci, panie Stanisławie, nóżki suche, szyja łabędzia, a krzyż! Sędzica kasztan téż dobry koń, a jednak przy arabczyku wyglądał jak bronowłoka. Niepokój konia uszedł uwagi sędzica, który tak się zacietrzewił, mówiąc o swoich uczuciach, że naturalnie

o cuglach wcale nie myślał. Wtenczas stało się nieszczęście...

— Jakie?

— Nie bójcie się państwo, nikt przy tym wypadku życia nie stracił. Fatalność chciała, że jakaś muszka czy komar usiadł mi na wąsach... zresztą co to było i jak było nie pomnę. Wiem tylko, żem kichnął nagle i dość głośno, bo ja już mam taki zwyczaj, że głośno kicham, bo zresztą, czego mam sobie żałować? Arabczyk spłoszony szarpnął się, wyrwał cugle z rąk sędzica i pomknął gościńcem, jak wicher, kasztan za nim, niemeczka w krzyk! a ja bezmyślnie spiąłem konia ostrogami, wyskoczyłem z gęstwiny, osadziłem go przed wystraszoną panną, chciałem coś powiedzieć, ale gdzie tam... znowuż mnie załoskotało i kichnąłem tak głośno, że aż się mój koń w bok rzucił i o mały włos nie stratował niemeczki. „Co pan wyrabiasz! do kroć stotysięcy!“—krzyknął zaczerwieniony sędzic, rzucając się ku mnie.—Panie dobrodzieju, ja tylko sobie kicham,—powiadam, i uważacie państwo, znów kich! kich! i jeszcze raz kich! a konie tymczasem poszły!... — Panie! wrzasnął sędzic—ale ja uspokoiłem się już i rzekłem łagodnie: Nie rzucaj się, młodzieńcze, i przedewszystkiém poczciwym obyczajem powiedz mi przynajmniéj „na zdrowie.“

Sędzic zrobił taką minę, jak gdyby chciał mnie żywcem połknąć, ale niemeczka rozśmiała się i powiada: Rzeczywiście, można powinszować zdrowia... kto tak kicha... Ano, rzeknę, moja pani dobrodziejko tak człowiek orze jak może, a pani towarzysz, zamiast się na

mnie gniewać, lepiéjby podobno uczynił, gdyby spłoszone konie starał się schwytać. Moje konisko jest na usługi, siadaj pan na niego i goń tamte, bo przecież niepodobna, aby pani pieszo wracała, zwłaszcza z takim długim ogonem, chyba żebyśmy go we dwóch nieśli jak paziowie. Jedź pan tedy, a pani dobrodziejka będzie przez ten czas na mojéj opiece.

— Zawsze umiesz pan wybrać lepszą cząstkę— zauważył Sielski.

— To nic, ale przedewszystkiém sprawiedliwość. On się w niemce kocha, on ją po rączkach całuje, niech więc dla jéj miłości ugania się po polach. Dość zrobiłem, żem mu dał konia!

— Naturalnie, skorzystał z pańskiéj grzeczności?

— Nie w smak było mu. Widziałem, że go trapi zazdrość. Zapewne lękał się, żebym mu serca niemeczki nie odebrał. Próżna obawa! w niemkach nigdym nie gustował. Sędzic o tém nie wiedział i musiała mu się przypomniéć opowiéść o wilku, kozie i kapuście; lecz panna powiedziała, żeby się śpieszył, więc wskoczył na konia i puścił się pędem. Dobry mąż będzie, bo mores zna. Ja zaś, moi państwo, pozostałem przy szwabce. Trzeba przyznać, że dziewczyna nieszpetna, drobne to, małe jak figa, złe jak żmija, ale ładne bo ładne, a wygadana jak sześciu adwokatów. Wdałem się też z nią w dyskurs, przeprosiłem, żem stał się powodem wypadku i przestrachu, ale ona śmiała się z tego, jedno ją tylko przejmowało trwogą, a mianowicie, że jeżeli konie powrócą same do Bogatego, to się jéj papa przestraszy, a jakaś tam ciocia dostanie palpitacyi.

Uspokoiłem szwabkę, że to się stać nie może i że ciocia nie będzie palpitowała, dla téj prostéj racyi, że jeżeli kto koni nie zatrzyma na drodze, to kasztan poleci nie do Bogatego, lecz do Bajkowszczyzny, dokąd gościniec wprost z lasu prowadzi, i jeżeli kto dostanie palpitacyi, to chyba sędzina, gdy ujrzy, że kasztan zgubił jéj jedynaka; zaś sędzia będzie mógł sobie przeczytać rozdział *de bello civile*, czyli o posłuszeństwie małżeńskiém.

— Panie Onufry dobrodzieju — wtrąciła panna Marta, — daj pan sędzinie pokój, to taka zacna kobieta.

— Cóż ma zacność do palpitacyi? wszak jedno drugiemu nie przeszkadza, ale wracam do niemeczki...

— Uważam, żebyś pan to chętnie uczynił—rzekł Stanisław.

— Otóż nie. Zapraszała mnie, alem się wymówił. Nigdy inklinacyi do niemek nie czułem.

— Ale przepędziłeś pan chwilkę czasu przyjemnie?

— I to nie, bom się do państwa śpieszył, a tu sędzic przepadł, jak kamień w wodę, musieliśmy na niego czekać, jak rozbitkowie na wyspie.

— Bezludnéj?

— Niezupełnie... i w tém właśnie jest sęk. Wyobraźcie sobie państwo, że kiedyśmy siedzieli bardzo poetycznie nad rowem przy drodze, przejeżdżał Boruch i tak się na mnie dziwnie spojrzał, jak gdyby coś osobliwszego zobaczył. Przysięgnę, że jutro już kursować będzie w okolicy plotka, żem się w niemce zakochał.

— I cóżby złego w tém było?—rzekła panna Marta.—Serce nie sługa—dodała z westchnieniem.

— Tak, ale moje serce, pani dobrodziejko, to nie oberża, do którego lada kto może zajechać; to szlacheckie serce, wierne swojéj pani...

— Więc ono ma panią?

— Spodziewam się, że ma.

— Któż jest ta szczęśliwa istota?

— To się w swoim czasie okaże. Siedzieliśmy sobie tedy z niemeczką, jak dwie turkawki, i gawędzili to o tém, to o owém. Musiałem jéj wytłumaczyć, zkąd się tu wziąłem, powiedziałem, żem jechał dróżką i ma się rozumiéć spotkałem ich oboje wypadkiem. Udało mi się skomponować dość gładko i uwierzyła. Przepędziliśmy w miłém sam na sam z półtoréj godziny, to jest dopóki nie nadjechał sędzic. Stało się akurat tak, jak powiedziałem, konie poszły do Bajkowszczyzny i tam je ludzie na dziedzińcu złapali; tym więc sposobem ciocia nie dostała palpitacyi, a stary szwab nie drżał o córkę. Pan sędzic umitygował się także, przeprosił mnie za swoją porywczość, dziękował za konia i za opiekę nad panną, i w pięknéj komitywie pojechaliśmy wszyscy troje razem, aż do punktu, w którym rozchodzą się drogi... oni pojechali do Bogatego, a ja do państwa.

Do altanki. wbiegł parobek z doniesieniem, że wół nagle zachorował.

Pan Stanisław poszedł do obory, pan Onufry, jako stary gospodarz i znawca, także za nim podążył, a Sielski, rozumiejąc dobrze, że po tém, co słyszała przed

chwilą, panna Marta pragnie być samą, dyskretnie opuścił altankę.

Panna Marta przez chwilę siedziała w zamyśleniu, potém rozśmiała się gorzko — i wyszedłszy z altanki, udała się do głównéj alei ogrodu.

Tam było cicho, spokojnie. Wieczór się już robił. Po twarzy zawiedzionego dziewczęcia spływały grube łzy...

Był to płacz cichy, bez łkań i bez jęków, płacz, który w cierpieniu ulgę i uspokojenie przynosi.

Przeszła kilkakrotnie przez aleję i usiadła na ławeczce pod lipą, pragnąc przez chwilę samą pozostać, lecz usłyszała odgłos ciężkich kroków i dostrzegła, pomimo panującego już zmroku, pękatą postać pana Onufrego.

— Już panowie wrócili—rzekła, wstając—proszę do pokoju. Nieuważna jestem, zapomniałam o obowiązkach gospodyni.

— Wróciłem tylko ja sam — rzekł pan Onufry głosem drżącym i nie tak pewnym, jak zwykle.

— A Staś z panem Sielskim?

— Przyrządzają lekarstwo, którem zaordynował. pomoże niezawodnie...

— Chodźmy i my do nich.

— Panno Marto, najłaskawsza pani dobrodziejko, błagam panią o jedną wielką a wielką ofiarę.

— O co?—zapytała zdumiona.

— O chwilkę cierpliwości... pięć, dziesięć minut czasu. Chciałem, to jest pragnąłem, a raczéj pragnę

coś pani powiedzieć... ale nie wiem jak zacząć? *quo modo?* co znaczy: żem języka całkiem zapomniał...

— Przerażasz mnie pan!

— Dalibóg, panno Marto, ja sam jestem przerażony śmiałością mego pomysłu, alem go rozważył dokładnie, w głowie i w sercu. Panno Marto dobrodziejko, błagam, żebrzę, wysłuchaj! Ja zawsze byłem dla pani z przyjaźnią, z rewerencyą, z uwielbieniem, ale póki nieboszczka Biedulska żyła, tom wszystkie afekta w sercu tłumił! gdyż... no gdyż, *vana sine viribus ira*, co się tłumaczy: nie było z czém wojować! Gdy jednak niespodzianym okoliczności zbiegiem spadło mi kilkadziesiąt tysięcy jak z nieba... przyszedłem do konkluzyi, że mógłbym sobie i komu szczęście zapewnić.

— Ach! więc?

— Panno Marto, nie jestem pierwszéj młodości, ale jak się wyświeżę, tom do ludzi podobny, chleba mi nie brak, będę cię kochał, wielbił, proszek przed tobą zdmuchiwał...

— Panie! to niepodobieństwo!

— Posłuchaj-no pani, tamten szaławiła i lekkoduch niemce się w niewolę zaprzedał, a ja będę dla pani jak ojciec, jak najlepszy przyjaciel. Za życia otoczę cię opieką, a jak umrę, pozostawię wszystko dla ciebie. Panno Marto, mój los jest w twojéj rączce!

To mówiąc, pan Onufry padł na kolana i z rękami, złożonemi jak do modlitwy, oczekiwał wyroku.

— Wstań-że pan, proszę—mówiła panna Marta— do czego ta komedya! Nie jestem wcale usposobioną do żartów.

— Niech się ziemia podemną rozstąpi! niech mnie pochłonie...

— Przedewszystkiém niech pan wstanie.

— Więc tak—rzekł z westchnieniem, podnosząc się z trudnością—ofiara moja odrzucona... Ha, cóż robić? boli to, bardzo boli, ale stokroć gorzéj boli, że pani nie wierzysz, że bierzesz za żart moje najszczersze intencye. Tém mnie głęboko zraniłaś, panno Marto, rozdarłaś mi serce. Być może, że propozycya moja nie miała sensu, ale intencye były uczciwe. Nie jestem faryzeuszem; co myślę, to mówię...

— Jeżelim pana obraziła, to przepraszam. To, co między nami zaszło, niech téż pomiędzy nami zostanie. Rozumiesz pan, że mogę mieć dla niego szacunek i przyjaźń, ale więcéj nic nad to.

Uchwycił jéj rękę i ucałował.

— Masz pani słuszność—rzekł. — Nie narzucam się, ale zapamiętaj to sobie pani, zapamiętaj, że zawsze cię kocham... kocham cię jak ojciec i jeżeli kiedy, broń Boże, będzie ci na świecie źle, ciężko, jeżeli będziesz potrzebowała pomocy, to pamiętaj pani, powtarzam, że w Wólce mieszka Onufry... i udaj się do niego, jak do ojca. Jak do ojca, panno Marto, pamiętaj!

Mówił to z drżeniem w głosie, a w oczach miał łzy.

Gdy weszli do pokoju, pan Onufry był już zupełnie spokojny; nie sypał jednak przysłowiami, nie dowcipkował, i wkrótce, pożegnawszy towarzystwo, odjechał.

Noc była piękna. Spasły wierzchowiec pana Onufrego szedł raźnym stępem, parskając, a jego pan półgłosem sam do siebie taką wypowiedział naukę:

— Widzisz, Panie Boże! że nie kłamię. Chciałem się z nią ożenić, nietyle dla siebie, ile dla niéj. Bo i cóż ją czeka? Substancya niewiele warta, wioszczyna odłużona na wszystkie cztery boki. Gdyby chcieli wszystko spłacić, nicby im nie zostało. Tamten szaławiła już tak jakby dyabłu duszę zapisał... bo go żadna siła ludzka od niemki nie oderwie. Biedna Marcia! Chciałem ją przygarnąć do siebie, zapewnić jéj byt niezależny aż do śmierci, być jéj wiernym służką... i dalibóg postąpiłem *honeste*, czyli przyzwoicie. Cóżby jéj było złego, gdyby za mnie wyszła!? Tém, co świętéj pamięci Biedulska zapisała, długi spłacam i jeszcze coś zostanie i... Wólka czysta, panie dobrodzieju, jak szkło!! Miałaby kobiecina punkt oparcia, miałaby mająteczek niezgorszy, miałaby los... Zapomniałem tylko o téj małéj przeszkodzie... że mam lat... eh! co to liczyć, mam tyle, ile mam... Stary jestem i z przeproszeniem... osieł. Zapomniałem, że z siwizną do dziewczyny to tak, jak z jeżem do psa! Ej, dziadu, dziadu! co ci to chodzi po głowie?!

Pan Onufry pogrążył się w smutnych dumaniach, a kasztan, któremu pilno było do stajni, przyśpieszył kroku i niecierpliwie żuł wędzidło.

VIII.

Panna Izabella była w bardzo złym humorze od samego rana; pijąc herbatę, stłukła filiżankę naumyślnie; pokojówce dowiodła, że nie umie prasować, a nawet na czułe „dzień dobry“ pana Kintza nie odpowiedziała wcale. Wzięła do czytania książkę, lecz po chwili rzuciła ją w kąt, usiadła do fortepianu, lecz po uderzeniu kilku akordów zamknęła go z trzaskiem, zerwała w ogrodzie masę kwiatów i poszarpała je na strzępki. Nic jéj nie smakowało; wszystko było złe, i wyraźnie zapowiedziała cioci, że chce umrzéć, ponieważ jéj się życie sprzykrzyło.

Ciocia dostała, jak zwykle, palpitacyi serca, a stary Kintz, jako człowiek silniejszéj kompleksyi, widząc co się święci, wzruszył ramionami i udał się do swoich zatrudnień, w przekonaniu, że ta przelotna burza przeminie wkrótce.

Przewidywania Kintza nie ziściły się; panna wciąż była pochmurna i rozdrażniona, a na jéj twarzy malowało się zniecierpliwienie i niepokój.

Po południu nadjechał sędzic.

Wszedłszy do salonu, zastał w nim tylko otyłą ciocię, trzymającą na kolanach wielkiego białego kota. Pan Kintz był przy gospodarstwie, panna zaś zamknęła się w swoim pokoju, zawiadomiwszy ciocię przez służącę, że ma migrenę.

Przez godzinę przynajmniéj musiał sędzic zabawiać otyłą damę, słuchać opowiadań o jéj wątłém zdro-

wiu, wyjątkowo rzadkich przymiotach białego kota i o wielu innych nader zajmujących kwestyach.

Nie potrzeba dodawać, że sędzic siedział jak na szpilkach i nieustannie spoglądał ku drzwiom, sądząc, że ból głowy przeminie i panna Izabella raczy się nareszcie ukazać.

Tym razem jednak migrena była uporczywa.

— Izia zawsze tak—mówiła ciocia — zawsze ma migrenę, od dzieciństwa. Powiadam panu, że czasem rady sobie dać nie można, zwłaszcza gdy ja dostanę palpitacyi serca. Wtenczas dzieją się okropne rzeczy. Ona cierpi i ja cierpię. Tak się stało i dziś. Izia już od samego rana uskarżała się, ale to zapewne przejdzie, bo trzeba panu wiedzieć, że migrena niekiedy przechodzi.

Pomimo zapewnień cioci, migrena nie przechodziła i sędzic widząc, że nie doczeka się panny, zabierał się do odjazdu.

Gdy składał już pocałunek na pulchnéj rączce cioci i zabierał się do wyjścia, panna Izabella wbiegła do pokoju.

— Ach! pan tu?—rzekła, udając zdziwienie.

— Blizko od dwóch godzin— rzekł sędzic. — Pani była cierpiącą...

— Migrena, Izia tak zawsze...

— Nie... nie miałam migreny, ale nie wiedziałam, żeś pan przyjechał.

— Izia tak zawsze... nie wiedziałam, a przecież służąca...

— Czy ja kiedy słucham, co mi służąca mówi?—myślałam o czém inném.

— Widzi pan, mówiłam, że Izia tak zawsze, ona ciągle myśli o czém inném...

— Mam nadzieję, że pan nie pojedziesz zaraz, nie widzieliśmy się już tak dawno!—rzekła, nie zważając na uwagi cioci.

— To prawda, od onegdaj—odpowiedział sędzic—miałem zamiar już wracać do domu, gdyż ojciec miał ze mną do pomówienia, lecz jeżeli pani rozkaże...

— Ja tylko proszę—rzekła, spojrzawszy znacząco.

— Może pani potrzebuje towarzysza do przejażdżki konnéj?

— Żeby mnie znów pan Onufry przestraszył.

— Otóż to tak... Powiadam panu, że Izia tak zawsze... Od dzieciństwa lubiła jeździć konno; przyzna pan jednak, że ja nie mogę jéj towarzyszyć, przy mojéj kompleksyi tego rodzaju wstrząśnienia nie są dobre. Nie pojmuję, co za przyjemność siadać na grzbiet dzikiego zwierzęcia i narażać się dobrowolnie na kalectwo, jeżeli nie na śmierć.

— Mój Ali jest łagodny, jak baranek.

— Nie lubię baranków, które wierzgają i pędzą jak wicher.

— Może ciocia wyjdzie z nami do ogrodu; pogoda ładna, przechadzka zrobi cioci dobrze...

— U ciebie wszystko dobrze, ty tak zawsze; sama wiesz najlepiéj, że przy mojéj delikatnéj kompleksyi ruch mi szkodzi... na serce szczególniéj.

— To możemy pozostać w salonie.

— O! bardzo proszę, wyjdźcie państwo, jeżeli wolicie, ja z Milusiem usiądę na werendzie; on bardzo lubi świeże powietrze, ten kochany koteczek.

Ciocia usiadła na werendzie i niebawem przymrużyła oczy; kot, mrucząc, ułożył się na jéj kolanach.

— Chodźmy nad jezioro—rzekła panna Iza.

Sędzic podał jéj rękę. Wsparła się na jego ramieniu i szli tak dość długo pod cieniem świerków i grabów.

— Dlaczego kazałaś mi pani tak długo czekać na siebie?—spytał z rodzajem wymówki.

— A dlaczego nie byłeś pan wczoraj?

— Nie mogłem wydalić się z domu na żaden sposób, matka mnie zatrzymała.

— Czy zawsze malutki Jaś będzie pod rozkazami swéj mamuni?

— Nie żartuj pani... i tak narażam jéj się bardzo, a jednak...

— Co mam przez to rozumiéć?

— Obowiązki...

— Dość mi zabawnie brzmi ten wyraz, mój panie.

— Nie rozumiem...

— Pozwolisz pan zatém, że się wytłumaczę, a postaram się nie tracić słów napróżno. Czy przypominasz sobie, panie Janie, kiedy po raz pierwszy wyznałeś, żem ci nie jest obojętną, pamiętasz moją odpowiedź?

— Rozśmiałaś się pani.

— Tak jest... Rozśmiałam się, gdyż nie sądziłam, żebyś był zdolny do walki, która cię czeka, do zwycię-

żenia przeszkód, wznoszących się pomiędzy nami, jak mur. Przyrzekałeś mi, że je pokonasz.

— Gotów jestem to przyrzeczenie ponowić i dotrzymać go, choćby kosztem największych ofiar.

— Ja odpowiedziałam, żebyś się namyślił, że mnie nie znasz... że ja nie jestem sentymentalna wiejska dzieweczka, której wystarczą westchnienia... Nie! ja ci powiedziałam, że kto chce moją miłość zdobyć, ten powinien żyć, istnieć i oddychać tylko dla mnie, wyrzec się wszystkiego i wszystkich, oddać mi swe serce niepodzielnie, zupełnie, bezwzględnie. Tylko na taką miłość mogę odpowiedzieć miłością, ale miłością, jak ja rozumiem. Ja również gotowa jestem wyrzec się wszystkiego dla ciebie i gdybyś został rozbójnikiem, to mordowałabym ludzi wraz z tobą, broczyła we krwi, zginęła obok ciebie, ale nie odstąpiła cię nigdy! Ja ostrzegałam, cię, panie Janie, ja nie chciałam cię łudzić, ale teraz, gdym uwierzyła twym słowom, gdy oddałam ci serce moje, nie igraj ze mną... nie krwaw mi serca...

— Czém cię uraziłem, że mówisz do mnie w ten sposób?...

— Czém? Przez cały dzień wczorajszy chodziłam, jak obłąkana, czekając na ciebie... wszakże miałeś przyjechać, tęskniłam, liczyłam godziny i minuty... chodziłam od okna do okna, sądząc, że oczy wypatrzę... ale pan zapomniałeś widocznie, że jest ktoś...

— Wierz mi, najdroższa, że to nie zależało ode mnie...

— Ja nie chcę od nikogo być zależną! nie potrzebuję znać żadnych względów, żadnych obowiązków. Ja

mam jeden świat... w tobie, i w tym świecie chcę wyłącznie panować!... Nasze położenie niepewne musi się skończyć. Wyjedziemy ztąd daleko, będziemy zupełnie wolni i niezależni... będziemy sami dla siebie tylko... wyłącznie. Ja wiem, że twoi rodzice niechętnie patrzą na nasz związek. Woleliby widzieć cię mężem téj rozmarzonéj szlachcianki... Szlachcianki! a ja nawet do tego tytułu nie mam prawa!... Śliczna przyszłość! onaby hodowała indyczki i gąski, tybyś został jakimś panem radcą lub sędzią i bylibyście zupełnie szczęśliwi. Kto wie, co lepsze, może jeszcze cofniesz się?...

— Nigdy! — rzekł z zapałem, ujmując ją za rękę.

Zatrzymali się. Ona oparła głowę na jego ramieniu i szepnęła, jakby sama do siebie:

— Tak... nigdy... ja ci wierzę, mój Jasiu...

— Wierz mi, wierz mi zawsze!—mówił, okrywając pocałunkami drobne jéj rączki.

— Ja wiem, że u twoich rodziców łask nie mam, ale mniejsza o to. Zejdziemy im z oczu i będziemy szczęśliwi. Ojciec spełni każde moje życzenie, a nawet każdy kaprys. Wyjedziemy ztąd, naprzód do Warszawy, a późniéj zobaczymy... Ty przyjedziesz za nami. Wynajdziesz jakikolwiek pozór... Albo lepiéj nie... Zróbmy inaczéj. Ja z ojcem wyjadę za dwa tygodnie, ty zaś wcześniéj... w Warszawie czekaj na nas, o dniu przybycia zawiadomię cię listownie...

— Napiszesz do mnie?!

— Dlaczegóż nie miałabym napisać?... Dziś nie będę zatrzymywała cię u nas, jedź i urządzaj się tak, żebyś na nas w Warszawie oczekiwał.

— Więc nie zobaczymy się już przed wyjazdem?

— Nie... nie chcę tego.

— Ależ pozwolisz mi się przecież pożegnać...

— Żegnam cię teraz... jedź.

To mówiąc, podała mu rękę. Pochwycił ją, chciał przyciągnąć ku sobie, lecz ona zręcznym ruchem wysunęła się z rąk jego.

— W Warszawie—rzekła z uśmiechem—w Warszawie.

— Nie wrócimy teraz do cioci?

— Owszem, ale z warunkiem, że rozmawiać będziemy tylko o pogodzie, lub jeżeli pan wolisz o sztuce.

— Jesteś nieubłagana...

— A pan nudny... Umówiliśmy się już raz, po cóż więc powtarzać rzeczy znane. Pomyśl pan lepiéj o wyjeździe, postaraj się, żebyś przeszkód żadnych nie miał.

Ciocia zapraszała sędzica, aby został na wieczór, tem bardziéj, że pan Kintz spodziewany był lada chwila. Młody człowiek jednak, posłuszny wejrzeniu czarnych oczu, pożegnał się i odjechał.

Przez całą drogę rozmyślał, w jaki sposób upozoruje przed rodzicami konieczność wyjazdu. Poszło mu to jednak łatwiéj, aniżeli się spodziewał.

Sędzina wysłuchała w milczeniu długiéj relacyi syna, nie przerywając ani jedném słowem, nareszcie gdy skończył już, rzekła:

— Niepotrzebnie zadawałeś sobie tyle trudu, aby bronić sprawy, która rzeczywiście obronić się nie da...

— Dlaczego?

— Nie pytaj, bo dyskusya zaprowadzi nas do kwestyi, do któréj postanowiłam więcéj nie wracać. Powtarzam ci, że jesteś pełnoletni i możesz robić, co ci się podoba. Zanadto już jestem stara i doświadczona, żebym kusiła się nawet o wytłumaczenie ci niewłaściwości twego postępowania. Wiem, żebym cię nie przekonała. Kiedyś miał inne zamiary, kiedy chciałeś osiąść tu przy nas i pracować uczciwie, postanowiliśmy oddać ci cały majątek, owoc naszéj oszczędności, zabiegów i pracy całego życia. Dla nas byłoby aż nadto mieć swój kącik, pracować dopóki sił starczy, i patrzéć na szczęście twoje i téj, którą ukochałam, jak rodzone dziecko. To były nasze marzenia. Nie ziściły się... wola Boża! Zaślepienie twoje...

— Nie, matko! — rzekł z mocą — nie nazywaj tego zaślepieniem, bo to jest...

— Ja wiem, co jest, nie potrzebujesz mi tłumaczyć; według twego zdania, to jakieś nadziemskie szczęście, według mnie... głupstwo. A ponieważ inaczéj być nie może, pozostaniemy więc przy swojém.

— Ja mateczkę przekonam...

— Mogę cię zapewnić, że nie, lecz wracamy do kwestyi. Chcesz wyjechać... po to zapewne, ażeby poza oczami naszemi zamiarów swoich dopiąć... Jest to z twojéj strony delikatność, za którą wdzięczną ci jestem.

— Moja mamo!...

— Nie krępuj się moją wolą, gdyż niewiele o nią dbasz... i pozwól mi dokończyć. Powiedziałam, że mie-

liśmy zamiar oddać ci cały majątek; obecnie musimy od téj myśli odstąpić...

— Ja o majątek nie dbam, uważam go za własność rodziców i w ich dyspozycye mieszać się nie chcę.

— To mi wszystko jedno; choćbyś nawet i dbał, nie moglibyśmy postąpić inaczéj. Po naszéj śmierci zabierzesz wszystko. Obecnie jednak, nie chcąc cię zostawić wyłącznie na łasce wybranki twego serca, postanowiliśmy płacić ci procent. Dziś otrzymasz od ojca pieniądze za cały rok z góry, przydadzą ci się zapewne...

— Czemu matka tak mnie upokarza?—rzekł z goryczą.

— Owszem, postępuję z tobą uczciwie.

— Ja wcale nie przyjmę datku, mam jeszcze młodość i głowę, potrafię na siebie zarobić!

— Wierzę; przy posażnéj jedynaczce nie będzie to nawet zbyt trudno...

— Więc mama przypuszcza, że działam z wyrachowaniem?

— Nic nie przypuszczam i o niczém słyszéć nie chcę.

To powiedziawszy, wyszła pośpiesznie.

Sędzic był wzburzony. Chodził po pokoju wielkiemi krokami, nareszcie rzucił się w fotel i westchnął ciężko.

— Cóż to, mój synku —rzekł sędzia, wchodząc— obraziłeś matkę, jak uważam... to źle, to bardzo źle, mój Jasiu...

— Nie, ojcze. Nie zapomniałbym się do tego stopnia, żebym miał matkę obrazić... ale słowo daję, że mama zawiele wymaga...

Sędzia westchnął.

— Mój kochany—rzekł—dzielna to kobieta, rozumna, a serce ma złote.

— Nie przeczę.

— I zapewniam cię, że w wielu kwestyach ma racyę.

— Lecz przyzna ojciec, że w kwestyi moich własnych uczuć...

— Nie znam ja się na tém, mój synu; daliśmy ci wykształcenie, więc może jesteś od nas mądrzejszy. Nie będę się tedy sprzeczał, ale po mojemu, na chłopski rozum biorąc,- to takiéj żony, jak Marcia, nie znalazłbyś na całym świecie, mój kochany. Podobała ci się niemka, szalejesz, chcesz za nią w świat lecieć...

— Więc i ojciec przeciwko mnie? — rzekł z goryczą.

— Ja? nie. Co do mnie, chociażbym wolał mieć Marcię za synowę, ale jeżeli tamta ci się tak podobała...

— O mój ojcze! przynajmniéj ty jeden mnie nie potępiasz?!

— No, widzisz, bo ja nie jestem zawzięty. Wprawdzie nazywa się paskudnie; wprawdzie te jéj czerwone włosy wcale mnie nie zachwycają, wprawdzie słyszałem, że ma być kapryśna, zła, fantastyczka... ale jeżeli uważasz, że ci będzie z nią dobrze... to cóż robić? Ale, mój Jasiu, zapomniałem, po co przyszedłem. Weronisia życzy sobie, żebym ci wypłacił...

— Proszę ojca, ja tych pieniędzy nie wezmę.

— Ależ matka życzy sobie tego, żebyś wziął; przeznaczyła je dla ciebie, pamięta o twoich potrzebach, choć ją postępowanie twoje boli.

— Nie wezmę!

— O moje dziecko, teraz widzę, że Weronisia ma słuszność, jak zawsze. Z tobą źle jest, mój Jasiu. Dają ci... a ty brać nie chcesz?

— Nie mogę, dla przyczyn, które wyjaśniłem mamie.

— Ha! jeżeli wyjaśniłeś, to znowuż co innego. Przed chwilą wszakże Weronisia mi wyraźnie powiedziała, żebym ci tę sumę wypłacił. No, ale skoro porozumieliście się już i nie przyjmujesz, to ci się nie narzucam. Wola twoja, mój Jasiu, chociaż powiadam ci, że głupstwo robisz. Brać kiedy dają, to zasada... Podobno w drogę się wybierasz?

— Chciałbym istotnie na jakiś czas wyjechać...

— Cóż, skoro chcesz, jedź z Bogiem. Przykro mi będzie, bom się spodziewał, że już nas nigdy nie opuścisz; dorosły jesteś, nie mogę cię przecie trzymać za połę.

— Muszę, kochany ojcze...

— Wiem, wiem, że musisz i dlatego żałuję cię. Byłem i ja przecież młodym niegdyś, znam więc taki „mus...“ oj znam lepiéj może, niż ci się zdaje, i wiem, że cię nic nie powstrzyma.

Syn milczał, ojciec zafrasowany przechadzał się po pokoju.

Po chwili odezwał się:

— Słuchajże-no, mój Jasiu, cóż teraz będzie z naszemi projektami? Czy kazać zwozić materyał na budowę fabryki? Czy traktować z panem Onufrym o te torfowiska nad rzeczką, co do których Staś miał go wyrozumiéć. Zostawiasz mnie tu samego, nie będę wiedział, jak się rządzić.

— Możeby ojciec mógł...

— O! nie, nie, mój Jasiu, twój ojciec do tego niezdolny. Zaorać, zasiać, zebrać, wreszcie sprzedać i oddać Weronisi pieniądze to potrafię... ale fabryki wznosić, zakładać je, prowadzić, nie moja to rzecz. Nie znam się na tém, i choćbym chciał cię tu zastąpić z duszy całéj, nie potrafię. A powiedz, jak długo twoja podróż potrwa?

— Nie wiem, proszę ojca, trudno to naprzód przewidziéć.

— Témbardziéj...

— W takim razie budowę fabryki odłożymy do czasu mego powrotu.

— Szkoda! rozniosło się już po okolicy, ludzie mówią o tém, pomiędzy chłopstwem nawet chodzą już wieści o spodziewanych z tego tytułu zarobkach, a tak rozsypie się to wszystko w proch, dlaczego?

— Mój ojcze, co się odwlecze to nie uciecze. Wrócimy jeszcze kiedy do téj myśli.

— Et, niezawsze... ale, powiedzże mi, Jasiu, kiedyż ty chcesz wyjechać?

— Im prędzéj tém lepiéj. Spróbuję wszakże jeszcze z matką pomówić. Może da się przeprosić, może

jéj wytłumaczę. Od tego naturalnie zależéć będzie czas mego odjazdu.

— Wiesz co, to jest myśl. Pójdźże teraz do matki zaraz; jest u siebie.

— Pójdę, ojcze—rzekł sędzic.

— Tak pójdź, pójdź... i powróć do mnie, ja będę czekał na ciebie.

Poczciwy sędziulek usiadł na fotelu, zapalił cygaro i czekał.

Po kwadransie wszedł pan Jan, blady, niespokojny.

— Spodziewałem się tego. Weronisia twardy ma charakter. Sądziłem przecież, że dla ciebie zrobi wyjątek.

— Niestety!

— Mój Jasiu kochany — rzekł sędzia z pewnèm drżeniem w głosie — jabym ci chciał dopomódz całèm sercem... ale co ja mogę? Powiedz mi, co ja tu mogę?

Sędzic ucałował ręce ojca i rzekł:

— Ojcze, dajesz mi wiele, bo dobre słowo, całe życie będę ci za to wdzięcznym.

— Jasiu! Jasiu!—zawołał sędzia, chwytając syna w objęcia—a pamiętaj o nas, a jakby, broń Boże, było ci źle na świecie... to wracaj, wracaj do ojca, do matki, do domu. Tu cię zawsze szczerèm sercem przyjmiemy.

Tegoż samego dnia pan Jan opuścił dom rodzicielski, a nazajutrz zajął mieszkanie w jednym z pierwszorzędnych hoteli warszawskich.

Panna Kintz potrafiła tak pokierować swoją sprawę, że ojciec sam ją do wyjazdu skłaniał, a ciocia, nie zważając na palpitacye i delikatny stan zdrowia, przy pomocy kilku służących, dyrygowała pakowaniem kufrów i waliz.

IX.

Ksiądz Andrzej niedomagał. Od tygodnia już prawie nie wychodził z domu, a nawet kazał Szymonowi do drynduli zaprządz i po doktora pojechać.

Dziad oponował.

— Proszę jegomości—mówił—po co? Albo dochtory co pomogą? oni aby jeno prędzéj duszę z człeka wypędzić. Może lepiéj skoczę do Walentowéj, ma ona takie ziele, że czy od łamania, czy od kolków, czy od najgorszéj słabości... jedyne! Jeno żeby przyłożyć, albo okadzić, albo nagotować i dać na ten przykład we śklance, to jakby ręką odjął.

— Co ty się tam znasz, mój Szymonie!

— Ha, jak kazano tak się zrobi, ale zawdy ja wpierw do Walentowéj skiknę.

— Nie skakaj, boś stary, ledwie łazisz — rzekł z uśmiechem ksiądz.

Ale Szymon na przymówkę nie zważał; „skiknął“ i przyniósł pęk ziela różnego, związany łykiem lipowém.

Ksiądz ziele na stole położył, lecz swoją drogą po doktora kazał jechać, co też dziad, wbrew przekonaniu swemu, mrucząc, niechętnie uczynił.

Oczekując przybycia eskulapa, siedział ksiądz Andrzej w dużym fotelu i czytał; wtém ciężkie kroki dały się słyszéć w sionce i niebawem wtoczył się pan Onufry.

— A wstydźże się, proboszczu dobrodzieju—rzekł donośnym swym głosem — wstydź się! Bo, że jesteś słaby, to rzecz ludzka, ale że przyjaciół o tém nie zawiadomisz, to pfe! jak powiada mędrzec...

— Ciekawym, mój panie Onufry, który to mędrzec powiedział taką mądrą sentencyę.

— Zaraz chciałbyś ksiądz wiedzieć który! Po co taka ścisłość, czy Konfucyusz, czy Sokrates, wszystko to jedno, dość, że mędrzec powiedział, pfe! bom to na własne oczy czytał. Ale robię returnellę, czyli zawracam na pięcie. Miałżeś, księże Andrzeju, sumienie nie dać nam znać, żeś cierpiący! Przecież odwiedzalibyśmy cię, dali jakąś radę, rozweselili, powiedzieli *quid novis*...

— A cóż tu w naszym cichym kącie za nowości być mogą?

— Worek nowości, studnia nieprzebrana! Ksiądz tu siedzisz na plebanii, jak pustelnik i ani wiesz, jakie u nas zmiany! I dziwić i śmiać się i płakać! Ha, cóż chcesz, mój księżulku, *mnudus vult decipi*, *ergo decipiatur*, co się tłumaczy na polskie: świat chce się do góry nogami przewracać, niechże się przewraca!!

— Cóż jest, powiedz, mój dobrodzieju, nie skrywaj.

— A no... jest i dużo. *In primis*, pani sędzina skrzywiona, jak środa na piątek; zdarza się to u niéj

wprawdzie siedm razy tygodniowo, ale obecnie skrzywienie jest *in summo grado*, co znaczy po naszemu: dwunastej próby. Sędzia nos spuścił na kwintę, ani się z nim dogadać; chodzi tylko nieborak i wzdycha. Spotkawszy go onegdaj, zapytałem, co będzie z torfowiskiem, które odemnie chciał nabyć i o co mnie przez trzecie osoby nagabywał. Nie odrzekł nic, machnął tylko rękami, westchnął i spojrzał w niebo, jak gdyby wszystkich świętych o zmiłowanie chciał prosić. *Ipso facto* musiała mu sędzina jakowąś inwolucyę małżeńską uczynić i zmyć głowę *lege artis*, co znaczy po naszemu: na urząd.

— Cóż za powód?

— Phi! powód jest, ale sędzia winien temu tyle, co nowonarodzone dziecko. Widzisz, kochany księże Andrzeju, stała się u sędziostwa *rebelia*, co znaczy: że synek wziął na kieł.

— O co? z jakiego powodu?

— Najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Zobaczył świderkowate oczy, poczuł w sercu strzałę Amora i zrobił *fugas chrustas*, czyli drapnął gdzie pieprz rośnie.

— Niepodobna! chybaś się, mój panie Onufry, przesłyszał?

— Powiadam prawdę, bo jak ksiądz wiesz, nigdy nie kłamię, chyba jeżeli się omylę i zamiast prawdy powiem bajkę. Tym razem nie jestem w podobnym wypadku. Owóż, nasz pan sędzic zabrał manatki i pojechał.

— Dokąd?

— Czy ja wiem? Dokąd go oczy poniosły, a raczéj zaprowadziły. Widocznie konieczność go do tego zmusiła, a wiesz ksiądz przecie, iż *necessitas frangit legem*, jak powiada mędrzec, co znaczy: iż zakochany z łańcucha się urywa.

— Wcale nie to znaczy!

— Jeżeli o literę chodzi... zgoda, ale duch, duch! Księże Andrzeju, ja w mędrcach ducha szukam, a gramatykę kazałbym wysmarować sadłem, żeby ją prędzéj psi zjedli... Toż samo zrobiłbym z każdym słownikiem, témbardziéj, że do Knapiusa mam po dzień dzisiejszy pretensyę, o czém księdzu w czasie stosownym opowiem. Lecz wracam do rzeczy. Pan Jan pojechał sobie tedy w świat, pozostawiwszy nieutuloną w złości sędzinę... i zapewne nie powróci tak prędko.

— Zkąd pan to wiedziéć możesz?

— Wiem, albowiem spenetrowałem i dotarłem do samego źródła, to jest do rezydencyi czerwonowłoséj niemeczki. Nie lubię ja tego koloru przypominającego wiewiórkę, ale że byłem przez pannę i starego Kintza bardzo zapraszany, tedy wystroiwszy się od wielkiego dzwonu, pojechałem. Słyszałem, że rezydencya piękna, jakoż istotnie tak jest. Wszystko czyściutkie, odświeżone, ale dziwiło mnie to, że nikt na moje spotkanie nie wychodzi. Biorę za klamkę... zamknięte, ale że tam niemiecką modą wisi przy drzwiach dzwonek, jak w jakiéj aptece, więc zaczynam sygnować porządnie, jak na alarm. Po chwili wyłazi jakiś zaspany *major domus*, czyli po naszemu fagas i powiada mi, że *nec locus ubi Troja*, co znaczy: z niemca popiołu nawet

nie zostało. Wyjechali może do Warszawy, a może za granicę, ale zostawili u pana rządcy swój adres. Nie byłem ciekawy dowiadywać się więcéj i powróciłem do domu. Sądzę, że teraz zrozumiesz ksiądz dobrodziej, dlaczego sędzina krzywi się, jak środa na piątek...

Ksiądz Andrzej westchnął ciężko.

— Biedna panna Marta—rzekł jakby do siebie—wszystkie nasze zamiary w niwecz... wszystkie projekta, których urzeczywistnienie zdawało się tak blizkiém... Komu dziś wierzyć, mój panie Onufry... Komu wierzyć? na kogo liczyć?

— Paskudny świat! ciężkie czasy; oj ciężkie, księże dobrodzieju, aż w sercu gorzko i w gardle sucho...

— Poczekaj-że jegomość, miodu każę dać.

Zadzwonił ksiądz, chłopcu parę słów szepnął, i po chwili dwie duże flaszki miodu stały już na stole.

— Przepraszam cię, panie Onufry, że pić z tobą nie będę... wiesz, żem chory, wybacz.

— Cóż robić... Ej, ej, są perypetye na tym świecie... ale—dodał, zwracając się do chłopca—przynieś-no tu szklankę większą, bo ja dziś podwójną pracę mam podjąć.

— Podejmij na zdrowie...

Chłopiec, przez figle zapewne, przyniósł największą szklankę, jaką w kredensie mógł znaléźć.

Była to wielka rznięta szklanica, półkwartowa przynajmniéj, przywieziona ongi z Karlsbadu, o czém napis świadczył. Pół butelki miodu wlał w nią pan Onufry i duszkiem do dna wychylił.

— Ostrożnie—rzekł, śmiejąc się. ksiądz—ostrożnie z ogniem, bo miód stary...

Pan Onufry nic nie odrzekł, głowę oparł na rękach i dumał. Potém drugą szklanicę napełnił, i ciągnął miód powoli, z rozmysłem. Policzki poczerwieniały mu silnie, oczy zamigotały, kilkakrotnie odchrząknął. jakby powiedzieć coś pragnął, bębnił po stole palcami i sapał.

Ksiądz patrzył na niego ciekawie.

— Ano, mój panie Onufry — rzekł po chwili — pociągnij-no jeszcze... miód niezgorszy.

— Ach, księże, *piscem natare doces*, co znaczy dosłownie: złodzieja kraść uczysz!...

— Ależ nie! cóż za barbarzyński przykład!

— Ducha trzeba szukać, ducha... i ja oto dziś, gdy rozmyślałem nad tém, co się dzieje, to chciałbym się upić z goryczy!!

— Cóż ci takiego, co ci doskwiera?

— Sam ksiądz powiedziałeś przed chwilą: biedna panna Marta! otóż i ja wyznam ci, księże Andrzeju, między nami, *privatim*, że ja już powiedziałem to sobie ze sto razy... i złość mnie porywa na tę niemkę, która przywędrowała tu, aby biednéj dziewczynie życie zatruć...

— Przesadzasz mój jegomość, przesadzasz; cóż to, czyż jéj się nie trafi kto inny? może ją jeszcze najlepszy los czeka...

— Trafi się... hm... bywa różnie na świecie i znam nawet takiego, co się trafiał... ale źle się wybrał. Poszedł za popędem serca *primo impetu*, prosto z mostu,

nie po kunktatorsku, bez żadnych ceregieli... i w tém widać błąd popełnił...

— Odkosza dostał?

— Niby tak i niby nie... rozmaicie to można uważać.

— Ostatecznie jednak nie chciała go?

— Nie chciała, a szkoda! doprawdy szkoda; byłby duszę swoją oddał dla niéj...

— A któż jest ten niefortunny adonis?

— Przepraszam bardzo, naprzód nie adonis, tylko człowiek uczciwy i stateczny; powtóre *nomina sunt odiosa*, czyli tytuły należy opuszczać, a po trzecie *propria laus sordet*, jak powiada mędrzec, co znaczy: nie chwal się synku z dobrego uczynku.

— Bój się Boga człowieku! więc to ty! ty panie Onufry! Powtórz-że mi głośniéj, gdyż własnym uszom nie wierzę...

— A cóż to jegomości dziwi? Powtarzam i jeszcze raz powtarzam, że chciałem dobrze. Bóg mi świadkiem; teraz zwłaszcza, gdy nieboszczka Biedulska umarła, wioskę będę miał czystą, pieniędzy jak śmieci... chciałem tedy, żeby to dla niéj było...

— Zapomniałeś, mój przyjacielu, żeś dziad, bo ci pewnie dobrze już szósty krzyżyk ciąży na karku, zębów niewielubyś doliczył...

— Przepraszam, doliczyć łatwo, mam siedm całych i zdrowych, a zresztą alboż to ja wilk, żebym się zębami miał pysznić? Chciałem, żeby na serce patrzyła, ale zatrzymaj to, mój księże Andrzeju, przy sobie... panna Marta odrzuciła moją ofiarę. I co powiesz, do-

brodzieju, boli mnie ta rekuza i dlatego, powtarzam, chciałbym się upić, zapomniećbym chciał!

Ksiądz nic na to nie odrzekł, a pan Onufry znowuż haust miodu pociągnął.

— Źle, źle, smutno, mój księże; młodzikowie nie umieją szanować tych skarbów, a my, którzybyśmy poznali się na nich, jesteśmy traktowani jak stare, bezużyteczne graty.

— Czas ma swoje prawa, panie Onufry... ale proszę cię, spojrzyj-no w okno, zdaje mi się, że gości mamy.

Pan Onufry z ciężkością z krzesła się podniósł.

— Istotnie — rzekł — są goście, nawet jakaś dama... Masz tobie! panna Marta z bratem! Dobrzem się wybrał! Cóż ja teraz nieszczęsny uczynię? Ucieknę chyba tyłem... albo co?

— Cóż znowu, przecież cię nie zje...

— Zapewne, ale widzisz, księże Andrzeju kochany, nie chciałbym się z nią spotkać. Zawsze jest to trochę przykro...

— Nie marudź, nie marudź, wyjdź przed dom, przyjmij, poproś w mojém imieniu... przecież widzisz, że się ruszyć nie mogę. Wielka rzecz! co tam było pomiędzy wami to było, to już zapomniane; spotkaliście się przypadkiem przy chorym.

— Masz ksiądz słuszność... idę, témbardziéj, że jak ją zobaczyłem, to mi odrazu wszystek miód z głowy wyszumiał. Idę; *aut aut*, co znaczy, cetno albo licho.

Z temi słowy pan Onufry wybiegł na ganek, aby w imieniu chorego gospodarza gości przywitać.

Panna Marta z bratem weszła do pokoju, za niemi wsunął się pan Onufry i usiadł na krzesełku pod oknem.

— Dziś dopiero dowiedzieliśmy się, że ksiądz kanonik jest cierpiący, i pośpieszamy ze Stasiem natychmiast dowiedzieć się, co jest; może możemy być w czém użyteczni?

— Moja ty śliczna szarytko! Wiem, że jesteś opiekunką wszystkich chorych i cierpiących, ale mnie nic wielkiego nie jest. Zwyczajnie starość, nic więcéj. Zwykła, zwykła rzecz, moje dziecko. Uważam jednak, że i ty Marciu jakoś nieosobliwie wyglądasz. Czy może czujesz się także cierpiącą?

— O nie! jestem jaknajzdrowsza.

— Coś mi się widzi inaczéj...

— Doprawdy nie wiem, zkąd się to wzięło, ale od niejakiego czasu wszyscy wmawiają we mnie, żem chora. Staś powtarza mi to prawie codzień, pani sędzina także...

— Widziałaś ją?

— Wczoraj była u nas. Powiadam księdzu kanonikowi, że to nieoceniona kobieta. Nie wiem czém zasłużyłam na tyle łaski, ale zdaje mi się, że gdybym miała dotąd matkę, to jeszcze nie doznałabym od niéj tyle życzliwości, ile od téj kobiety.

— Ma ona podobno jakieś zmartwienie — rzekł ksiądz.

— Być może, lecz nie pokazuje po sobie. Umie skryć w głębi serca to, co jéj dolegać może... i nierada dzielić się swoją boleścią z obcemi.

— Może dlatego tak sympatyzujecie ze sobą, moje panie.

— Nie sądzę, żeby tylko dlatego. Ja zresztą nie mam nic do ukrywania, żadne wielkie smutki mnie nie trapią.

— Naprawdę? — rzekł ksiądz, patrząc jéj przenikliwie w oczy.

Panna Marta zarumieniła się trochę. Pan Stanisław z Onufrym przeszli do drugiéj stancyjki, aby obejrzéć jakąś nową książkę.

— Słuchaj-no, moja Marciu — rzekł ksiądz Andrzej — mówiłaś mi, że ci żadne smutki nie dolegają, prawdaż to?—dodał przyciszonym głosem.

— Nie wiem sama, co na to pytanie odpowiedziéć.

— Szczerze, moje dziecko, jak zawsze. Dotychczas nie miałaś przedemną tajemnic.

— Nie mam téż i dzisiaj, księże Andrzeju. Są zmartwienia, to prawda, ale któż ich niéma? Kiedy ksiądz życzy sobie szczerego z mojéj strony wyznania, to przyznam, żem w ostatnich czasach przebolała dużo... Rzeczywiście żal mi było złudzeń i marzeń, które pod zimném tchnieniem rzeczywistości rozwiały się i zniknęły, jak mgła. Wstyd mi to powiedziéć, ale w pierwszych chwilach czułam się bardzo zgnębioną... płakałam.

— Biedne dziecko!

— Późniéj, po głębszém zastanowieniu się, pomyślałam, że może to lepiéj, że mnie ten zawód spotkał wcześniéj... a jeszcze późniéj... jeszcze późniéj, ale nie

wiem, jak to księdzu kanonikowi powiedzieć... nie mogę znaléźć odpowiedniego wyrażenia...

— Mów jak myślisz, moje dziecię.

— Później w sercu mojem obudziły się jakieś nieznane mi uczucia; coś jakby duma, jakby obrażona miłość własna... zresztą nie wiem, jak to nazwać.

— Rozumiem ja cię, moje dziecko, rozumiem.

— W zmartwieniu mojém wielkie mi dobrodziejstwo wyświadczyła sędzina. Odwiedzała mnie często, a jej postępowanie, pełne szlachetności, serdeczne, ujmowało mnie na zawsze.

— Poczciwa kobieta. Widocznie pragnie wszystko naprawić.

— O wcale. Ona ma takie poczucie sprawiedliwości, że nawet dla jedynego syna ustępstw nie zrobi. O odrobieniu tego, co się stało, mowy nawet nie było... i być już nie mogło—dodała z pewném drżeniem w głosie.—Sędzina przyjeżdżała do mnie, jak matka do cierpiącego dziecka; poczciwe, zacne jéj słowa były mi jedynym balsamem pociechy. Oparta na jéj ramieniu, mogłam się wypłakać przynajmniéj...

— A o synu nie wszczynała rozmowy?

— Nigdy...

— To niepodobna...

— Tak jest, tak, księże kanoniku. Raz jeden tylko powiedziała mi, że pomiędzy nią a nim wszystko już skończone. Oto są własne jéj słowa: „Matką mu zawsze będę, w nieszczęściu dopomogę, majątek zostawię, ale to wszystko będzie tylko wypełnieniem obowiązku... nie uczucia, nie serca!“ Próbowałam bronić

sprawy jedynaka, usiłowałam wytłumaczyć sędzinie, że to uniesienie chwilowe, wybryk młodości, ale nie zbrodnia. Zamknęła mi usta. „Nie mów już o tém, rzekła; jeśli nie chcesz sprawić mi przykrości, nie wracajmy już nigdy do téj kwestyi.“ Zastosowałam się do jéj woli... tém bardziéj, że widziałam, ile ją kosztuje ten pozorny spokój i krew zimna. Do mnie lgnie ona całém sercem, daje mi przytém różne rady i więcéj myśli o mojéj przyszłości, aniżeli ja sama.

— Cóż ona ci radzi, moja Marciu?

— Ach... ona radzi mi zapewne dobrze i życzliwie, ale nie bardzo mi te rady do przekonania trafiają...

— Dlaczego?

Panna Marta przysunęła się bliżéj z krzesłem i przyciszonym głosem mówiła:

— Sędzina radzi, żebym wyjechała z Zielonki; powiada, że najlepiéj będzie, gdy puścimy folwarczek w dzierżawę i wyjedziemy do Warszawy. Tłumaczy mi, że Staś nie gospodarz, wsi nie lubi i jedynie tylko przez przywiązanie do mnie marnuje tu swoje młode lata. Co do tego punktu, prawda. Rzeczywiście bowiem mój brat jest tu w zupełnie obcym sobie żywiole, ustąpił wobec konieczności i na wsi osiadł, ale nie znajduje tu właściwego pola do zużytkowania swych sił i radby też uciec jaknajprędzéj. Mówi również sędzina, że i dla mnie żadnéj tu przyszłości nie widzi. Radzi mi więc wyjechać i zamieszkać w Warszawie.

— A ty, moja Marciu, zapewne zgadzasz się na ten projekt?

— Nie mogę mu odmówić pewnéj wartości praktycznéj. Brat mieszka tu tylko dla mnie, czyż więc mam prawo krępować go dłużéj? Ja gospodarstwa prowadzić nie potrafię, a zresztą nie chciałabym tu pozostawać sama. Z tych powodów gotowabym pójść za radą sędziny, ale...

— O cóż więc idzie, moje dziecko, jedź, skoro to może być dobrém dla ciebie...

Panna Marta zamyśliła się.

— Księże kanoniku—rzekła po chwili—mnie żal ogarnia na myśl, że opuszczę Zielonkę: przywiązałam się do tych pól i lasów, a bardziéj jeszcze do ludzi... Mnie było dobrze w tém ustroniu, miałam pole do pracy, nierozgłośnéj, ale bądź-co-bądź pożytecznéj... Wywierałam tu pewien wpływ dodatni; o ile było w mojéj możności, tępiłam przesądy i zabobony, zachęcałam do światła... Ksiądz kanonik najlepiéj wie o tém, gdyż nie skąpił mi nigdy dobréj rady i udzielał chętnie wskazówek, jak mam postępować. Otóż żal mi tego.

— Projektowaliśmy inaczéj, moja Marciu—rzekł z westchnieniem ksiądz — ale Pan Bóg inaczéj rozrządził.

— Sama nie wiem, co robić.

— A cóż? jedź, moje dziecko; jeszcze jesteś młoda, cały świat przed tobą otwarty. Któż wie, może po niejakim czasie powrócisz tu jeszcze, oparta na ramieniu godnego ciebie człowieka, z którym wspólnie pracować będziecie na téj niwie wdzięcznéj...

— O! ja o tém nie marzę!

— Dziecko, dziecko jeszcze jesteś; powtarzam ci, iż nie wiesz, że czas leczy największe smutki i cierpienia. Przebolejesz, moja Marciu, zapomnisz; na drodze życia swego znajdziesz nowych ludzi, nowe wrażenia, i przyszłość twa może będzie lepszą, niż sądzisz. Ja stary, może nie doczekam już tego.

— O nie mów tak, księże kanoniku.

— Zwykła to kolej rzeczy, moje dziecko. Młode oczy w niebo patrzą z ufnością, lub też z hardością szaloną; głowa starca zaś ku ziemi się pochyla, jak gdyby w grób patrzyła... Ale wracając do kwestyi, jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, to powiadam ci, Marciu, słuchaj sędziny, jedź. Radzę ci to szczerze, chociaż smutno bez ciebie mi będzie; twa piękna, szlachetna dusza była mi niemałą pociechą. Rozumiałaś moje dążenia i pojmowałaś je, miałem w tobie cichego pomocnika, pełnego doskonałych zalet...

Panna Marta pochwyciła rękę staruszka i przycisnęła ją do ust; on zaś złożył na jéj czole ojcowski pocałunek.

— Szkoda mi cię, moja Marciu, szkoda, ale jedź, dla twego dobra ci radzę. Usłuchaj głosu życzliwego.

— Pojadę—szepnęła cicho.

— Tylko to mi w głowie, co się z Zielonką stanie, czy znajdziecie tak zaraz uczciwego dzierżawcę, któremuby zaufać można? W tém sęk...

— Nie wiem jeszcze—szepnęła—trzebaby postarać się... poszukać...

Pan Onufry zamaszyście wbiegł do pokoju.

— Księże Andrzeju! — zawołał — sądź... *judica causam meam*, co znaczy: bądź sędzią polubownym.

— Z kim? jak?

— Z obecnym tu panem Stanisławem. Rzecz jest, mości dobrodzieju, żeby długo nie gadać... taka: Dowiaduję się, że ten pan wraz z siostrzyczką chcą nasze strony opuścić, a majątek albo sprzedać, albo w dzierżawę oddać. Podobno na kupno amatorzy są, ale z tego nic nie będzie...

— Dlaczego?

— Ponieważ panna Marta wcale nie ma chęci pozbyć się téj wioski.

— Zkąd pan wie o tém?—zapytała Marcia.

— Moja pani dobrodziejko, wiem ja dobrze, co pani myślisz, a jeżeli się mylę, to proszę mi zaprzeczyć. *Errare humanum est*, moja pani, co znaczy: strzelić bąka jest ludzka rzecz.

— Istotnie, wolałabym nie sprzedawać...

— Otóż jest dowód; a kiedy panna Marta woli nie sprzedawać, to braciszek nie sprzeda; ja go znam, on tego nie zrobi.

— Najgorzéj, że nie mamy dzierżawcy.

— Co téż pan mówisz? Uczciwszy uszy panny Marty dobrodziejki, dzierżawców jest jak psów, kamieniem rzuć, a w dzierżawcę trafisz; *notandum*, jeżeli zręcznie rzucasz i we mnie będziesz celował.

— Więc pan byś wziął?—spytał ksiądz Andrzej.

— Aby tylko pannie Marcie usłużyć, to wziąłbym nawet piekło w dzierżawę. Jestem majątkowo odpowiedzialny, folwarku nie zniszczę, gotówkę, dzięki Bogu,

i łasce nieboszczki ciotki Biedulskiéj mam, na gospodarstwie znam się jako tako... więc czegóż chcecie jeszcze? Będę strzegł i pilnował jak swojéj własności, jeden kołek w płocie nie zginie, ratę zapłacę z góry, jeszcze wam do Warszawy przyślę kartofli i kapusty, żebyście tam na bruku z głodu nie pomarli. A jak zajęczynę zastrzelę, to również miło mi będzie wyobrazić sobie, że go chrupią śliczne ząbki panny Marty.

— Wiesz co, panie Onufry — rzekł ksiądz — że mówisz jak z księgi.

— Taka jest moja inklinacya, czyli klin, który mi w głowę wszedł. Decydujcież się tedy, bo *bis dat qui cito dat*, co znaczy: dobry bigos ale póki gorący.

— Wiesz co, panie Stanisławie—rzekł ksiądz— propozycya jest warta bliższéj rozwagi.

— Co to rozwagi?!—krzyknął zaperzony pan Onufry —jedziemy w tych dniach do regenta i po wszystkiém! Myślicie może, że zbogacić się na was pragnę? Boże uchowaj! Oto, poprostu, chcę tylko, aby majątek nie dostał się w ręce jakiego spekulanta, któryby go obniszczył i zmarnował.

— Dziękuję panu—szepnęła Marcia.

— A, panno Marto dobrodziejko, niéma za co! Dalibóg niéma za co! To, co robię, wypływa z egoistycznych pobudek... chcę się pani przysłużyć, a to mi właśnie sprawia najwyższą przyjemność. Z waszéj Zielonki tylko tyle miéć chcę, aby koszta powróciły, co mi się może przy Bożéj pomocy uda... Zostawcie mi ją więc, a sami jedźcie sobie nietylko do Warszawy, lecz nawet do Antypodów, jeżeli wam to do szczęścia

potrzebne... Wszak prawda, księże Andrzeju, że dla nas starych widoki osobistego szczęścia przestały już istniéć, możemy tylko szczęściem drugich radować się i cieszyć.

— Tak, tak, świętą racyę masz, panie Onufry.

Stanisław rękę staremu szlachcicowi podał.

— Chwała Bogu, więc zgoda!—rzekł pan Onufry z radością.—Zgoda śliczna rzecz! na dukacie o niéj pisano, *concordia res parvae*... jak tam daléj idzie, już zapomniałem, bom téż i dukata od lat może trzydziestu nie widział... Tedy, kochany panie Stanisławie, wracając do kwestyi, jutro u was się stawię i spiszemy główne punkta, a wolnym czasem pojedziemy do regenta. Może i to niepotrzebne między nami, ale *verba volant, scripta manent*, co znaczy: zamiast robić na gębę, lepiéj na atrament, albowiem jesteśmy śmiertelni i z tego powodu Fenicyanie, czy téż inni bałwochwalcy wynaleźli pismo...

— Więc taki był powód wynalazku? — zapytał z uśmiechem ksiądz.

— Spodziewam się. Pisanie wymyślono głównie dla interesów handlowych, nauka i literatura przyczepiły się tylko do tego. Takie jest moje zdanie, w które wolno każdemu wierzyć albo téż nie wierzyć... ja przy niém pozostanę.

— Jak jegomość uważasz. Nikt z nas nie będzie ci kontrował, gdyż kwestya sięga zbyt odległych czasów. Ale oto, panie Stanisławie, panie Onufry, macie tu miodek na oblanie świeżo dokonanéj tranzakcyi; Marciu,

i ty powinnabyś wypić za pomyślność nowego dzierżawcy.

— Ha, jak kto dziedzicem być nie może...—rzekł pan Onufry z westchnieniem, lecz nie kończył już zdania.

Jeszcze z godzinę trwała ożywiona gawędka; przyjechał też i doktór, przepisał lekarstwo i obiecał, że po kilku dniach ksiądz Andrzej będzie mógł powrócić do normalnego trybu życia.

Wieczorem rozjechali się wszyscy. Pan Onufry do Wólki, doktór do miasteczka, a panna Marta z bratem do dworku w Zielonce, który niezadługo miała opuścić.

X.

Przeszedł rok czasu...

Wszystko szło po dawnemu, ludzie orali, siali, zbierali—ale wśród kółka naszych znajomych było posępnie i smutno. Sędzina, zamknięta w sobie, poważna i milcząca; sędzia zmartwiony, wzdychający ciężko za swoim jedynakiem; ksiądz, sprawami swego powołania zajęty, rzadko kiedy Komorno opuszczał, a pan Onufry osowiał jakoś dziwnie i sposępniał, i nawet przysłowiami już nie tak hojnie szafował.

Czasem zbierano się na probostwie lub u sędziego na wista—i to była cała rozrywka i zabawa.

Brakowało w tém kole młodych; nie rozbrzmiewały też śmiechy wesołe, nie słychać było dźwięcznych, świeżych głosów ani muzyki. Któż miał się śmiać i bawić?

Sędzic od roku nie pokazał się w domu; panna Marta z bratem zamieszkała w Warszawie, a o wesołéj niemeczce nawet nie wspominano wcale. Bogate sprzedali. Czynności téj dopełnił plenipotent, a nowonabywcami stali się w części koloniści niemcy. W ślicznym owym parku, pod drzewami, które słyszały westchnienia delikatnéj cioci i wyznania miłości zakochanej pary, teraz pusto i brzydko. Na świetnych niegdyś gazonach krowy się pasą, a trzoda chodzi swobodnie i rozgrzebuje ślady pracowicie i kosztownie założonych kwietników.

Sędzia od kilku dni dziwnie jest pomieszany i smutny. Stracił apetyt, po nocach sypiać nie może, wzdycha ciężko, a gdy go nikt nie widzi, wydobywa z kieszeni list pomięty i odczytuje go z uwagą.

W niedzielę, gdy na nabożeństwo czas było już jechać, wymówił się niedyspozycyą, bólem głowy — i w domu pozostał.

Sędzina pojechała sama.

Zaledwie powóz oddalił się z przed domu, potulny człowieczyna zaczął wielki objawiać niepokój, na twarz jego wystąpiły rumieńce, chodził niecierpliwie od okna do okna, jak gdyby oczekiwał na kogoś...

Po chwili ukazała się na dziedzińcu dwukołowa bieda i Boruch wygramolił się z jéj wnętrza.

Sam sędzia pośpieszył, żeby mu otworzyć.

— Chodź-że, chodź!—zawołał—myślałem, że już nie doczekam się ciebie!

— Aj waj, proszę wielmożnego pana, jak ja tylko dostałem karteczkę od pana, to już nie mogłem spać. Przez cały szabas to ja sobie myślałem: zkąd tego honoru, że wielmożny pan sędzia każe mi przyjechać? Żebym ja tak szczęście miał, jak nie mogłem tego zrozumiéć...

Sędzia wepchnął żyda do pokoju, zamknął drzwi, a obejrzawszy się, czy kto nie podsłuchuje, rzekł przytłumionym głosem:

— Słuchaj-no Boruch—ja... ja... uważasz potrzebuję pieniędzy.

Żyd aż podskoczył.

— Ny, ny — rzekł — to jest na moje sumienie wielgie ciekawość! Jak pan sędzia potrzebuje pieniędzy, to kto będzie nie potrzebował pieniędzy?

— Potrzebuję i to prędko, możesz coś zyskać, umyślnie posłałem po ciebie.

Żyd zastanowił się; chciał odgadnąć, zkąd ta nagła potrzeba—i pośpiech...

— Aj, aj — mówił powoli, przebiegle zerkając oczami—jak potrzeba, to potrzeba, nie wielgi interes... nasze żydki dadzą.

— A więc nie marudź, masz dać to daj, a nie, to wracaj sobie zkąd przyszedłeś i nie pokazuj mi się na oczy.

— Och! jaki wielmożny pan prędki! jabym dał, ale czy ja mam? taka suma! to trzeba dopiero chodzić, szukać, starać się...

— Więc koniec końcem, kiedyż to może nastąpić?

— Kiedy? jakto kiedy? Zaraz! choćby jutro, czy za dwa dni. Jak się wezmę do interesu, to wszystko leci z gewałtem, jak parowa maszyna, jak koleja żelazna, jak telegraf!

— Dobrze to, ale im śpiesznéj tém lepiéj... możesz na mnie liczyć, że jak prędko się sprawisz, to cię i nagroda nie minie.

— Nu, kiedy pan sędzia takie godne słowo wymówił, to ja wielmożnemu panu co powiem: Niech wielmożny pan jutro przed wieczorkiem przyjedzie na godzinkę do miasteczka, to wszystko się zrobi.

— Jutro?

— Jutro, jutro, napewno, żebym ja tak szczęście miał...

— Pamiętaj więc...

— Ny, ny, to ja nawet zaraz jadę; tylko prosiłbym, żeby wielmożny pan kazał mi dać z korczyk owsa dla mojéj szkapy. Jéj matka nie pamięta, kiedy jadła owies.

— Idź do ekonoma, niech ci wyda...

— Dziękuję wielmożnego pana dobrodzieja, bardzo dziękuję i czekam jutro. Oj, oj, żebym ja tak zdrów był, jak ja znajdę zawsze pieniądzów dla pana sędziego.

— Ale, ale, słuchaj-no Boruch, jeszcze słowo...

— Słucham wielmożnego pana.

— Powiedz mi, proszę, czy ty umiesz trzymać język za zębami?

— Za zębami? Żebym ja tak majątek w kieszeni przytrzymał, jak mogę język w gębie trzymać!! Co wielmożny pan o takie rzeczy się pyta?

— Pamiętaj, żebyś sekret utrzymał.

— Niepotrzebno wielmożny pan takie słowo powiada, na co ja mam gadać? po co gadać? czy to kto za gadanie zapłaci? Największe uczone dlatego byli mądre, bo nic nie gadali... po co ja będę gadał?

— Wierzę ci. Jedź-że teraz i żebym jutro zawodu nie miał.

— Nie będzie żaden zawód, na moje sumienie nie będzie. Co to jest zawód? Czy z zawodu człowiek może żyć? A sekret? Wielmożny pan chce sekret, to moja gęba już zapieczętowana, zamknięta na cztery kłódki. Ja wiem dlaczego wielmożny pan chce sekret... bo u nas to się też często psitrafuje?

— Co? co? pleciesz głupstwa, co ci się tam znowu przytrafuje?

— Ny, czy ja broń Boże jakie złe słowo powiedziałem? ja mówiłem tylko co się psitrafuje... Czasem gdzie powinien być czepek, to się zdybuje jarmułka, a gdzie jarmułka, to...

— Co mi tam dyabli do waszych jarmułek żydowskich! — krzyknął urażony sędzia.

— Ny, ny... już nic nie gadam, kłaniam wielmożnego pana, jadę...

Skłoniwszy się nizko, Boruch wyszedł i pobiegł co prędzej do ekonoma, żeby obiecany owies odebrać.

Sędzia zły i wzburzony, chodził po pokoju, monologując półgłosem:

— Jarmułka! jarmułka! Zwaryował żyd! Widocznie daje mi przytyk, że ja Weronisi lękam się... Tfu! czyż ja naprawdę jestem taki pantofel? Nie! stokroć nie! i na przekonanie pożyczę od żydów pieniędzy i Jasiowi poślę. Niech mnie kosztuje co chce, ale jedynego dziecka w kłopocie nie opuszczę. Mógłby mi kto zarzucić, że biorę od żydów, gdy Weronisia ma w schowaniu sporo grosza... ale ja ją kocham bardzo i nie chcę jéj przyczyniać zmartwienia. Aj, Weronisiu, żeby nie twoja zawziętość...

Rzekłszy to, sędzia usiadł przy stole, oparł głowę na rękach i zadumał się.

Rozmyślał tak długo i wzdychał ciężko, aż go dopiero przybycie sędziny z tych medytacyj wyrwało.

Przy obiedzie sędzina odezwała się:

— Mój drogi, zdaje mi się, że widziałam na grobli powracającego ztąd Borucha. Czy wstępował tu?

Sędzia poczerwieniał, jak burak.

— E, nie!—rzekł—a raczéj był... Tak, w saméj rzeczy, zdaje mi się, że był... Był... był...

— Co chciał od ciebie?

— Cóż żyd może chciéć? Pytał o zboże, tego owego...

— Miał zamiar co kupić? —pytała, patrząc bystro w oczy mężowi.

— Niby... coś tam przebąkiwał o jęczmieniu...

— Przecież nie mamy na sprzedaż.

— To jest... omyliłem się... on mówił o owsie... ale dlaczego tak się dopytujesz o Borucha, moja Weronisiu? był to był... niech tam; od tego on żyd, żeby po dworach jeździł.

— O! bez żadnéj specyalnéj myśli... tak sobie... i dziwię się nawet twoim wymijającym odpowiedziom.

— Ja téż bez żadnéj myśli... także tylko tak sobie.

Na twarzy sędziny ukazał się uśmiech przelotny.

— Nie mówmy już o tém—rzekła—cóż mnie zresztą Boruch obchodzi?

— I mnie niewiele, jak cię kocham, Weronisiu, bardzo mało... nawet, jeżeli mam prawdę powiedziéć, wcale nic... Żyd, jak wszyscy żydzi...

— Ale owies?

— Owies?.. zapewne, na cóż go siejemy? ale ze sprzedażą niéma się co śpieszyć, ceny późniéj będą lepsze... Zresztą Bogiem a prawdą, moja duszko, przecież pieniędzy nie potrzebujemy.

Sędzina znowu spojrzała mu w oczy.

— Naprawdę?—zapytała.

— To jest, uważasz duszko... niby tak i niby nie... gwałtu niéma... ale gdyby tego... to proszę cię, zawsze niby coś sprzedaćby można; ale, ale zapomniałem ci téż powiedziéć... Jasiek z poczty przyjechał.

— Są listy?

— To jest niby są... a właściwie jest jeden do ciebie; zdaje mi się z Warszawy...

— Dajże mi go, mój mężu.

— Zaraz... schowałem do biurka... w téj chwili ci go przyniosę.

— Oh, nic pilnego, dokończmy obiadu... sądziłam, że przy sobie masz ten list.

Sędzia zaczerwienił się znowuż.

— Masz dziś silne kolory...—zauważyła.

— To nic, moja duszko, nic... to tak zwykle gorąco mi trochę... ale zaraz ci dam ten list.

To mówiąc, kontent, że się może na chwilkę przynajmniéj z pod śledztwa uwolnić, poszedł i przyniósł list.

Sędzina rzuciła okiem na adres i rzekła z westchnieniem:

— Istotnie z Warszawy... od Marci.

— Od Marci?—rzekł sędzia, udając zdziwienie—no proszę! poczciwa dziewczyna... jak to ona o tobie pamięta... Co téż pisze kochana Marcia?

Sędzina rozerwała kopertę i zaczęła list czytać.

— Nic nadzwyczajnego—rzekła po chwili—donosi, że jéj nieźle w Warszawie, pozdrawia nas wszystkich i pisze, że tęskni do wsi.

— Poczciwe dziecko.

— Zapewne, że poczciwe — rzekła z westchnieniem—szkoda, że nie wszystkie dzieci takie przekonania mają, jak ona...

— Pozwól, kochana Weronisiu—rzekł sędzia, całując żonę w rękę—pozwól, że wstanę i pójdę do swego pokoju na fajeczkę.

— A owszem, przecież co dzień czynisz to samo; idź, zaraz ci tam kawę przyślę, albo przyniosę sama.

— O nie fatyguj się, moja duszko!

— Niewielka fatyga—odrzekła z uśmiechem—przecież żona zawsze powinna mężowi usłużyć.

Sędzia powtórnie cmoknął żonę w rękę i wyszedł.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, padł na fotel i z głębi piersi odetchnął. Pytania, które mu żona za-

dawała przy obiedzie, męczyły go. Poczciwiec nie umiał kłamać, a pod badawczém spojrzeniem domyślnéj Weronisi czerwienił się, jak szesnastoletnia dziewczyna, gdy imię ukochanego usłyszy.

Sędzia chciał być sam i rozmyślać swobodnie o swojém heroiczném postanowieniu. Nałożył fajkę, zapalił ją i otoczył się gęstemi kłębami dymu, rozmyślając nad tém, jak się syn ucieszy, gdy pomoc w kłopocie otrzyma... Ojciec mu dopomoże, sam ojciec! dopomoże mu i przekona, że nie jest takim pantoflem, za jaki go fama parafialna ogłasza, przekona, że jest mężczyzną pełnym energii, który jak sobie co postanowi, to wykona święcie, żeby nie wiem co się stać miało. Pod wpływem tych myśli sędzia podniósł głowę i uczuł się dumnym ze swéj siły.

Sędzina wniosła filiżankę wonnéj, doskonale przyrządzonéj kawy, któréj aromatem wnet się cały pokój napełnił.

— Ach! Weronisiu, zbytek łaski... sama się fatygowałaś... sama... doprawdy, zbytek grzeczności z twojéj strony...

— Nic nie szkodzi... smutno mi jednéj, przyszłam porozmawiać z tobą, jeżeli pozwolisz?

— Co za pytanie dziwne?!

— Nie chciałabym ci przeszkadzać...

— Przecież święto, roboty nie mam żadnéj.

Sędzina usiadła przy stoliczku naprzeciw męża i spojrzała mu prosto w oczy.

— Czy jutro gdzie wyjeżdżasz? — spytała.

— To jest... uważasz, miałem zamiar... a nawet chciałbym do miasteczka... tego...

— Masz sprawunki?

— Niby trochę... tego owego, smarowidła, postronków, żelaza... więc tedy... Chcesz może, żebym nie jechał?

— Dlaczego? jeżeli masz pilne interesa...

— Ano, mówiłem ci przecież... smarowidła... postronków... żelaza by się przydało... jest parę nowych wozów do okucia.

— Więcéj nic?

Sędzia siedział, jak na rozżarzonych węglach.

— Hm... nic.

— Źle robisz, mój mężu, że przedemną ukrywasz.

— Co ja ukrywam?! Cóż znowu... taka jesteś podejrzliwa aż wstyd.

— Nie mam żadnych podejrzeń, lecz pewność.

— Zkąd pewność? jaka pewność? Dalibóg, moja Weronisiu, musiało ci się coś przyśnić.

— Wstydź się, mężu, jesteś nieszczery. Chcesz pożyczać pieniędzy od żydów, chociaż gotówka jest w domu, to nie po gospodarsku... na co procenta opłacać? Nie mamy tak dużo, żeby w błoto wyrzucać...

Sędzia zerwał się z krzesła.

— Szelma żyd, papla! pleciuch!—zawołał z gniewem—niechno ja go zobaczę, to mu sprawię takie mydło, że dopóki żyć będzie nie zapomni!

— Nie unoś się, gdyż nie masz czego! dobrze się stało, żem się dowiedziała o tém...

— Ależ, moja Weronisiu! bo żebym ja to na karty, na hulanki, na jakieś panie... tego romanse, albo na coś podobnego... ale ja chciałem dla dziecka. Bóg świadkiem, że dla dziecka!

— Właśnie, gdyby ci było potrzeba na karty i hulanki, to miałbyś racyę w sekrecie przed żoną pożyczać... ale gdy chodzi o dziecko, nie widzę najmniejszego powodu do sekretu. Tyś ojciec, ja matka, powinniśmy radzić wspólnie.

— No... uważasz, pisał... w kłopotach jest... chciałem mu dopomódz, przecież człowiek ma serce nie z kamienia...

— To jeszcze nie racya, żeby płacić żydowi taki duży procent, tém więcéj, że dziecko ma swoje fundusze. Przeznaczyliśmy mu dochód... zgrymasił, nie chciał brać. Pieniądze leżą... teraz znowuż chce, niech bierze. Wyślij mu jutro pocztą, proszę cię, mój mężu.

— Widzisz, Weronisiu, jaka ty jesteś... na mnie się gniewasz, żem chciał pożyczyć, a sama każesz mu posyłać...

— Z tego, co przeznaczyliśmy dla niego.

— Cóż tam z tego, czy owego, na jedno wyjdzie... ale Bóg ci zapłać, Weronisiu, on jest biedny i nieszczęśliwy; żebyś wiedziała, jak on pisze...

— Nie ciekawam... jak sobie kto pościele, tak się wyśpi...

— I nie chcesz przeczytać jego listu?

— Ani myślę.

Sędzia smutnie kiwnął głową.

— Weronisiu, Weronisiu — rzekł — gdybym cię nie znał, to powiedziałbym...

— Ciekawam, co byś mógł powiedzieć?

— Powiedziałbym, że nie masz serca... — rzekł półgłosem.

Sędzina nie odpowiedziała zaraz... Wstała, przeszła kilka razy przez pokój, potarła rękami czoło i drżącym ze wzruszenia głosem rzekła:

— Ja nie mam serca?! ja! która poświęciłam całe życie dla szczęścia tego dziecka; zabiegałam, oszczędzałam, wyrzekłam się wszystkich przyjemności... byle tylko on miał los zapewniony... Mylisz się, mylisz, mój mężu, ja mam serce, ale zranione, przepełnione żalem i goryczą zawodu! Ja go przecież wychowałam, wyniańczyłam, utorowałam mu drogę życia, chciałam go widzieć szczęśliwym... a tymczasem zjawiła się niemka jakaś, przybłęda z końca świata i jedném spojrzeniem, kokieteryą przebiegłą, wydarła mi jedyne dziecko. Przecież ja z nim rozmawiałam, przedstawiałam mu... prosiłam, żeby zrobił wybór pomiędzy nią a mną. On też zrobił wybór!! Ty mi wymawiasz brak serca... a czy zastanowiłeś się nad tém, jaka to jest boleść dla matki, gdy jedyne, ukochane dziecko odwróci się od niéj i odda swe uczucia osobie obcéj, którą poznało zaledwie. Cóż za porównanie pomiędzy nią a mną. Ja jestem dla niego matką, wykarmiłam go własną piersią, spędzałam bezsenne noce przy jego kołysce, drżałam z trwogi gdy chorował, nie znałam spokoju gdy się z domu oddalił, zbierałam dla niego grosz do grosza z pracowitością mrówki... byłam dla niego matką, sługą

i pracownicą... a ona? Ona ma podobno ładne oczy, zaleta, którą może się poszczycić jakakolwiek młoda dziewczyna... a jednak na szali jego uczuć ta zaleta przeważyła... Czy ty rozumiesz, mój mężu, jak to boleśnie, jak bardzo, bardzo boleśnie...

Mówiąc to, nie mogła łez powstrzymać i głośnym wybuchnęła płaczem...

Sędzia, który uważał się zawsze za bardzo energicznego człowieka, pełnego siły i woli żelaznéj, miał jednak pewną słabostkę, a mianowicie, nie mógł obojętnie patrzéć na łzy swojéj najdroższéj Weronisi.

Sam mówił częstokroć, że wolałby nadstawić piersi na grad kul i kartaczy, aniżeli widziéć płaczącą kobietę. Działa mu to na nerwy i przez sympatyę szczególną, na widok łez sam się także rozrzewniał i gotów był płakać, jak bóbr.

Tak się téż stało i teraz.

Pochwycił szczupłą rękę swéj małżonki, pocałunkami okrywać ją zaczął i mówił głosem drżącym i niepewnym:

— Moja Weronisiu, nie unoś się... tego owego, proszę cię, do czego taka alteracya? Zaszkodzi ci na zdrowie, jak cię kocham duszko... do czego to podobne!? Nie płacz, jeżeli mnie kochasz... Oto ja panie dobrodzieju pojadę sam do Warszawy... za uszy go tutaj przyprowadzę... A cóż to nie mój syn? nie moje dziecko? nie powinien znać słuchu? Ojciec każe i koniec! Do nóg ci upadnie, przeprosi... na klęczkach przeprosi... tylko nie płacz, Weronisiu, nie alteruj się, moja najdroższa!

Niełatwo było jednak uspokoić sędzinę. Zbyt długo tłumiła ona w sobie ból, gorycz i żal... zbyt długo już dławiła w sobie łkania i wstrzymywała łzy, które jéj się gwałtem do oczu cisnęły. Przez cały rok z górą nie zdradziła ani jedném słowem ciężkiego zmartwienia, które nurtowało w jéj sercu; to téż teraz, gdy długo tłumiony żal wybuchnął, nie mogła się powstrzymać. Oparła głowę na rękach i płakała, nie słuchając perswazyi męża.

— Oj Weronisiu, Weronisiu, serce moje!—mówił sędzia, sam już płaczu blizki,—wierz mi, że nie masz czego rozpaczać. On wróci do nas; jak cię kocham, wróci... mam na to dowody... jestem pewny... tego owego... ale ty jesteś zawzięta, nawet słuchać nie chcesz moich najserdeczniejszych przedstawień. Weronisiu! moja Weronisiu kochana!...

— Zostaw mię samą na chwilę — rzekła, — daj mi popłakać swobodnie, proszę cię.

— Samą? ha, jeżeli tak sobie życzysz, to wyjdę, ale niedługo wrócę, nie dam ci płakać zanadto, bo do czegóż to podobne? Dalibóg, moje dziecko, jak cię kocham, to do niczego nie podobne!

Zostawiwszy żonę w gabinecie, wyszedł pan sędzia do salonu i usiadł na fotelu, patrząc bezmyślnie w okno, zastawione starannie utrzymanemi kwiatami.

Niepokój nim miotał. Co chwila wstawał i na palcach, bez szmeru, zbliżał się do drzwi gabinetu, i patrzył przez dziurkę od klucza... Widząc, że sędzina obciera oczy, wszedł.

— No, już, już—mówił, całując ją w rękę,—dość już tych łez, bądź mężna... wszystko się naprawi, wszystko na lepsze obróci.

— Już jestem spokojna — odrzekła, — nie płaczę; była to tylko chwilowa słabostka, za którą przepraszam cię stokrotnie...

— Za co?

— Sprawiłam ci przykrość...

— Ach, Weronisiu kochana! a ja ci zawsze powiadam, że wszystko do dawnego trybu powróci. Jaś do nas przyjedzie i nie opuści rodzinnéj zagrody...

— Kto ci to mówił?

— Wiem, napewno wiem... — rzekł sędzia z miną tajemniczą.

— Zkąd wiesz?

— Wyrozumiałem to... z wielu okoliczności...

— Wątpię...

— Mówiłem ci, że Jaś pisał; chciałem list pokazać, ale byłaś taka zawzięta...

— Rozżalona raczéj...

— Tak czy owak, dość, że nie chciałaś słuchać. Powiedziałaś, żeś nie ciekawa... A jednak gdybyś była pozwoliła mi mówić, dowiedziałabyś się...

— Czego?

— Hm, czego? Pomyślnéj dla nas wiadomości.

— Ciekawam, co dla nas pomyślnego teraz być może?

— Ale! Weronisiu... ale! co téż mówisz? nowina jest! ważna... a mianowicie, że o ile mi się zdaje, to z tego małżeństwa z niemeczką nic nie będzie...

— Zkąd wiesz o tém? —zawołała sędzina, zrywając się z krzesła.

— Wiem z listu... żebyś była pozwoliła...

— Pokaż mi ten list.

Sędzia spełnił żądanie. Pochwyciła list syna, przebiegła go szybko oczami i załamała ręce...

— O ja nieszczęśliwa!—krzyknęła.

— Co? co mówisz, Weronisiu?! Żal ci tego... znów chcesz płakać? No, jak mi Bóg miły, teraz ja sam już nie wiem, czego się trzymać? Chciał się żenić z niemką—nie byłaś szczęśliwa; teraz nie chce niemki—jesteś nieszczęśliwa?! Nie pojmuję, doprawdy nie pojmuję, o co ci idzie, moja duszko?

— O co mi idzie?! o jego szczęście tylko...

— Ależ, Weronisiu, duszko moja, jeżeli do tego szczęścia niemka potrzebna, to tylko powiedz... Czy ty myślisz, żem ja już do niczego? że nie potrafię zdobyć się na energię? Powiedz jedno słowo, a pojadę sam niemkę wykradnę i przywiozę ci ją w pudełeczku, opakowaną w watę, żeby się nie stłukła przypadkiem... Tylko niech raz dowiem się, czego właściwie chcesz? gdyż twoich intencyi w żaden sposób wyrozumiéć nie mogę...

— Miałam intencye... sam wiesz jakie, dziś są one już bezpowrotnie stracone.

— Ależ Jaś do nas powróci. Weronisiu, słowo honoru ci daję, że powróci.

— Tak... lecz Marcia?...

— No cóż Marcia? Marcia! przecież i Marcia nie za górami...

— Nie, nie! ta już dla nas stracona na zawsze.

Sędzia wielkie oczy zrobił... chciał o wyjaśnienie prosić, lecz w téj chwili turkot zajeżdżającéj bryczki rozległ się przed domem.

— Wyjdź-no, mężu... ktoś przyjechał— rzekła sędzina—może ksiądz Andrzej?

Sędzia wybiegł na ganek i ujrzał pucołowatą twarz pana Onufrego.

— *Laudetur*, kochany sędziulku!— rzekł gość, — co znaczy: jak się masz przyjacielu...

— Witaj nam, panie Onufry! stęskniliśmy się do ciebie.

— Chcę temu wierzyć, mój sędziulku, a że *volenti nihil difficile*, tedy wierzę. Jakże zdrowie szanownéj małżonki?

— Weronisia, jak zwykle, niedomaga... zresztą zobaczysz ją pan zaraz... Proszę cię, panie Onufry, bądź łaskaw... Otóż i moja żona—rzekł, wprowadzając gościa do salonu.

— Rączki pani dobrodziejki całuję — rzekł pan Onufry z przesadnym ukłonem, — do nóżek się ścielę...

— Rzadki gość—odpowiedziała sędzina, — dlaczego tak zapominasz pan o nas?

— Hm, widzi pani dobrodziejka, póki człowiek był na swojem... to żył sobie jak liber baron, czyli jak bimbasza turecki... a teraz, gdy się jest i dzierżawcą, i rządcą, i generalnym egzekutorem kaprysów mojéj najpiękniejszéj dziedziczki... to niéma czasu... pani dobrodziejko.

— Mówisz pan o kaprysach swéj dziedziczki... czy to się do panny Marty stosuje?

— Jéj kaprysy stosują się do mnie... ot i wczoraj odebrałem z poczty liścik, słodziutki jak cukierek, w którym moja piękna dziedziczka zapowiada mi swój przyjazd... prosi mnie oto, żebym kazał domek trochę odświeżyć... Naturalnie, spełniłem rozkaz natychmiast, zakrzątnąłem się energicznie, i za parę dni będzie gotów. Nie wiem, czy jéj się wszystko podoba, bom się rządził swoim własnym gustem, ale *feci quod potui, faciant meliora potentes*, co znaczy: zfuszerowałem jak mogłem, a ona niech sobie naprawia...

— Kiedyż spodziewa się pan przyjazdu panny Marty?—zapytała sędzina.

— Nie oznaczyła terminu, ale, o ile mi się zdaje, to chyba niezadługo, może za tydzień... dwa...

— A widzisz, Weronisiu!—rzekł z uśmiechem sędzia,—mówiłem ci, że ona się znajdzie, jak mi Bóg miły, tak się znajdzie, Weronisiu!

Sędzina ciężko westchnęła...

XI.

W alejach Ujazdowskich, w Warszawie, było, jak zwykle wieczorem podczas lata, ludno i gwarno. Mnóstwo powozów, dorożek i karykli rozmaitego kształtu toczyło się środkiem, na chodnikach było pełno ludzi; kto tylko miał czas wolny, śpieszył odetchnąć świeżém powietrzem, orzeźwić się, ochłodzić po całodziennym znoju.

W parku Łazienkowskim, w Botanicznym ogrodzie, snuły się gromadki osób, dzieci goniły się po alejach, owdzie na ustronnéj ławce stary emeryt o lepszych czasach rozmyślał, a zachodzące słońce, przedzierając się przez konary drzew, oblewało złotawém światłem zwierciadlane powierzchnie stawów, po których pływały łabędzie.

Wśród tego tłumu, sam jeden, z głową schyloną ku ziemi, szedł młody człowiek, w którym z trudnością poznalibyśmy naszego sędzica z Bajkowszczyzny. Szedł za innymi bezmyślnie, a na twarzy jego znać było zniechęcenie, czy znużenie może. Twarz miał pobladłą, oczy zapadnięte, nie patrzył na nikogo i posuwał się jak automat...

Niedaleko mostu, gdy przez główną aleję przechodził, głośny okrzyk „na bok!“ i tentent kopyt końskich przebudził go z zadumy. Odskoczył i obejrzał się. W powozie siedziała panna Izabella z nieodstępną ciocią, a vis a vis jakiś młody człowiek z dużą, czarną jak krucze pióra, brodą.

Sędzic uchylił kapelusza; panna Izabella skłoniła lekko główką i powóz szybko pomknął daléj... Młody człowiek zwrócił w boczną aleję, a ujrzawszy wolną ławeczkę, pod rozłożystym kasztanem, usiadł na niéj i dumał...

Kto wié, dokąd biegły jego myśli? czy goniły za tym eleganckim powozem, w którym niejednokrotnie przejeżdżał przez cieniste aleje parku, zapatrzony w czarne oczy panny Izabelli, czy téż pobiegły może daleko, do rodzinnéj wioski, do swoich...

Samotnym i opuszczonym czuł się tu, wśród gwarnego rojowiska ludzi; dnie wydawały mu się niesłychanie długiemi, godziny upływały powoli... nieznośnie powoli... Chciałby wyrwać się ztąd, uciec jak najdaléj... Zbierał rozproszone myśli, kombinował, postanowienie jakieś chciał powziąć.

Wtém, gdy rzucił spojrzenie przed siebie, ujrzał, że zbliża się ku ławce ktoś z dawnych jego znajomych... Nie mylił się; był to pan Stanisław z Zielonki, brat panny Marty.

Zobaczywszy go, sędzic zerwał się z ławki.

— Stasiu!... — zawołał — panie Stanisławie! nie poznajesz już dawnych znajomych?

— W istocie—odrzekł Stanisław chłodno jakoś,— zmieniłeś się pan bardzo od czasu, jak przestaliśmy się widywać.

Przez chwilę trwało kłopotliwe dla obydwóch milczenie.

— Stasiu — rzekł sędzic nieśmiało, — powiedz szczerze, czy masz do mnie urazę jaką? Powiedz... gotów ci jestem dać wszelkie zadosyćuczynienie...

— Właściwie nie mam żadnego powodu do urazy... ale odsunąłeś się pan od nas w sposób dość... dziwny, co najmniéj.

— Tak... to prawda... masz słuszność... Bądź więc zdrów, panie Stanisławie; odchodzę.

To mówiąc uchylił kapelusza.

— A nie!—zawołał Stanisław, — tak być nie może... Według mego zdania, niéma powodu, żebyśmy się znać przestali. Ja cię do pewnego stopnia usprawie-

dliwiam... działałeś pod wrażeniem... rozumiem. Zresztą postąpienie twoje nikomu krzywdy nie przyniosło. Jesteśmy dawni koledzy, więc zapomnijmy co było... ja podaję ci rękę zgody...

Sędzic pochwycił dłoń przyjaciela i serdecznie ją uścisnął.

— Poczciwy jesteś, jak zawsze... ale, przepraszam cię, siądę... jeżeli możesz mi poświęcić chwilkę czasu...

— Owszem. Powiedz-że mi, co się z tobą dzieje? co ci jest? Nie wyglądasz mi wcale na szczęśliwego człowieka...

— Szczęśliwego!? — zapytał ze zdumieniem— cóż za ironia!

— Wyglądasz, jakbyś był chory...

— Bo i jestem takim... podwójnie: moralnie i fizycznie... nerwami żyłem przez rok prawie, to nie dziw, że nadszarpnęły się i cierpią...

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć...

— Co tam! opowiadać nie warto... Zwykła historya szaleństwa...

— Mówisz spokojnie... więc chyba wyleczyłeś się z niego?...

— Zapewne, czuję w sobie reakcyę, jeżeli tak nazwać można niesmak i zniechęcenie do życia... ale to później, później... teraz chciałbym przedewszystkiem wiedzieć, co u nas słychać, na wsi? Czy dawno przyjechałeś ztamtąd?

— Blizko od roku stale już tutaj przemieszkuję.

— A Zielonka?

— Puściliśmy ją w dzierżawę. Siostra moja zamieszkała u pani Sielskiéj, ja dostałem posadę i pracuję. Blizko ośm godzin na dzień mam do czynienia z cyframi, a z resztą czasu robię, co mi się tylko podoba.

— Zawsze o życiu miejskiém marzyłeś...

— Tak; tu jestem w swoim żywiole. Pracuję, zarabiam na utrzymanie; mam te rozrywki, które lubię, i prawdę powiedziawszy, więcéj nie żądam. W Zielonce byłem jak piąte koło u wozu... Ale ja dobry sobie jestem... mówię tylko o sobie, zamiast o tych, którzy cię najbardziéj obchodzą. Rodzice twoi zdrowi są; mamy ztamtąd relacye, gdyż Marcia koresponduje z twoją matką, i dzierżawca nasz, znany ci zapewne, pan Onufry, także często listy do nas pisze, przysłowiami je przeplatając do niemożliwości.

— A twoja siostra?—spytał nieśmiało sędzic.

— Marcia? Tęskni trochę do wsi, ale zaaklimatyzowała się tutaj. Prawdopodobnie jest tu w ogrodzie w towarzystwie pani Sielskiéj... jeżeli chcesz, odszukamy je z łatwością.

— O nie! nie! innym razem; mój Stasiu... nie śmiem cię prosić... gdybyś jednak mógł mi wyświadczyć jedną łaskę, byłbym ci bardzo wdzięczny...

— Owszem, służę ci...

— Odwieź mnie do mieszkania, bom chory... ledwie na nogach się trzymam, dreszcze mnie przejmują...

Stanisław podał sędzicowi ramię, na którém ten oparł się i postępował z trudnością.

— Aby tylko do dorożki—rzekł.

— Trzeba o jakim ratunku pomyśléć, gdyż cierpisz, jak widzę, bardzo.

— To nic, od kilku dni, właściwie zaś od kilku tygodni nieswoim się czuję... Nie wiem, co to jest, nerwy chyba... ale myślę, że po jakimś czasie, odpocząwszy trochę, do równowagi powrócę...

Doszedłszy do alei, znaleźli dorożkę i w kwadrans późniéj pan Stanisław wprowadził sędzica do mieszkania w hotelu.

Młody człowiek rzucił się na łóżko i przez czas jakiś z trudnością oddychał... Pan Stanisław patrzył na niego ze współczuciem.

— Mój kochany—rzekł,—tak cię nie mogę zostawić! Postaram się o kogoś, żeby cię dozorował; może pomieszczenie wygodniejsze ci znajdę.

— Nie, nie! Właściwie powiedziawszy, nic mi nie potrzeba, oprócz spokoju i wytchnienienia... To nie ciało choruje, lecz dusza; nie fizyczna dolegliwość siły odbiera, ale zawody i przejścia moralnéj natury. O gdybyś mógł wiedziéć, com przez ten czas przecierpiał, przeżył, przebolał!...

— Nie mów o tém; tego rodzaju wspomnienia mogą ci przykrość sprawić.

— Sam sobie winien jestem... Uśmiechało mi się szczęście ciche, spokojne; nie korzystałem z niego... Olśnił mnie meteor, goniłem za nim, jak za marą złudną... i w téj gonitwie połowę życia straciłem. Ty jéj zapewnie nie znasz, Stasiu...

— Ja? téj niemki? Owszem, znam ją, ale bardzo niewiele co prawda; była u nas w domu raz czy dwa

razy, nie pamiętam już dobrze. Przecież, o ile sobie przypominam, i ty ją u nas poznałeś?

— Niestety!

— Nie rozumiem, co się stało... U nas w okolicy mówiono, że jesteście po słowie, że się z nią żenisz, że ojciec jéj uszczęśliwiony z tego związku, że dostajesz ogromny posag...

— Nie krzywdź mnie. Zgrzeszyłem lekkomyślnością, dałem się unieść szałowi, który mnie ogarnął, leciałem jak ćma w płomień; ale zimnéj rachuby w tém nie było. Wierz mi, jako dawnemu koledze, jako przyjacielowi, otwieram ci serce i wyznaję szczerą, najszczerszą prawdę... Gdyby była zupełnie biedna, tak samo szalałbym za nią, jak szalałem.

— Więc naprawdę tak przywiązałeś się do niéj?

— Czy wątpiliście o tém? Ale czemuż się dziwię? Pozory przeciwko mnie świadczyły. Panna uchodziła za bardzo bogatą i nie bez racyi, gdyż ojciec jéj jest milionerem... Poznałem ją w waszym domu w Zielonce; z początku zajęła mnie jéj oryginalność, bawiłem się dobrze w jéj towarzystwie... Potém zacząłem do niéj tęsknić; wreszcie stałem się codziennym gościem...

— Miałeś przynajmniéj wzajemność z jéj strony?

— Przynajmniéj zapewniała mnie o tém.

— Więc dlaczegóż?...

— Dlaczego stosunek nasz został zerwany? Czy ja wiem? Sam sobie dokładnie sprawy z tego zdać nie mogę. Z początku byłem bardzo, a bardzo kochany. Tak przynajmniéj zapewniała mię ona sama—i w imię przywiązania, w imię uczucia, jakie nas łączyło, żądała

ode mnie, abym opuścił dom rodzicielski i pojechał za nią. Wiedziała ona o tém, że matka moja nie jest dla niéj przychylną, że się na nasz związek nie zgodzi; wiedziała o tém i zażądała, żebym wyrzekł się dla niéj stosunków z najbliższą rodziną. Była to ciężka ofiara... Próbowałem wyjednać zezwolenie matki, lecz odmówiła stanowczo i postawiła kwestyę na ostrzu noża... „Wybieraj, rzekła do mnie, ja albo ona?“ Wybrałem ją... opuściłem dom rodziców, porzuciłem zamiary i projekta, o których marzyłem od lat wielu, i zaślepiony, szalony, pobiegłem za nią... sądząc, że w jéj miłości znajdę nieograniczone szczęście. Ja wyjechałem z domu pierwéj, ona z ojcem przybyła do Warszawy w tydzień późniéj. Zaraz złożyłem im wizytę i oświadczyłem Kintzowi moje zamiary. Przyjął mię z otwartemi rękami, nazwał ukochanym synem, jednėm słowem: wszystko zdawało się układać jak najlepiéj. Jako narzeczony bywałem u Kintzów codziennym gościem... Ale może cię nudzi ta spowiedź chorego, zdenerwowanego człowieka?

— Co za przypuszczenie!! Owszem, słucham cię z natężoną uwagą i doprawdy nie mogę się jeszcze domyślić właściwego powodu twego nieszczęścia. Kochałeś ją, byłeś nawzajem kochany... ojciec, jak sam mówisz, z otwartemi rękami cię przyjął... dlaczegóż więc ten związek do skutku nie przyszedł?

— Alboż ja wiem dlaczego? Bywałem prawie codzień, znosiłem jéj wszelkie kaprysy... wymówki, jeżeli spóźniłem się o parę minut; wybuchy łez, gdym na jaką umówioną zabawę nie przyszedł. Kwiatek, książka, przejażdżka czy spacer, wszystko dawało jéj powód do

niezadowolenia... W najmniejszéj bagatelce, w każdém prawie odezwaniu się mojém znajdowała myśli ukryte, wymawiała mi, że moje uczucie dla niéj stygnie, że nie kocham jéj jak dawniéj. Niewolno mi było na inną kobietę spojrzéć, niewolno powiedziéć, że ta lub owa panna jest przystojna, inteligentna, lub utalentowana... W takim razie wybuchała zaraz burza. Zamykała się w swoim pokoju, nie chciała mnie widziéć, groziła zerwaniem... Terminów ślubu było kilka, żaden jednak do skutku nie przyszedł, a zawsze z jéj przyczyny.. i zawsze z przyczyny drobnéj, bagatelnéj. To brakowało jeszcze jakiego fatałaszka do wyprawy, to znów nie mogła się zgodzić na wybór miejsca, w którém mieliśmy zamieszkać... Jedném słowém, ciągle coś nowego. Ojciec jéj, człowiek bardzo bogaty, kochający ją szalenie, dogadzał wszystkim jéj grymasom i zachciankom. Przez rok blizko patrzyłem na to własnemi oczami, przez rok włóczyłem się za nią po całéj prawie Europie, gdyż namiętnie lubi podróżować. Rozumiesz zapewne, że takie wycieczki nie obyły się bez znacznego kosztu. Do rodziców udać się nie chciałem, musiałem więc zaciągnąć długi, a że usłużnych dobroczyńców ludzkości nie brak, więc w bardzo szybkim czasie zobowiązania moje zaczęły się powiększać. Dręczyło mnie to, gdyż nie byłem przyzwyczajony do życia na kredyt, a témbardziéj na lichwę... te jednak nowe kłopoty, w jakie brnąłem coraz bardziéj, aczkolwiek przykre, były drobnostką w porównaniu z owym ciągłym niepokojem, wymówkami i scenami zazdrości, które znosiłem codzień prawie. Żyłem, powiadam ci, w nieustanném

rozdrażnieniu... Nieraz, gdym znalazł się samotny w mojem mieszkaniu, zastanawiałem się nad tém, dokąd ja idę? jaka przyszłość mnie czeka... jakie będzie pożycie z kobietą takiego temperamentu? miałem ochotę powiedzieć sobie: dość już szaleństwa! i odesłać jéj pierścionek...

— Dlaczegożeś tego nie uczynił?

— Dlaczego? bom ją kochał, mój Stasiu... bo i dziś jeszcze, pomimo rozczarowania i goryczy, pomimo, że już wszystko między nami stanowczo i na zawsze zerwane, nie mogę o niéj mówić obojętnie i spokojnie...

— A jednak, w rezultacie przyszło do tego, żeś z nią zerwał?

— Nie; to nie ja... ona sama zerwała. Gdyśmy byli w Wiedniu, zkąd ja przed miesiącem wróciłem, a oni przed tygodniem zaledwie... zauważyłem znaczną zmianę w usposobieniu méj narzeczonéj. Była o wiele spokojniejsza, nie robiła mi zwykłych scen... Uszczęśliwiony byłem z téj zmiany, ale powodu jéj nie umiałem odgadnąć...

Zamyślił się przez chwilę, jak gdyby wspomnienia chciał zebrać i rzekł:

— Przekonałem się, że byłem bardzo niedomyślny... W pewném towarzystwie poznała jakiegoś muzyka, ex-artystę, ex-nauczyciela śpiewu, czy coś w tym rodzaju... Akompaniowała mu do śpiewu i zachwyconą była jego znajomością muzyki. Jegomość ów, widocznie południowego pochodzenia, włoch czy hiszpan, a według innych wersyi podobno żyd... odznaczał się oryginalną bardzo powierzchownością. Prócz tego, miał

zawsze wiele do powiedzenia, dowcip na zawołanie, niewyczerpany był w pomysłach co do urządzenia rozmaitych zabaw i rozrywek. Złożył Kintzom wizytę i przychodził coraz częściéj. Z każdym dniem moja panna była dla mnie bardziéj uprzedzającą i grzeczną, ale i chłodniejszą zarazem. Od czasu, gdy poznała owego jegomości, nie robiła mi już żadnych wymówek i starannie unikała rozmowy o naszych zamiarach na przyszłość. Zapewne teraz domyślasz się reszty...

— Rzecz jasna: artysta zajął twoje miejsce.

— Tak... Pewnego dnia, gdym zapytał o termin ślubu, odpowiedziała mi, że lepiéj będzie zapomniéć dziecinnych uniesień, że charaktery nasze nie są dobrane... Mówiła to z pewną nieśmiałością, z drżeniem w głosie...

— A ty?

— Ukłoniłem się etykietalnie, życzyłem szczęścia i wyszedłem. W kilka godzin później odesłałem jéj pierścionek i oto, jak widzisz, jest ostatnia kartka mojego romansu.

— Cóż teraz zamierzasz robić?

— Jeszcze nie wiem. Waham się, tymczasem zaś obliczam skutki szału. Niewesoły bilans... Matka rozżalona na mnie śmiertelnie; rok czasu stracony... długi, których przedtém nie znałem, a w duszy zwątpienie, zniechęcenie... Ach, to ostatnie podobno najgorsze!... Ciężko żyć, ciężko, mój Stasiu!...

— Nie poddawaj się smutkom. Faktu spełnionego cofnąć nie sposób... a zresztą, zastanowiwszy się bliżéj nad tém, co się stało, to kto wié, czy nie lepiéj

dla ciebie, że owo małżeństwo nie przyszło do skutku. Teraz przedewszystkiém powinieneś obmyślić sobie jakieś zajęcie, pracę, którąby wszystkie siły twéj inteligencyi pochłaniała. Miałeś zamiar zakładać fabrykę w swym majątku, dać ludziom zatrudnienie, ożywić okolicę...

— Prawda, lecz po tém, co zaszło między mną a matką... wolałbym pracować u kogo obcego; może téż jaki obowiązek znajdę...

— Co za dzieciń都stwo! Czyż sądzisz, że rodzice nie przyjmą cię z otwartemi rękami? że nie będą uszczęśliwieni, gdy powrócisz? Oni cię kochają, jesteś przecież jedyném ich dzieckiem...

Sędzic zamyślił się.

— Może ty masz słuszność — rzekł po chwili... Prawdopodobnie pójdę za twoją radą... ale nie zaraz, nie dziś... Daj mi trochę odetchnąć po tych wszystkich wrażeniach... abym je mógł jak najprędzéj z pamięci wymazać...

— Wymażesz, wierz mi, że wymażesz i śladu po nich nie zostanie, gdy rozpoczniesz budowę fabryki, gdy sam się wszystkiém zajmiesz, w każdy szczegół wejrzéć zechcesz. Przypomnij sobie, że było to niegdyś twojém marzeniem, że projektowałeś założyć dla robotników szkołę, ochronkę, szpital, kasę oszczędności i tym podobne instytucye.

— Gdybym miał ten spokój, co dawniéj, to pragnienie życia...

— Odzyskasz je... tylko mężczyzną bądź. Otrząśnij się, patrz w przyszłość śmiało. Już ja cię nie

opuszczę. Postaramy się wyleczyć i ciało, i duszę. Od jutra zajmiemy się pierwszém. Bądź tylko dobréj myśli i nie poddawaj się smutkom. Teraz odejść już muszę... Co robisz wieczorami? masz co czytać?

— Kupuję codzień gazety.

— Przyniosę ci jutro parę książek, mam ich sporo; teraz bądź zdrów.

— Dokąd ci tak pilno?

— Śpieszę napowrót do Łazienek: siostra tam pewnie jest jeszcze ze swoją opiekunką... a nie wiem, czy Sielski przyjdzie, aby je odprowadzić.

— Któż to jest ten Sielski?—spytał sędzic.

— Zdaje mi się, żeś go spotkał u nas... Jest to nasz dawny znajomy, a od miesiąca narzeczony mojéj siostry. Mam nadzieję, że poznacie się bliżéj. Teraz bądź zdrów; jutro przyjdę do ciebie.

Powiedziawszy to, pan Stanisław wyszedł. Sędzic, zostawszy sam w mieszkaniu, zamyślił się... Chodził długo po pokoju i po długim namyśle — do pisania usiadł.

W kilka dni późniéj sędzina otrzymała bardzo obszerny list od swego jedynaka.

XII.

Pan Onufry od kilku dni był w nieustannym ruchu. To jeździł do miasteczka, to miał jakieś czynności

w Zielonce, tak, że w domu u siebie gościem był prawie.

— Nie miała babka kłopotu — monologował półgłosem—kupiła sobie... miłość. Osobliwszą miłość doprawdy! Bo, że ja tę dziewczynę kocham, to fakt... i że przysposabiam gniazdko, w którém ona kogo innego kochać będzie, to także fakt... *Tarde venientibus ossa*, z łysiną do panny nie przystępuj. I zazdrość mnie bierze, i cieszę się... cieszę się, że ona będzie szczęśliwą. Dziwne serce ludzkie!... Musi ono zawsze coś ukochać... choćby szczęście cudze... *Alea jacta est*, czyli, mówiąc po prostu, psy zająca zjadły... Ród Wrzeszczów, a raczéj ta linia, z któréj ja się wywodzę, na mnie się skończy. Szkoda, ale cóż począć? Ja chciałem się żenić, panna wszakże nie miała téj intencyi— i o takie głupstwo cały interes się rozbił. Na moim grobie strzaskają tarczę... a niech tam!! Może to i lepiéj, że zginie niezaplamiona i czysta... Niech strzaskają! Mógłbym się wprawdzie ożenić, gdyż *ex re* legatu ś. p. Biedulskiéj szczerzą do mnie ząbki różne panny i wdówki, lecz ani myślę... Panna Marta nie chciała mnie, ja nie chcę tamtych... niech mają piękne za nadobne, niech sieją rutkę, niech sieją!!

Perorując tak do siebie, zajechał pan Onufry do Komorna przed kościoł.

Spasły kasztan dyszał ciężko pod ciężarem swego właściciela i gryzł niecierpliwie wędzidło.

Od dzwonnicy, utykając na jedną nogę, nadbiegł Szymon.

— Jak się masz, dziadzie?—rzekł pan Onufry, zsiadając z konia.

— Bóg zapłać wielmożnemu panu! kuśtykam jak mogący, pana Boga chwaląc... Ksiądz kanonik już mało oczu nie wypatrzy, tak wielmożnego pana wygląda; chciał mnie dziś nawet do Wólki z listem posyłać!

— Oho! a cóż tak nagłego się stało?

— Nie wiem nic, wielmożny panie; nie moja głowa na to, żeby pańskie interesa przeniknąć.

Pan Onufry spojrzał na dziada z ukosa i rzekł:

— Filut jesteś, mój Szymonie! ktoby cię nie znał, to by cię kupił. Weźże mego człapaka i schowaj go dobrze przed muchami, na tabaczkę dostaniesz...

Szymon konia wziął, a pan Onufry wszedł do plebanii.

— A dobrze, że cię widzę, mój panie Onufry!—zawołał ksiądz Andrzej.—Bóg cię tu chyba zesłał.

— Cóż się stało? co za gwałt?

— Ano nic tak wielkiego, ale kłopot... do Warszawy musimy jechać.

— My?! *cui bono?* czyli: co nam po tym ambarasie?

— Widzę, żeś jeszcze listu od swéj dziedziczki nie otrzymał...

— Miałem ich w przeciągu dwóch tygodni chyba z pięć, bo moja pani dziedziczka, jak się przekonałem, bardzo lubi listy pisywać...

— Tedy spodziewaj się jegomość dzisiaj lub jutro szóstego; gdyż z listu, który ja otrzymałem, widzę, że i ciebie, panie Onufry, gorąco zaprasza. Wybierzemy się tedy razem... będzie nam weseléj.

— Ale jeszcze raz pytam: na co my tam potrzebni?

— Jakto na co? Ja mam dać pannie Marcie ślub, a jegomość będziesz na weselu gościem. Tak serdecznie prosi, że się niepodobna wymówić...

Pan Onufry zrobił kwaśną minę...

— Uważam, że cię to nie zachwyca... — rzekł ksiądz.

— To jest właściwie... cóż mi tam! Owszem... życzę jéj szczęścia, więcéj niż samemu sobie. Sielskiego szanuję, bo jest porządny człowiek i wart Marci... błogosławię ich z całego serca... ale asystować przy weselu, to... to jakoś dziwnie, dalibóg, bardzo dziwnie... jakby to powiedziéć... *Sic vos non vobis*, jak mówi poeta, co znaczy...

— Wiem, co to znaczy, wiem. Oj dziadzie, dziadzie! przepraszam, że cię tak nazywam poprostu, ale pleciesz od rzeczy. Prądu strumienia nie zawrócisz, czasu nie cofniesz... a że lubisz przysłowiami mówić, więc przypomnij sobie że: *nie rychło, Marychno, po śmierci wędrować*... i, że: co z woza spadło, to przepadło.

— Mała mi z tego pociecha, księże Andrzeju kochany. Że masz racyę, to wiem; ale, że mi na sercu głupio, to także wiem, i to bardzo dobrze wiem... Zważywszy jednak, że „gdy dwóch mówi, żeś pijany, to idź spać,“ a waszą głowę, księże Andrzeju, liczę za dwie głowy, zgadzam się... niech co chce będzie—jadę!

— Bardzo ślicznie! postąpisz jegomość właśnie, jako na męża roztropnego przystało.

— Ma się rozumiéć, że postąpię, choć mi to nie przyjdzie łatwo...

— Et, co tam! będziesz jeszcze na weselu tańczył, jak młodzianiaszek jaki...

— Hm, jak wypadnie, to będę nawet i tańczył... bo kto włazi między wrony, niechże kracze... jak powiada przysłowie; będę więc bił hołubce, choć w sercu gorzko, jak w pieprzniczce.

— Śmiéj się z tego, panie Onufy! taka gorycz przemija, a szczęście tych, których kochamy, jest największém szczęściem dla nas starych... nie prawdaż?

— No tak, niby to... mój księże.

— Zresztą wesoło nam będzie w Warszawie, gdyż wszystkich znajomych tam znajdziemy. Sędziowstwo pojechali wczoraj.

— Oboje?

— Tak, tak: pojechali zabrać swego jedynaka, który, słyszę, rozchorował się na piękne i leży.

— No patrzajże, dobrodzieju, tak mu więc owe niemieckie amory na złe wyszły?

— O amorach niéma mowy; nic już z nich nie będzie.

— Zawsze mówiłem, że się psu na budę nie zdało. Zauważyłem odrazu, że ma oczy świderkowate, a w ruchach coś przypominającego wiewiórkę, a trochę łasiczkę... Trzy grosze nie dałbym za to, że w niéj siedzi dyabeł... *incarnatus*, co znaczy: dyabeł wędrowny niemiecki... Było rzeczą do przewidzenia, że taki, panie dobrodzieju, Bismark w spodnicy będzie trzymał chłopaka przez jakiś czas w szachu, a potém powie mu *zu wiederkuken*, co znaczy: idź waść gdzie pieprz rośnie! Źle jéj z oczu patrzyło, źle... i nie mogę się sędzicowi

wydziwić, że się dał w te sidełka złapać. Prawdziwie to jednak mówił jakiś uczony, bodaj czy nie rabin z Kocka, że trudno jest zrobić rzecz mądrą, ale głupstwo łatwiéj, niż orzech zgryźć... *quod erat demonstrandum*, co znaczy: że sędzic tego sam na sobie doświadczył.

— Mów co chcesz, panie Onufry, ale mi go żal; miał szczęście w ręku i ominęło go...

— No, jeżeli ta szwabka miała być szczęściem, to niech będę obwieszony na wierzbie za lewe ucho! Także mi osobliwsza rozkosz być mężem i służką takiéj dyabliczki.

— Nie o niéj mówię; mówię o pannie Marcie, mój jegomość; z tą byłby szczęśliwy.

— Ha, któż mu winien? nie chcieli żydzi manny, niechże jedzą... śledzie. Dawałem mu to swego czasu do zrozumienia, ale nie chciał słuchać. Udawał głuchego, podczas gdy faktycznie był ślepym... Ja na jego miejscu wiedziałbym lepiéj, co robić... Bądź-co-bądź, szkoda chłopca. Więc mówisz ksiądz dobrodziéj, że sędzia z sędziną, czyli, jaśniéj mówiąc, sędzina z sędzią, pojechali do niego?

— Tak, pojechali wczoraj.

— To zapewne będą na weselu?

— Właśnie że nie. Sędzina ciężko jest zmartwiona chorobą syna i tém, że panna Marta stracona już dla niéj bezpowrotnie.

— Zapewne, tak ją kochała.

W kilka dni późniéj, wielka, wygodna bryka pana Onufrego toczyła się do najbliższéj stacyi drogi żela-

znéj. Pan Onufry, ubrany w biały kitel płócienny, który go od kurzu miał chronić, w kapeluszu z ogromnemi skrzydłami, palił fajeczkę i rozglądał się po polach...

— Wiesz co, księże Andrzeju—rzekł do swego towarzysza podróży, — powiadają niemcy, że *ubi bene ibi patria*, co znaczy: gdzie grosz, tam dobrze... ale i to fałsz wierutny.

— W jakim to sensie jegomość rozumiesz?

— Ano... spojrzyj-że dokoła... czy może być gdzie lepiéj i piękniéj na świecie, niż tu, gdzieśmy się urodzili, gdzie przepędzamy życie i gdzie wreszcie, po najdłuższych latach, Szymon nas w ziemię zakopie... Gdzie piękniejsze siano, gdzie lepsza pszenica, gdzie taki wąsaty jęczmień... gdzie? pytam, czy może być gdzie? Powiesz ksiądz zapewne, boś dużo świata zwiedził, że są różne kraje, wspaniałe, podziw budzące... prawda... ale czy się do nich tak można przywiązać? Ja oto, gdy się puściłem w dalszą podróż, żeby ową sumkę po nieboszczce Biedulskiéj odebrać, tom tak tęsknił za moją Wólką, że opowiedziéć nie umiem...

— Poeta jesteś, jak widzę, mój panie Onufry.

— Eh, nie... tak sobie... zwyczajny tylko szlachcic.

— No, no, nie zapieraj się, bo nie masz czego, mój panie Onufry. Czyż to śmieszne, że ktoś ukochał tak bardzo swoje zagony ojczyste?

— *Rura paterna!* tak *rura paterna*—mówił z rozrzewnieniem pan Onufry...—*paterna*, księże proboszczu, co się tłumaczy na polskie: szachownica z serwitutem! Są, są kłopoty, prawda, ale czy z szachownicą, czy bez

niéj, z serwitutem, czy bez serwitutu, człowiek się tu czuje swoim... jest w domu. A! co to mówić, mój księże! czy i dobrodziéj nie przywiązałeś się do swéj nizkiéj plebanii, do kościołka, do tych ludzi, którzy tłumnie się garną, skoro stary Szymon w dzwony uderzy. Kochasz ty to wszystko, choć zimnego udajesz! Kochasz, boś krwią z krwi, kością z kości naszéj... więc i ty jesteś, jako rzekłeś na mnie, poeta. Takimi już pono będziemy *usque ad finem*, co znaczy: dopóki nam oczu nie zamkną...

XI.

Spokojnie płyną wody rzeki, wietrzyk szumi w dąbrowach i gajach, młyn turkoce, a na polach uwijają się gromadki ludzi. Ciężkie woły ciągną pługi, odwalają czarne skiby, chłop rzuca pełną garścią zboże w łono ziemi, spodziewając się obfitego plonu.

Skowronek, jak szary punkcik zawieszony w przestrzeni, wyśpiewuje swą piosnkę, pszczoły z brzękiem unoszą się w powietrzu, poważny bocian po bagniskach brodzi; a nad tém wszystkiém unosi się słońce wiosenne i całą ziemię ciepłem swoich promieni ogrzewa.

Ludzie krzątają się, jak dawniéj, pracują, ale i zmiana jest pewna.

W Bajkowszczyznie, za folwarkiem, za wioską, wznosi się budynek z czerwonéj cegły, a nad nim wyso-

ki, niby wieża, komin nad całą okolicą panuje. O pewnych porach dnia przeraźliwy świst maszyny parowej zwołuje robotników do pracy, lub im téż godzinę spoczynku obwieszcza.

Obok fabryki wznoszą się domki niewielkie, czyściutkie, z ogródkami... jeden od drugiego w dość znaczném stosunkowo oddaleniu. Nie ciasno tu jeszcze, miejsca dla wszystkich wystarcza, więc każdemu przestronno, każdy pełną piersią oddychać może czystém, balsamiczném powietrzem, które wiatr z pól i lasów sąsiednich przynosi.

Z tych małych, dokoła fabryki rozrzuconych, domków, utworzyła się niewielka osada; szkoła w niéj jest, ochronka dla dzieci i sklep, do którego się ludzie z sąsiednich wiosek zjeżdżają.

Sędzic, właściciel téj fabryki i jéj kierownik zarazem, całe dnie tu przepędza. Ojciec jego gospodarstwo prowadził; on zaś wyłącznie przemysłowi się oddał i widocznie w pracy zapomnienia smutków i przejść bolesnych szukał. Nie bywał nigdzie, niezawsze się pokazywał, gdy do rodziców goście przyjechali, a ciągle fabryką, rachunkami, korespondencyą zajęty, nie spostrzegał nawet, jak czas szybko uchodzi.

Z jednym tylko księdzem Andrzejem konferencye dość częste odbywał i od niego wskazówki zasięgał, jak byt robotników zabezpieczyć, a dzieciom ich dać możność kształcenia się i moralnego wychowania. Ksiądz biegłym był w tych rzeczach. Za czasów tułaczki swéj po obcyźnie dużo świata zwiedził, urządzeniom tamtejszym bacznie się przyglądał, a odrzuciwszy

z nich wszystko, co złe, pragnął co najlepsze na tutejszy grunt przeszczepić. Teraz właśnie sposobność po temu znalazł, a tak się gorąco wziął do rzeczy, tak się wszystkiém zajmował, że odmłodniał prawie, energii młodzieńczéj nabrał.

Sędzina patrzyła na pracę swego jedynaka i pocieszała się myślą, że przecież kiedyś o przejściach swoich zapomni, o własnem ognisku pomyśli—i stworzy sobie szczęście, które i jéj szczęściem téż będzie.

Myślała tak, chociaż nie mogła zapomnieć, że Marcia jest już dla niéj na zawsze straconą, że nigdy jéj matką swoją nie nazwie.

Ilekroć sędzina spojrzała w stronę Zielonki, zawsze łzy stawały jéj w oczach, zawsze tęskniła do téj dzieweczki zacnéj, szlachetnéj, w któréj pięknéj duszy widziała skarby prawdziwe.

Była to wszakże bezpowrotna już strata.

Panna Marta wyszła za mąż i w małżeństwie była, jak się zdawało, szczęśliwa. Być może, że zwycięztwo w walce z pierwszém uczuciem nie przyszło jéj z łatwością; być może, że opłakała gorzko zawód pierwszéj miłości, lecz dziś śladów téj walki już nie znać.

Jest spokojna, oddana swemu zatrudnieniu, przywiązana do męża i szanująca go.

On porzucił poprzednie swe zajęcie i teraz do gospodarstwa się bierze. Miał do tego zamiłowanie od dzieciństwa, lecz los rzucił go wcześnie na twardy bruk miejski, oderwał od pól i łąk szerokich. Dziś z zapałem i energią do nowego zawodu się bierze. Inteligentny, wykształcony, teoretyczne wiadomości czerpie

z książek; mentorem zaś jego i kierownikiem na drodze praktycznéj jest pan Onufry, zawołany gospodarz, roznamiętniony do swego zawodu.

Jego rady są doskonałą szkołą.

I teraz, raniutko, obadwaj, mistrz i uczeń, konno wyjechali w pole.

Pan Onufry na swoim spasłym człapaku siedzi jak na fotelu, fajeczkę ulubioną paląc; Sielski, jeszcze z siodłem nie dość obyty, nie może się jakoś uporać ze strzemionami, które mu uciekają ciągle.

Stary szlachcic brwi marszczy i mówi:

— Mój panie młody, jesteś *eques latinus*, czyli z przeproszeniem twego honoru: siedzisz na koniu, jak pies na płocie; a przecież nie święci garnki lepią. Weźże-no nogi w tył nieco, nie zginaj ich tak szkaradnie w kolanach, boć nie na kozackiéj kulbace siedzisz. No tak! ramiona do siebie, łokcie do boków. Nie będzie ci przez jakiś czas dogodnie, ale za to późniéj przyzwyczaisz się i będziesz siedział mocno, jak mur! Nie trzymaj szpicruty w ten sposób, jak gdybyś chciał muchy oganiać. Ostro, uszy do góry!

— Staram się przecież, jak mogę—odpowiedział Sielski,—i dla miłości wujaszka (bo wujaszkiem w Zielonce pana Onufrego nazywano) gotów jestem ścigać się, skakać przez rowy i płoty...

— I rozbić sobie nos! Pięknie bym wyglądał, gdybym cię dostawił do młodéj żonki w takim stanie! Zaniechaj tedy wyścigów i pomnij na słowa mędrca, który powiada: *festina lente*, co znaczy: umiéj, gdy potrzeba, być żółwiem! a Ezopus powiada: że żółw wście-

kłego zająca prześcignął. I we wszystkiém tak jest, mój kochany, że co nagle, to po dyable, a co się odwlecze, to nie uciecze... chociaż *nulla regula sine exceptione*, co znaczy: że mi Zozula uciekła, o czém tobie, mój panie, wiedzieć jednak niemożna, bobyś sobie dziwaczne suppozycye mógł robić i jakiejś, czego Boże broń, żółciowéj słabości się nabawić...

Sielski rozśmiał się.

— No, no, cóż znowu! nie przerażaj mnie, wujaszku; czy mi jakie niebezpieczeństwo grozi?

— Kto wie? kto wie? mój panie! ale mówmy lepiéj *de quibusdam aliis*, co znaczy: o owsie. Przewróciła ci w głowie jakaś tam książka i wygadywałeś wczoraj herezye o płodozmianie. Wielkie to szczęście, że twój karbowy, Maciéj, przy tém nie był, bo od téj daty miałby cię za ba i bardzo... a to źle... Przy téj sposobności upraszam cię również, abyś się przed chłopami ze swoją znajomością gospodarstwa nie wygadał. Radzę ci to we własnym twoim interesie, miewasz albowiem takie pomysły, że mógłby cię kto z nich okraść...

— Żartuj sobie wujaszek zdrów...

— Nie są to żadne *jocosa*, mój młody przyjacielu; z czasem nauczysz się gospodarować i będziesz *discipulus supra magistrum*, co znaczy: organistę śpiewać nauczysz.

— Jakbyś wiedział, mój wujaszku, że tak będzie, gdyż według mego zdania, jeżeli ktoś z silną wiarą i gotowością do pracy bierze się do obranego zawodu, ten, prędzéj czy późniéj, cel zamierzony osiągnie.

— Masz słuszność, nie święci albowiem garnki lepią. Idzie jedynie o to, czy, biorąc się do gospodarstwa, ustąpiłeś tylko chęci żony, czyli też miałeś jakowąś specyalną do tego fachu inklinacyę?

— Ależ daję ci słowo, wujaszku, że zawsze od najmłodszych lat coś mnie do wsi ciągnęło; musiałem jednak stłumić w sobie zachcianki, bo, jak wiadomo, życie to tyran, który oppozycyi nie znosi. Człowiek radby tak lub owak, tymczasem konieczność stawia swoje *veto* i trzeba wszelkie marzenia i złudzenia wyrzucić za drzwi, daleko...

— Tąk, tak, słusznie powiadasz; *homo proponit, Deus disponit*, co znaczy: chciałbyś jagódki, a świat daje ci z przeproszeniem... rzepę.

— Ale teraz, skoro okoliczności złożyły się inaczéj, gdy nastręczyła się po temu sposobność, z całym zapałem biorę się do pracy. Jestem bardzo szczęśliwy, że się tak stało, że Staś objął moją posadę. On dążył zawsze do miasta i znalazł to, czego pragnął; mojém marzeniem była wieś, i marzenie to zostało spełnioném.

— Wiesz co, mój młody przyjacielu i uczniu, gdyby nie to, że wiem, zkąd ród swój wywodzisz i czém się pieczętujesz, to gotówbym przysiądz, że pochodzisz z wybranego ludu.

— Jakto wujaszek rozumie?

— Ha no, bardzo prosto: rozumiałbym, że pochodzisz z żydów.

— Dlaczego?

— Bo nawet marzenia spełniają ci się z lichwiarskim procentem. Myślałeś zawsze o wsi, no—i dosta-

łeś wieś z Marcią. Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, to sto wsi oddałbym za nią jedną... Ale próżne to rzeczy! Słusznie powiada mędrzec: *tarde venientibus ossa*, co się tłumaczy na polskie: że opieszałemu wszystko sprzątają z przed nosa...

— Mój wujaszku dobrodzieju, dajże już temu pokój! i tak dobrocią swoją zobowiązałeś moją żonę, że się prawie obejść bez ciebie nie może. Jak jeden dzień cię niéma, zasypuje mnie wciąż pytaniami:—a gdzie pan Onufry? a gdzie wujaszek? czemu nie przyjechał? Czy broń Boże nie chory? Przygnębiony takiém brzemieniem pytań, zastanawiam się nieraz, gdzie ich źródło, gdzie przyczyna?

— Żebym był młodszy, to inaczéj byś ty śpiewał, mój panie. Widziałbyś ty Marcię, jak swoje ucho!

Pan Onufry był prawie codziennym gościem w domu Sielskich: jemu w gospodarstwie pomagał i pierwszemi krokami jego na tém polu kierował, z Marcią długie dysputy o obowiązkach ziemianki prowadził, słowem: niezbędnym prawie stał się w tym domu. A oprócz tego, wcale niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że i Wólkę swoją, i owe trochę grosza, które po ciotce Biedulskiéj tak niespodziewanie odziedziczył, Marci lub téż jéj dzieciom zapisze.

— A cóż?—odzywał się nieraz,—jestem sam, sam jeden, jak soliter w pierścieniu; krewnych blizkich nie mam, dalekich nie znam; zostawię więc fortunę takiéj, która przynajmniéj czasem za moją duszę westchnie i poczciwą o mnie pamięć zachowa...

Tłumaczono mu, żeby o takich smutnych rzeczach nie myślał, bo ani jego wiek nie jest tak późny, ani stan zdrowia obaw nie budzi — lecz on machał na to ręką i mówił:

— Całe życie moje byłem *audax et intrepidus*, co znaczy: żem się ani komornika, ani całego kahału żydów nie lękał; przeto możecie być pewni, że mnie i Szymon z łopatą nie zastraszy. Umrzéć, to umrzéć; a że żyło się nie po psiemu, to trzeba téż i skończyć po ludzku, skończyć tak, żeby przynajmniéj dobre wspomnienie po sobie zostawić.

W taki sposób częstokroć odzywał się pan Onufry, a nawet podobno do regenta jeździł i formalny testament sporządził.

Sędziostwo bywali czasami w Zielonce, i rozbite chwilowo gronko sąsiedzkie znowu skupiać się bardziéj zaczęło. Jeden tylko sędzic na uboczu się trzymał i poza obrębem fabryki rzadko się pokazywał.

Stary Szymon, jak dawniéj, tak i teraz, dzwonił na Anioł Pański, groby ludziom kopał i w kościele porządki czynił, a całém jego zmartwieniem była myśl o śmierci. Nie straszyła go wprawdzie śmierć sama, jako śmierć, lecz jéj następstwo, a mianowicie pytanie: „jak będzie wyglądał dom Boży przez swego sługi Szymona?“

Nasz znajomy Boruch dorabia się fortuny. Nie lubi tylko wspominać o przygodzie swojéj na grobli i o tym paskudniku, co w staréj wierzbie mieszkał.

. . . .

W Zielonce całe towarzystwo z okolicy zebrało się na herbatę i gawędkę. Brakowało tylko pana Onufrego, który od kilku tygodni za interesami w Warszawie bawił. W tych dniach miał właśnie powrócić, i Sielski, zaniepokojony, że jeszcze go nie widać, posłał chłopca do Wólki z zapytaniem.

Zanim chłopak zdążył powrócić, już pan Onufry stawił się we własnéj osobie, a powitawszy towarzystwo, zaraz zasypany został gradem pytań: co się dzieje w wielkim świecie? co słychać?

— Pozwólcież państwo, — zawołał—niech cokolwiek odpocznę i pokrzepię czemkolwiek nadwątlone siły. Potém muszę zebrać myśli i wspomnienia, żeby módz opowiadać porządnie, jak na człowieka statecznego przystoi...

Przeciwko takiemu argumentowi naturalnie nikt nie opponował, i pan Onufry zabrał się z całą powagą do pokrzepienia sił nadwątlonych, a raczéj do zaspokojenia olbrzymiego apetytu...

Gdy ważną tę czynność już skończył, rzekł:

— No, moi państwo, jestem na wasze usługi i relacyę zdam węzłowatą a krótką. *In primis* zaznaczam, że *de publicis* z jednéj strony pustki—a z drugiéj bieda aż piszczy, o czém zresztą niéma się co rozwodzić, bo to samo nawet już wróble na dachu śpiewają... Zostawimy więc tę materyę na boku, a natomiast przejdziemy do czego innego. Spotkałem, wyobraźcie sobie, dawnego znajomego i sąsiada...

— Kogo? kogo?—zapytano.

— Szedłem przez Saski ogród, powracając z Banku; gorąco było szkaradne, więc chciałem sobie upatrzyć ławeczkę, żeby usiąść i trochę odetchnąć. Rzuciłem okiem tu i tam, ale wszędzie pełno wystrojonych dam i dzieci. Po długiém rozglądaniu się—dostrzegam, że na ławeczce oddalonéj siedzi jakiś człowieczyna stary, przygarbiony — ot dziadowina. Sądziłem, że to jakiś emeryt, myślę sobie więc siąść koło niego, i wszcząć gawędkę. Jakoż zbliżam się—i spostrzegam, że ten dziadowina, to znajomy, ex-sąsiad!

— Któż taki?

— Ano — ów pan Kintz, niemiec, który mieszkał w Bogatem.

— Kintz!?

— Tak jest... tak. On sam we własnéj osobie; ale taki jakiś pobladły, taki zmizerowany, żeby go, jak przypuszczam, nawet rodzona matka nie poznała...

— Cóż mu się stało?

— Ano... czekajcież, opowiem. Zbliżyłem się do niego, przywitałem... o mało się nie rozpłakał. Mówił, że mu tak było w naszéj okolicy dobrze, spokojnie... że nie może odżałować tego, iż nasze strony porzucił. Był to, co prawda, żal *post festum*, co znaczy: musztarda po obiedzie; ale zawsze żal. Nie wyjawiał wprawdzie, co mu dolega, odzywał się półsłówkami i półgębkiem; ale ze słów jego przebijała gorycz. W gruncie rzeczy, co mnie tam ostatecznie mógł obchodzić ten niemiec i jego zmartwienia?! ale natura szlachecka taka już jest, że z płaczącymi musi płakać, choćby to nawet był krokodyl, bo każdy smutek budzi współczucie. Przysia-

15

dłem się tedy do szwaba, zacząłem go badać, zachodzić okolicznie ztąd i zowąd — aż nareszcie zaprosiłem na lampeczkę...

— To twoja metoda, panie Onufry, — odezwał się sędzia.

— Jakbyś sąsiad wiedział, że metoda, której sam przecież próbowałeś nieraz... metoda wcale dobra! poczciwa... *notandum*, jeżeli wino nie kwaśne. Kintz zna Warszawę na wylot, więc zaprowadził w zacne miejsce na Stare Miasto, do kamienicy, w której sieni wisi u sklepienia okręt, bardzo foremny, a w izbie są pod ścianami ławy staroświeckie, starsze od nas wszystkich...

— Znam ja te ławy, znam! — rzekł sędzia.

— Nie wątpię o tém... któż ich nie zna? Otóż tam, do owego *asylum*, czyli, jaśniéj mówiąc, handelku, poszliśmy z Kintzem. Miałem trochę czasu... więc gadu gadu, a buteleczka na stół. Otóż, że wino, dobre zwłaszcza, ma moc rozwiązywania języków, więc się niemczyk wygadał: że duże straty poniósł, że go zmartwienia trapią, że mu życie obrzydło. Wzdychałem wraz z nim, i nie kłamię, że nie jedna łza wpadła w moją lampkę.

— Ale cóż za powód zmartwień pana Kintza?— zapytała sędzina, — chyba zbankrutował, albo mu się jaki interes nie powiódł? O ile wiem, zajmował się różnemi finansowemi sprawami.

— Pani dobrodziejko — odrzekł pan Onufry, — on nie zbankrutował; lecz okradziono go szpetnie. Wszystką gotówkę zabrano mu z domu.

— Kto?

— Był taki przyjaciel; ale nad straty pieniężne większe miał zmartwienie z powodu córki...

— Przecież podobno za mąż wyszła? — odezwała się Marcia.

— Właśnie w tém sęk. Pani dobrodziejce zdaje się, że każda panna, za mąż wyszedłszy, osiada w Zielonce, bawi się w gospodarstwo i siedzi jak u Pana Boga za piecem... Nie. Mogę nawet zapewnić panią, że w większéj liczbie wypadków dzieje się grubo inaczej, o czém dużoby mógł powiedzieć ksiądz Andrzej, jako w sprawach rozwodowych biegły.

— Ależ, mój panie Onufry, odchodzisz od przedmiotu.

— Jeżeli mąż panny Kintzówny jest przedmiotem... to do niego powracam. Był to, jak mi stary Kintz opowiadał, człowiek osobliwie gładki, wszystkiemi językami mówił i trudnił się śpiewaniem w teatrze, co ma być bardzo zyskownym procederem, chociaż jestem pewny, że tutejsi żydzi na taką śpiewającą hypotekę nie daliby grosza... Otóż jegomość ów rozamorował pannę i ożenił się z nią. Papa podobno protestował, ale córeczka rzekła: *Sic volo*, *sic jubeo*, co znaczy: Święty Boże nie pomoże, i stary musiał się zgodzić. Właściwego pochodzenia swego zięcia Kintz dojść nie mógł; ale pogodził się z losem, tém bardziéj, że zdawało się, iż córunia jest bardzo szczęśliwa. I istotnie ona grała, a on śpiewał, więc też żyli sobie, jak para słowików... Po niejakim czasie, szczęśliwemu panu młodemu sprzykrzyło się śpiewanie, więc też pewnego pięknego poranku

zniknął gdzieś, nie powiedziawszy nawet „bądźcie zdrowi...“

— Uciekł od żony?!

— A tak, tak. Niewiadomo było zkąd przyszedł, niewiadomo téż gdzie się podział.

— Dopieroż musiała rozpaczać, biedna!

— Przy tém, jak rozpaczała, nie byłem, odniéj saméj téż relacyi nie miałem; ale to wiem dokumentnie, że stary Kintz bardzo rozpaczał. Miły zięciaszek nie odszedł z domu z próżnemi rękami i na pamiątkę zabrał tam coś z kasy...

— Okropność!

— Ile to tam na pieniądze wynosiło, nie wiem; ale miarkuję, że musiało być sporo, gdyż niemiec do téj pory uspokoić się nie może. No — ale stało się już. Pocieszałem szwaba, jak mogłem...

— Córka zapewne teraz jest przy nim?

— Ale gdzież tam!

— Pojechała zguby szukać?

— I to nie. Owszem powiedziała, że nawet nie chce znać swego najczulszego małżonka.

— Więc?

— Ano więc, ponieważ jéj świat obrzydł, życie się sprzykrzyło, a na ludzi patrzéć nie mogła — wstąpiła do teatru i grywa w jakiémś mieście niemieckiém, którego nazwy nie pomnę. Ojciec podobno nie zgadzał się, ale panna Izabela ma silną wolę, więc ojcowskie nauki nie pomogły. Doprawdy żal mi się zrobiło biednego szwaba... Biedny stary Kintz okradziony, osamotniony, sierota. Chciałem go pocieszyć w grani-

cach mojéj możności — to téż, oprócz wszelakich kondolencyi ustnych, dałem jeszcze jedną butelczynę za dukata... Miało to skutek taki, że się biedny niemczysko na dobre rozbeczał, jak małe dziecko, i ledwie go mogłem utulić. Ha! *quod potui feci*, co znaczy: chciałem mu zalać robaka...

Podczas opowiadania pana Onufrego, sędzina była mocno wzruszona. Stanęła jéj w pamięci chwila, gdy tu, w tym samym dworku, syn jéj poznał ową pannę i dla niéj porzucił prawdziwe, ciche szczęście, które się uśmiechało do niego.

Zrozumiał pan Onufry myśl biednéj matki i rzekł półgłosem:

— Pani sędzino dobrodziejko... nie masz złego, któreby w części chociaż na dobre nie wyszło... a znowuż prawdą jest...

— Nie mówmy już o tém — rzekła z westchnieniem...

Gdy się już goście rozjechali do domów, Marcia usiadła przy otwartém oknie i, zamyślona, patrzyła w niebo, gwiazdami usiane. Z pół mroku nocy pogodnéj wychylały się drzewa, szepczące drobnemi listkami. Wietrzyk roznosił aromatyczny zapach kwiatów, woda rzeki, przeciskając się przez szluzę, szumiała... a niedaleko ztamtąd, o milę, przed gmachem fabrycznym stał pan Jan, zapatrzył się w gwiazdy i dumał...

Może utraconego szczęścia żałował.

Z PAMIĘTNIKÓW ROZNOSICIELA.

Nazywam się Józef Kowalkiewicz, urodziłem się w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, ojciec mój był ekonomem w folwarku.

Pamiętam go jak dziś: był to wysoki, przystojny mężczyzna, miał niebieskie oczy i wąsy jasne, jak len, świeżo czesany... Matka moja była ładna kobieta, tak mi się zdaje przynajmniéj, a jak czasem pogłaskała mnie po głowie i spojrzała na mnie dużemi, czarnemi oczami, to takie coś przyjemne, takie słodkie w tych oczach zaświeciło, żem się do niéj tulił i przymilał — i rad byłem całe życie tak przy niéj przesiedziéć...

Działo nam się dobrze, oj! i jak dobrze, opowiedziéć trudno... pamiętam, jak tarzałem się po dziedzińcu z psem kudłatym, kaleczyłem ręce o kolczaste krzaki agrestu, maliny słodkie rwałem.

Żyło się lepiéj, niż król! Czasem ojciec z miasta obwarzanków przywiózł, czasem matka dała chleba z miodem, a drzewa w ogrodzie, aż się gięły od jabłek czerwonych, jak krew.

Oj krew! aż się zimno robi, gdy o niéj wspomnę!

W niedzielę, jeździłem z ojcem i z matką do kościoła, w nowém ubraniu, którego nie wolno było rozedrzéć, ani splamić—matka zakazywała surowo, groziła, że zbije na kwaśne jabłko... ale choć zaplamiłem i podarłem, nie zbiła nigdy... gdzież jéj tam było do bicia!

Mój ojciec, choć niby był ekonomem, ale należał do wojska, bo u niemców jest taki obyczaj, że co człowiek, to żołnierz, a jak go zawołają, to musi wszystko rzucać i iść — tak téż i on biedak... Będzie temu lat kilkanaście, jak dostał kwitek z urzędu, żeby się stawił.

Poszedł biedaczysko.

Ubrali go w mundur z mosiężnemi guzikami... wsadzili skopek na głowę, dali w rękę karabin i w gromadzie innych ludzi popędzili na kolej.

Pojechaliśmy i my, żeby go pożegnać... Matka okropnie płakała, a ja się uczepiłem jéj spódnicy i tak wniebogłosy wrzeszczałem, że aż mnie szwab jakiś za ucho złapał i od wagonu precz odepchnął.

Żołnierze powsiadali, zaświstało, zaturkotało... i pociąg odszedł... My także powlekliśmy się do domu... Pytałem matki, dokąd ojciec pojechał?

— Dokąd? ja sama nie wiem — odpowiedziała, płacząc — dość, że pojechał... francuza bić.

— A za cóż go ojciec ma bić?

— Ot, głupi jesteś! — odpowiedziała z płaczem...

Zamyśliłem się... Do mojéj małéj głowiny napływały różne pytania, rozważałem słowa matki i nie mogłem ich zrozumiéć. Głupi! alboż ja wiem dlaczego? Czym dlatego głupi, że mój ojciec na wojnę poszedł? czy francuz taki głupi, że aż na niego do bicia od nas

ludzi pędzą? Czy nasi ludzie zgłupieli, że się tak daleko bić idą? Nie mogłem sobie tego w mojéj dziecinnéj głowie wymiarkować, ale tom zmiarkował i poznał, że od wyjazdu ojca wszystko u nas w domu jak gdyby zgłupiało.

Matka chodziła smutna, słowa z niéj trudno było wydobyć, parobcy nie śpiewali jak dawniéj, trawniki wyłysiały przed dworem, ogród zczerniał, jabłka z drzew pospadały, a nawet mój pies kudłaty posmutniał...

Nieraz, kiedy chciałem go objąć za szyję, albo pobiegać, pogonić się z nim po dziedzińcu, to warknął ze złością, albo machnął niechętnie ogonem, jak gdyby i on także chciał powiedzieć:

— Głupi jesteś...

Mogłem chodzić, gdzie mi się podobało, nikt mi nie bronił, a matka niewiele mogła widzieć przez łzy. Poszedłem więc na łąkę, co się niedaleko za folwarkiem rozciągała; ale i tam było smutno, jak wszędzie. Łąka poszarzała, kwiatków nie było na niéj, ani motyli. Poszedłem do lasu, a tam jeszcze smutniéj i przykrzej... gałązki nagie uderzały o siebie, gdy je wiatr trącał, pożółkłe liście walały się pod drzewami.

Smutno było wszędzie, i jasne słonko nie świeciło jak zwykle, po niebie włokły się ciężkie chmury szare... Ani ptaszków śpiewających, ani motyli, ani kwiatków— tylko brzydka wrona usiadła wysoko na drzewie, patrzyła na mnie i krakała:

— Gługi! głupi jesteś!...

Uciekałem do domu, a gdy noc nadeszła i wszyscy spać się pokładli, to matka tak wzdychała i jęczała ciężko, żem się tylko do ściany przytulał i oczy zamykał z trwogi...

Oj! bo dziwnie straszno słuchać było tych jęków i westchnień. Wszystko, com kiedy słyszał od staréj piastunki, przypomniało się wówczas. Duchy, upiory, wilkołaki, zaklęte królewne przesuwały się przede mną, jak jaka procesya. Zamykałem oczy, przykrywałem głowę, i gorąco prosiłem Boga, żeby prędzéj dał dzień, żeby te duchy i widziadła, uląkłszy się słońca, uciekły.

Pewnego dnia przyjechał ojciec do domu. Źle mówię, nie przyjechał, ale przywieźli go na wozie, jak kłodę drzewa, albo jak worek ze zbożem...

Zdjęli go chłopi z fury; blady był jak kreda, pod pachą trzymał wielki kij, na którym się opierał, a jedna jego noga była owinięta w gałgany... Ledwie ją dźwigał biedak, taka była gruba i bezwładna.

Smutne było przywitanie. Zrobił się lament w domu, matka płakała okropnie, i jam także płakał; obcy nawet ludzie, parobcy i fornale, którzy zbiegli się, aby ojca powitać, mieli oczy łez pełne, a niejeden na cały głos szlochał.

Dziedzic ze dworu, dowiedziawszy się, że ojca przywieźli, przybiegł szybko, bez czapki nawet, choć chłodno było na dworze...

Ojca zaraz rozebrali i położyli do łóżka, dziedzic siadł przy nim i rozmawiać zaczął, a ja, korzystając z tego, że w owém zmartwieniu nikt na mnie uwagi nie zwracał, wsunąłem się pocichu w kąt za łóżko — i sły-

szałem wszystko, co ojciec bardzo słabym głosem dziedzicowi opowiadał.

Z tego opowiadania dowiedziałem się, że była jakaś wielka wojna, w której ludzi zabijano i rżnięto jak barany... kule tak latały w powietrzu, jak pszczoły, kiedy się letnią porą na robotę rozsypią, a jak która z nich ukąsiła, to na śmierć, i nie było po co żądła z rany wyjmować...

Naszym starszyzna kazała bić francuzów, a francuzom znów naszych, to też wzięli się za bary i tłukli. Opowiadał ojciec, że nasi byli mocniejsi i że tamtych podobno pobili, ale on już tego nie widział, bo mu kula przewierciła nogę, krwi z niéj dużo uszło i omdlał...

Podobno długo tak leżał nieborak, na mokrem polu między trupami, omdlały, nieprzytomny, aż przyszli niemcy, na drągi go wzięli — i zanieśli do namiotu, w którym doktorzy w fartuchach okrwawionych rżnęli ludziom nogi i ręce, jak w szlachtuzie...

Ojcu doktor wsadził w ranę drut długi, wiercił w niéj, macał i szukał kuli... okropnie to bolało, aż ojciec zębami zgrzytał z bólu.

Późniéj obwiązali mu nogę i odwieźli go na kolej... Pełne wagony były takich kalek; aż mrowie przechodziło po skórze, jak ojciec opowiadał, ile tam było jęku, płaczu i lamentu. Niejeden żołnierz zmarł w wagonie... Ojca z innymi razem przywieźli do szpitala, tam coś ze dwa tygodnie przeleżał; ale do domu było mu bardzo tęskno, chciał nas koniecznie zobaczyć, więc też prosił, molestował doktora, żeby go ze szpitala wypisał... Doktor słuchać nawet nie chciał; mówił, że się rana odno-

wi, że źle będzie, że jakaś gangrena się wda... ale jak ojciec zaczął prosić, przedstawiać, że ma żonę i dziecko, które chciałby już może ostatni raz w tém życiu zobaczyć, tak poczciwy niemczysko zmiłował się i rzekł:

— To idźże, bydlę, zdychać na wsi w chałupie, kiedy nie chcesz tego zrobić w porządnym, skarbowym szpitalu.

Podziękował ojciec doktorowi za dobre słowo i zawlókł się do kancelaryi; tam dali mu świadectwo i długi kij do noszenia pod pachą, i zapowiedzieli, żeby się nie pieścił jak baba, tylko zaraz, jak się rana zagoi, żeby wracał i znów szedł bić francuzów.

Taką mieli złość do nich.

Długo jeszcze dziedzic siedział przy ojcu, długo rozmawiali ze sobą, ale ja już téj rozmowy nie słyszałem. Zmęczony, przerażony wszystkiém, co się stało, kucnąłem w kąciku i zasnąłem. Dobrze już pod wieczór obudziła mnie matka, która, zaniepokojona moją nieobecnością, szukała mnie po całém mieszkaniu, aż nareszcie znalazła w mojéj kryjówce. W nocy nie mogłem spać, blada twarz ojca stała ciągle przed oczami... Przez kilka dni było u nas smutno, bardzo smutno! ojciec leżał na łóżku jak martwy, matka zapłakana chodziła z kąta w kąt, dziedzic przesiadywał przy nim po kilka godzin. Sprowadzili doktora z sąsiedniego miasta, ten obejrzał nogę ojca, pokiwał głową i poprosił dziedzica, żeby z nim wyszedł, gdyż chce mu coś powiedzieć. Wyszli do ogrodu, a ja, czając się pod płotami i krzakami, pośpieszałem za nimi. Coś mi szeptało, że nas jakieś nieszczęście czeka; bałem się tego doktora, i chciałem usłyszéć, co powié.

Nic dobrego nie powiedział. Dziedzic zapytywał go, czy niéma żadnego ratunku, on odpowiadał niechętnie; wymiarkowałem z tego, że chcą ojcu nogę urżnąć— ale, że i to niewiele pomoże... Nie mogłem dłużéj wytrzymać; z płaczem pobiegłem do matki i, czepiając się jéj spódnicy, wołałem:

— Matusiu! matusiu! nie dajmy, żeby ojcu nogę urzynali!

Ale co pomógł płacz dziecka! Na drugi dzień przyjechało trzech doktorów, przyszykowali sobie noże, poubierali się w fartuchy i zamknęli w tym pokoju, gdzie ojciec leżał...

Nie wpuścili ani mnie, ani matki; dziedzic zaś nie mógł patrzéć na krew i poszedł do dworu...

Robota ich krótko trwała; nie wiedziałem, że tak można prędko zrobić człowieka kaleką... Potém panowie ci odjechali, a myśmy z matką weszli do ojca.

Nie jęczał on, nie narzekał, leżał spokojny, blady, uśmiechał się nawet do matki i mówił, że go nic nie bolało—bo spał. Uśpili go doktorzy. Mnie głaskał po głowie, matkę pocieszał, że, choć kaleka—ale, jak wyzdrowieje, da sobie radę na świecie. Potém przyszedł dziedzic, przyniósł ojcu wina i opowiadał, że teraz są na świecie takie nogi drewniane na sprężynach, co same chodzą, jak żywe — i obiecywał, że ojcu niezawodnie taką kupi.

Nie kupił jednak, choć chciał szczerze, choć tak bardzo lubił mego ojca...

Zdaje mi się, że coś przez dwa dni było trochę raźniéj i spokojniéj w domu. Matka co wieczór modliła

się gorąco i mnie kazała Boga prosić o zdrowie dla ojca; miała jakąś nadzieję. Ale trzeciego dnia zrobiło się gorzéj — posłali zaraz po doktora. Doktor przyjechał i powiedział matce, że wszystko przepadło... Coś złego przyplątało się, ojciec stracił przytomność. Posłali po księdza, a w nocy matka przybiegła do mnie, zaczęła mnie całować i, płacząc okropnie, powtarzała tylko:

— Oj, sieroto moja, sieroto!

Choć byłem mały, wiedziałem, co znaczy sierota, i zmiarkowałem, że już nie mam ojca.

Na trzeci dzień po tém byliśmy w kościele—ojciec leżał na katafalku, w czarnéj trumnie; matka płakała strasznie, a ja ukląkłem przed ołtarzem i spoglądałem na obraz, na którym wymalowany był jakiś święty z długą, białą brodą.

Idąc za trumną ojca do kościoła, pytałem ludzi, dlaczego ojciec mój umarł? dlaczego urżnęli mu nogę? dlaczego kazali mu iść na wojnę i bić ludzi, których w życiu swém nigdy nie widział—ale nie odpowiedzieli na moje pytanie, nie wytłumaczyli mi, nie rozwiązali, a może nie chcieli rozwiązać téj zagadki...

Każdy z nich spojrzał tylko na mnie z politowaniem i odrzekł, machnąwszy ręką:

— Głupi jesteś, mój mały.

Tylko, kiedy, klęcząc w kościele przed ołtarzem, wpatrzyłem się w obraz, to zdawało mi się, że ów poważny święty z białą brodą spojrzał na mnie litośnie i szepnął:

— Biedny jesteś!...

Biedny! naprawdę biedny byłem od téj pory.

Pochowawszy ojca, wróciliśmy do domu, ale nie mieszkaliśmy już tam długo. Matka wyjeżdżała często do miasta, to znowu do nas różni ludzie przychodzili i przyjeżdżali; targowali się, kupując biedny nasz dobytek.—Konik poszedł do ludzi, krówki także i wszystko co było w domu: sprzęty, nawet ubranie po ojcu. Podobno, jak matka mówiła, że i dziedzic dał trochę pieniędzy, i tak, jedno z drugiém, złożył się jakiś grosik. Ludzie radzili, żeby matka gdzie do blizkiego miasta się przeniosła i założyła sklepik; to znowuż trafiał się porządny jeden ogrodnik, co się chciał z matką żenić, ale ona ani nawet słuchać nie chciała,—powiedziała, że już nigdy za mąż nie pójdzie — i dotrzymała słowa.—W tamtych stronach nie chciała téż pozostawać, —zanadto przykro jéj było. — Umyśliła więc wyjechać daleko, aż do Warszawy, gdyż tam miała siostrę starszą za mężem, majstrem ślusarskim. Mówiła téż matka do ludzi, że ma nadzieję, przy pomocy szwagra, mnie wykierować na ludzi.—Wykierowałem się téż rzeczywiście...

Pożegnaliśmy stare kąty i dobrych ludzi, a chociaż dziedzic jeszcze perswadował, żeby nie wyjeżdżać, żeby swoich stron się trzymać; jednak nic to nie pomogło, i po dwóch dniach już byliśmy w Warszawie.

Jak żyję na świecie, nie widziałem tak wielkiego miasta. Wszystkie domy, jak kościoły, a kościoły to już jak nie wiem co, takie wspaniałe i duże. Nie mogło mi się w głowie zmieścić, jak tu człowiek do człowieka trafi w takim lesie, gdzie tyle ulic i uliczek! Chciałem coś mówić do matki, ale taki był turkot wo-

zów, powozów i dorożek, że ani ja matki, ani matka mnie nie mogła dosłyszéć.

Zajechaliśmy do ciotki. — Mieszkali na Chłodnéj ulicy, w suterenie; wchodziło się do nich, jak do piwnicy po schodach, a nade drzwiami wymalowany był wielki klucz zębaty. Ciotka przywitała nas płaczem, serdecznie, a wujaszek skrzywił się, jakby szklankę octu przełknął. — Dopiero jak mama zaczęła opowiadać, że ma trochę pieniędzy, że chciałaby je gdzie w jakie dobre ręce oddać, tak włożył zaraz czapkę i poszedł na ulicę. Niezadługo powrócił i przyniósł słodkiéj wódki, bułek, serdelków, piwa, kazał chłopcu samowar nastawić i tak mamę częstował, tak jéj nadskakiwał, jakby jakiego wielkiego gościa w swoim domu przyjmował. Rozglądałem się po kątach. W pierwszéj stancyi, w któréj siedzieliśmy, w jednym kącie stał komin z miechem, przy oknie warsztat o kilku szrubsztakach, pilniki wisiały na ścianie, a przy kominie stało kowadło.—W kącie, na worku, słomą wypchanym, spał mały chłopak, czarny i zasmolony, jak kominiarz, a taki wychudły, że aż żal było patrzéć na niego.

W drugiéj stancyi, trochę mniejszéj, było daleko ładniéj i czyściéj: stały tam biało usłane łóżka, duża szafa żółta, stolik, komoda. Tam, w tym drugim pokoju, nocowaliśmy z mamą.

Wujaszkowi było na imię Antoni, majster z niego był niezły; ale mu się jakoś nie szykowało. Dowiedziałem się późniéj, że wujaszek lubił się zabałamucić, a przez to i robotę opuszczał; ale jakeśmy przyjechali z mamą, tak na drugi dzień, zaraz skoro świt, wdział na

siebie skórzany fartuch, obudził małego smolucha, i jak zaczęli oba młotkami stukać, a pilnikami zgrzytać, to aż w uszach piszczało... Mama z ciotką ubrały się i wyszły na miasto do kościoła, i mnie także z sobą zabrały. Byliśmy w kościele, chodzili po różnych ulicach, mama z ciotką rozmawiały, a ja gapiłem się i rozglądałem, bo było na co patrzéć!

W niedzielę w warsztacie było cicho, wujaszek ubrał się w czysty surdut, i nawet mały smoluch umył się i był do człowieka podobny. Zacząłem z nim rozmawiać; pytałem go, czy ma ojca, matkę i zkąd jest?— ale on wcale nie wiedział, zkąd się wziął na świecie... Tyle tylko pamiętał, że jak był jeszcze mniejszy, to go bił szewc, a potém, jak od szewca uciekł, bije go ślusarz... Dałem mu sześć groszy, żeby sobie kupił kilka bułek, ale on widać nie lubił dużo jeść, bo zamiast bułek papierosów kupił i palił je na ulicy... Ten chłopak nazywał się Jasiek.

Po obiedzie, korzystając ze święta, wuj, ciotka i moja mama zasiedli do narady, co robić? Mama powiedziała ile ma pieniędzy, wuj głową kręcił, to to, to owo podsuwał, ale zaraz wszystko ganił...

— Ot—mówił, — żebym to ja miał parę groszy, tobym wziął większe mieszkanie, kupiłbym tokarnię, bormaszynę, ze dwóch czeladników przyjął, toby robota poszła, jak po mydle, mielibyśmy jeść i pić po uszy, a i tego bębna,—mówił, pokazując na mnie,—na majstrabym porządnego wykierował, bo czegóż lepszego będzie szukał na świecie? Przecie pani siostra wié, że my bezdzietni, to, jak pomrzemy, któż weźmie warsztat i ca-

ły dorobek?... Jużci nie kto, tylko Józiek—i jak będzie w robocie pilny, a statkowny, to mu niczego nie zabraknie na świecie. Dziś, proszę pani siostry, niéma nic pewniejszego na świecie, jak rzemiosło, a najbardziéj nasze ślusarskie; bez zamków świat nie będzie, a czy w Warszawie, czy na drugim końcu świata, zawsze ślusarz potrzebny.

Mama pomyślała trochę, pomyślała i powiada tak:

— Ha, kiedy tak mówisz, panie szwagrze, to dobrze, tylko to sobie wymawiam, żeby Józio choć ze trzy lata do jakiéj szkółki pochodził... Pieniędzy szwagrowi dam, ale niech szwagier pamięta, że to sierocy grosz, niech nie utraci i odda rzetelnie...

— A moja pani siostro! Bogabym chyba nie miał w sercu! Toć siostra dobrodziejstwo mi robi, ratuje mnie tym groszem; ja będę mógł większe roboty brać, czeladź trzymać, a teraz, przy tylu domach, co budują, można gieltować! Zresztą przecież ja od pani siostry tak tylko na gębę pieniędzy nie wezmę, dam kwitek, czarne na białém, jako oddam rzetelnie z procentem co do grosza, i jako temu chłopcu będę opiekunem.

— Niech szwagier na pieniądze kwitek da, a opiekuństwo tymczasem, póki ja żyję, to niepotrzebne. Cóż ja już mam robić na tym świecie? tylko mi to jedno dziecko zostało.

Tak się tedy ułożyli wuj z matką, matka pieniądze dała, ale nie wszystkie, schowała trochę na wszelki wypadek...

Przenieśliśmy się do nowego porządnego mieszkania i ja zacząłem chodzić do szkoły. Dobrze mi tam

było, bardzo byłem ciekawy do książki i lubiłem się uczyć; nikt mi nie bronił, owszem, matka pochwaliła jeszcze. i sama dała na kajeta.

Tak przeszło blizko trzy lata. Wujaszek, chociaż nie nadskakiwał tak matce, jak przedtém, ale jeszcze był dość grzeczny, bo matka miała jeszcze trochę pieniędzy, a po drugie, że ciotka chorowała ciągle—podobno na suchoty — i nieraz całemi dniami w łóżku leżała. Więc też moja mama musiała wszystkiego dojrzéć w mieszkaniu posprzątać, na targ chodzić z koszem, gotować dla nas i dla czeladzi. Nie musiało jednak mamie być bardzo dobrze na świecie, gdyż nieraz ciężko wzdychała w nocy, a jak się pytałem dlaczego? co jéj dolega? to mi odpowiadała ani tak, ani owak...

— Idź spać, moje dziecko,—mówiła,—albo do książki się weź; co ci tam w to wchodzić? jeszcze mały jesteś, a jak dorośniesz, to się dosyć biedy nagryziesz.

Odchodziłem smutny i płakałem w kącie, ale jak poszedłem do szkoły, tom znowuż o całym bożym swiecie zapomniał.

W same święta wielkanocne, ciotka, która coraz była słabszą, umarła.

Było w domu dość płaczu i lamentu, a wuj matkę moją ciągle po rękach całował i bardzo był dla niéj grzeczny. Ma się rozumiéć, za tę grzeczność matka dała pieniędzy na pogrzeb, a wujaszek przysięgał się na wszystkie świętości, że odda—i nawet jakiś kwitek napisał.

Po pogrzebie ciotki, mieszkaliśmy daléj u wuja; ja chodziłem, jak zwykle, do szkoły, a matka zajmowała

się całém gospodarstwem, jak sługa. Wujaszek był dla nas dobry, tylko w warsztacie bywał coraz rzadziéj, wieczorami późno do domu przychodził, i tak się w powszedni dzień zaczął porządnie ubierać, jak w święto.

Matka moja nie śmiała pytać o przyczynę zmiany, może jednak domyśliła się prawdy, bo czasem mówiła do mnie:

— Oj synku, zdaje mi się, że źle z nami będzie...

— Dlaczego, proszę mamy? — pytałem nieśmiało.

— Bo coś pan wujaszek stroi się ciągle.

Nie wiedziałem, co strój wujaszka może mieć za związek z naszym losem. Co do mnie, było mi zupełnie wszystko jedno, czy widzieć go zasmolonego, w skórzanym fartuchu, czy téż wystrojonego jak na odpust, w nowy tużurek i palto. Czy tak, czy tak, zawsze był dla mnie niemiły, gdyż zawsze patrzył, jak to mówią, zpodełba.

Musiał jednak miarkować, że mama się czegoś domyśla, bo raz, przyszedłszy wcześniéj do domu, przy kolacyi sam zaczął:

— Pani siostra pewnie się dziwi, że ja teraz prawie codzień czysto chodzę?

— Cóż się mam dziwić? — odpowiedziała matka — widać, że taka szwagrowi ochota przyszła.

— Ej, nie tak ochota, jak interes; chodzę już od jakiegoś czasu i staram się o robotę. Jeden pan ma tutaj dwa domy wielkie budować, chciałem podjąć się całéj ślusarskiéj roboty... Zarobiłoby się grosz duży, i pani siostrze bym dług oddał, i dla mnie by się coś okroiło... ale — dodał, wzdychając — teraz czasy psie,

a i szczęścia też nie mam. I tej roboty nie wiem czy dostanę. Pieniędzy też wiele nie mam; niewiadomo z czém będzie zaczynać.

Tego dnia cały wieczór siedział w domu i nudził mamę, żeby mu jeszcze trochę pożyczyła; ale mama przysięgała się na wszystkie świętości, że oddała już prawie wszystko, że zostawiła sobie tylko troszeczkę, na wypadek jakiego nieszczęścia, choroby...

Widząc, że nic nie poradzi, wujaszek przestał mówić, spoglądał tylko groźnie, to na matkę, to na mnie.

Na drugi dzień nic się prawie nie odzywał do nas i w domu mało co siedział, biegał tylko po mieście.

Nareszcie, pewnego wieczora przyszedł do domu trochę cięty i, nie zdejmując nawet czapki z głowy, zawołał:

— Pani siostro! niechno sobie pani siostra poszuka gdzie mieszkania, bo przecież nie sposób, żebyśmy tu siedzieli, jak żydy na kupie... a po drugie, i u mnie też niéma za dużo, żebym dwie gęby żywił, dyabli wiedzą na co i z jakiej racyi?!...

Matka spojrzała zdziwiona i przestraszona.

— Jakto? — rzekła — więc ja tu darmo siedzę? więc za to, że tu jestem sługą, że gotuję, piorę, sprzątam, pilnuję domu i warsztatu, to już niewarta jestem téj łyżki strawy, którą tu dostaję?...

— Eh! co tam, moja pani, dużo gadać... ja nie jestem pan, sługi mi niepotrzeba, a wreszcie, jakby mi było potrzeba, tobym trzymał nie panią z paniczem, tylko sługę prawdziwą, coby znała mores i posłuch i nie

wtrącała się do moich interesów! Co mi tam wszyscy dybali po takich paniach!!

— Szwagrze!... Przecież sam, po śmierci nieboszczki siostry, prosiłeś, żebym tu została...

— Co mi tam pani ze swoją nieboszczką siostrunią wyjeżdżasz!... obieście jednakowe. Cóż to ja z niéj miałem? suchotnica, zawsze chora; ani z niéj pomocy, ani co... Co mi tam taka żona! tylko koszt niepotrzebny...

— Nikt przecież do żenienia nie zmuszał.

— Nie zmuszał... a może i zmuszał?!... ludzie namówili, więc jak gdyby zmusili. Zresztą co tam długo gadać... Szukać sobie mieszkania, tak jak powiedziałem, i już!... Za trzy dni żeby was tu nie było!

— Dobrze — rzekła matka spokojnie — pójdziemy ztąd, już jutro nas tu nie będzie; tylko chciałabym prosić, żebyśmy się obliczyli i żeby mi pan oddał mój grosz wdowi.

— To znowuż jest co inszego, moja pani.—Dyabli mi tam do tego, czy ten grosz wdowi, czy kawalerski; przed terminem nikt nie płaci, a tymczasem do terminu jeszcze daleko.

— Daleko?

— Ma się rozumieć, że daleko... Przecież masz pani na mnie rewersy. Nie pożyczyłaś na uczciwe słowo, tylko kazałaś sobie pisać cyrograf, jak dyabeł na grzeszną duszę, ale taki cyrograf to się czasem potrafi w kawałek węgla obrócić.

Matka nie odpowiadała nic, tylko płakała głośno, ja zaś wsunąłem się w kącik i gryzłem wargi ze złości!

Ach! gdybym był silniejszy i większy, rzuciłbym się na tego człowieka i połamał w nim wszystkie kości. Czułem, że się robi ze mną coś dziwnego, ręce mi drżały— trząsłem się jak w febrze. Wuj tymczasem ciągle mówił ze złością:

— Oddaj mi pieniądze!? Jakto oddaj? Cóżto ja pani ukradłem pieniądze? zabrałem gwałtem, czy co? Sama się pani napraszałaś z niemi, żeby mieć darmo kąt, pożywienie. Dobrze było saméj jeść i pić, i paść swego synalka, że aż sadło z niego kapie... a jak się już ta darmocha kończy, to dawaj pieniądze!... a ja zkąd mam brać pieniądze? kraść pójdę, czy rozbijać? Ja teraz i bez tego głupiego długu mam do starego licha wydatków; ja się żenię—słyszałaś pani, że ja się żenię!

— Wolna wola!—szepnęła moja biedna matka.

— Albo co? Wolna, ma się rozumieć, że wolna! Cóż to ja, nie człowiek, nie rzemieślnik? Żebym chciał, tobym Bóg wie jaką żonę dostał! bo mnie ludzie znają, wiedzą, kto ja jestem i co potrafię... Mnie każdy kupiec, fabrykant, córkęby oddał z pocałowaniem ręki, bo ja... choć mi się pani o pieniądze przypominasz, to jabym cię, moja pani, dwadzieścia razy kupił z całym twoim majątkiem!

Matka ciągle milczała, zakryła twarz rękami i płakała cicho; ale ja, stojąc w kącie przerażony i zbladły, widziałem jéj łzy staczające się po jéj szczupłych, kościstych palcach.

Pan majster,—bo ktoby tam takiego łotra wujem nazywał,—wciąż chodził w czapce na głowie po obszernéj izbie warsztatowéj i dogadywał. Mało mu widać

było, że nas z domu wypędzał, że nam ostatni grosz wydarł, jeszcze chciał się znęcać nad matką moją.

— Słuchajno pani—mówił—a wiesz z kim ja się żenię?

— To mi wszystko jedno przecie...

— Jedno, albo i nie jedno; bo może inna chciałaby was trzymać przy sobie, ale moja Jagusia, to gospodyni: ona złamanego grosza nie da nikomu, darmozjadów żywić nie zechce. To kobieta, co się nazywa gospodyni: u ojca całym domem trzęsie, a zobaczno pani, jak ona wygląda, spójrz na nią. Samo zdrowie, krew z mlekiem, malina! nie taka suchotnica, jak nieboszczka twoja siostrunia.

— Daj pan pokój umarłym! czego chcesz od niéj? przecież ustąpiła ze świata, i już ci więcéj zawadzać nie będzie.

— At, co tu gadać! obieście jednakie, prawdziwie rodzone siostrunie; tamta była suchotnica, i pani jesteś suchotnica; tamta umarła, i panią téż na Powązki wywiozą.

Już nie mogłem dłużéj wytrzymać. Sam nie wiedząc, co robię, pochwyciłem młot ciężki i rzuciłem się na wuja.

— Ty zbójco! pierwéj umrzesz, niźli moja matka!—krzyknąłem.

Jednem uderzeniem ręki wytrącił mi młot z drobnéj dłoni i pochwycił mnie za ucho.

— Ty szczeniaku!—rzekł—i ty już umiesz kąsać!

To mówiąc, pchnął mnie z całéj siły. Na nieszczęście pchnął mnie w stronę warsztatu, tak, że ude-

rzyłem głową o twardy, stalowy szrubsztak i padłem bez zmysłów na ziemię...

Kiedy przyszedłem już do przytomności i otworzyłem oczy, nie mogłem zmiarkować, gdzie jestem. Z wielką trudnością zaledwie mogłem sobie przypomnieć, co się działo ze mną poprzednio. Niespokojnym wzrokiem oglądałem się dokoła, patrząc, czy niéma gdzie kochanego wujaszka? Nie było go jednak; nie było ani jego, ani warsztatu; nie słychać było stuku młotków i zgrzytania pilników — przeciwnie, panowała zupełna cisza, tylko turkot jakiś dochodził moich uszu, niebardzo wyraźny, stłumiony. Zresztą była cisza grobowa—i izba sama, w któréj leżałem, podobniejsza była do murowanego grobu, aniżeli do ludzkiego mieszkania. Okno mieściło się wysoko, pod samym prawie sufitem, i dawało bardzo słabe światło; powietrze było wilgotne, przepełnione parą gorącą. Wśród tego zmroku dostrzegłem jednak moją matkę. Z zawiniętemi po łokcie rękawami, stała ona nad balią i prała; jakaś druga kobieta, któréj nie znałem wcale, pomagała jéj przy tém.

Dostrzegłszy matkę, zawołałem cichym głosem:

— Mamo!

Przybiegła do mnie, zaczęła mnie serdecznie całować i rzewnie płakać.

— Ty żyjesz, Józiu?! żyjesz, moje dziecko!—mówiła — a ja myślałam, że się już nie podniesiesz z tego łóżka, że twego głosu nigdy nie usłyszę... o biedna, biedna moja dziecino! sierotko moja kochana!...

Pocałowałem ją w rękę i zapytałem nieśmiało:

— Mamo! u kogo my teraz jesteśmy?

— U nikogo, moje dziecko; jesteśmy u siebie, to nasze mieszkanie, mój Józiu.

— Więc wyprowadziliśmy się już od wuja?

— Zaraz, na drugi dzień, jak się to nieszczęście stało... Ach! zbójca! byłby cię zamordował! i tak niewiele już brakowało. Doktor nie robił żadnéj nadziei. Ale, Bogu dzięki, odzyskałeś już przytomność, mówisz...

— Mnie już lepiéj; dużo mi teraz lepiéj, mamo; jabym nawet wstał, ale nie mam siły.

— Leż, leż, dziecko!—mówiła,—dopóki doktor nie powie, że już możesz wstać, leż Józiu.

Spojrzałem na matkę: była bardzo wynędzniała i blada, tylko duże jéj oczy błyszczały, jak rozżarzone węgle. — Wyglądała tak biednie, że pomimo woli przypominała mi zmarłą niedawno ciotkę—i wnet przyszły mi na myśl wyrazy wpół-pijanego wuja: — „i tamta była suchotnica, i ty suchotnica, i ciebie niedługo na Powązki wywiozą...“

Przypomniałem sobie te słowa i zląkłem się bardzo.

Przed wieczorem przyszedł doktor, obejrzał ranę moją na głowie, zapisał lekarstwo i powiedział, że niezadługo będę mógł wstać. Mamę tylko ostrzegał i radził, żeby się szanowała, żeby nie mieszkała w takiéj izbie wilgotnéj, gdyż może sobie bardzo zaszkodzić.

Gdy odszedł, zapytałem matki: dlaczego my w takiéj stancyi mieszkamy, kiedy doktor mówi, że jest szkodliwa.

— Moje dziecko — odpowiedziała w pół z płaczem — podziękuj Bogu, że chociaż na opłacenie takiéj nory mogę praniem zarobić; my jesteśmy teraz biedni, bardzo biedni...

— Dlaczego?—zapytałem — przecież mama miała tyle pieniędzy...

— Tyle pieniędzy!... powiadasz... prawda, że nie była to wielka suma, ale dla nas to rzeczywiście było „tyle pieniędzy," że moglibyśmy z nich żyć jako tako... no, ale, na nieszczęście, pożyczyłam te pieniądze wujaszkowi...

— Może on jeszcze odda...

— Eh nie! już nie odda, niéma co na to rachować, żeby kiedy oddał; szkaradny człowiek! niech mu Bóg naszéj krzywdy nie pamięta... Od tego dnia, jak ciebie zranił, zaraz, w téj chwili, wyniosłam się z jego mieszkania; przenocowałam z tobą u sąsiadki, a nazajutrz, znalazłszy to mieszkanie, kupiłam trochę gratów i przenieśliśmy się tutaj, do téj stancyi... Dobrzy ludzie i sąsiadki namawiali mnie, żeby za twoją krzywdę pana szwagra do sądu zaskarżyć, ale nie chciałam. Na co? czy sąd powróciłby ci zdrowie? czyby powrócił te łzy, które wypłakałam nad tobą?!... Nie skarżyłam więc... ale o pieniądze tom się musiała przypomnieć. Poszłam do niego z ciężkim bólem w sercu, nie jak po swoją należność, lecz jak żebraczka po jałmużnę; a musiałam pójść, bo na twój ratunek nie szczędziłam, i lada dzień mogłam się ujrzeć bez grosza. Przyjął mnie pan szwagier bardzo grzecznie, tak grzecznie, jak nigdy. Myślałam że go raz przecież sumienie ruszyło...

że boleje nad tém, że ciebie tak szkaradnie skaleczył... Co do pieniędzy—powiada—i owszem, ja pani choćby zaraz zapłacę, tylko niech mi pani moje rewersa zwróci... — A ona, niby jego żona, odezwała się do niego: tak, tak, dziś rodzonemu bratu wierzyć nie można; nie płać mężu, póki rewersu nie odbierzesz, bo potém drugi raz będziesz musiał płacić... Ja powiadam: dobrze, zaraz pójdę do domu i przyniosę te papierki.—Owszem, owszem—odezwał się pan szwagier—niechno pani przyniesie; zaraz zrobimy rachunek.—Pobiegłam prędko do domu i zaczęłam szukać. Pamiętam doskonale, żem schowała te kwitki do kuferka, na sam spód. Tego kuferka, oprócz mnie, nikt nie otwierał; przeszukałam raz, drugi i trzeci — napróżno. Wyjmowałam po kolei rzecz każdą, przetrząsałam, patrzyłam; ale gdzie tam! przepadło, jak kamień w wodę!... Gdzie się podziały? kiedy zginęły? kto je wykradł?... Trzęsłam się jak w febrze, bo, moje dziecko, to był nasz cały majątek!... To była twoja nauka, lekarstwo na wypadek choroby, jedyny sposób do życia...

Tu matka przerwała opowiadanie i zaczęła głośno płakać... ja leżałem na łóżku i czułem, że mi także łzy napływają do oczu... Biedna moja matka, taka dobra, taka poczciwa—i tyle cierpieć musi!...

— Poszłam do niego zapłakana, zmartwiona; prosiłam, żeby poszedł ze mną do policyi— do sądu—gdzie tylko chce; że ja go w urzędzie pokwituję ze wszystkich pretensyi; że nawet opuszczę mu coś... byle mi tylko oddał, byle nas tak okropnie nie krzywdził... I wiesz ty, co powiedział mi na to?—odpowiedział: moja

pani, ja jestem człowiek fachowy, pracujący, mam swój warsztat i swoje kłopoty, po urzędach nie mam czasu się włóczyć, zresztą na co mi ten ambaras? Pani co innego: chcesz pani odbierać pieniądze, to się włócz po sądach, czasu przecież masz dosyć; ale, na mój rozum, to i sąd nie każe mi płacić, skoro niéma dowodu, żem winien.—Zaczęłam płakać gorzko, przedstawiałam mu nasze położenie; ale na co się to zdało... Słuchać nie chciał, a potém wypchnął mnie za drzwi.—Idź, powiada, babo! idź, szukaj sobie sądu i sprawiedliwości!—Teraz zrozumiałam wszystko: zostaliśmy, moje dziecko, bez chleba, bez sposobu do życia... Niegodziwy człowiek!!

— I mama nie szukała tych kwitków?—spytałem przerażony.

— Gdzież ich miałam szukać? Tego wieczoru, kiedy cię niegodziwiec tak skaleczył, zabrałam cię do sąsiadki i nocowałam u niéj, rzeczy nie zabierałam z sobą. Papiery pozostawiłam w skrzynce, gdzie zawsze leżały.

— Przecież się ta skrzynka na klucz zamyka.

— Dziecko jesteś! Cóż dla niego znaczy zamek? przecież on każde zamknięcie potrafi otworzyć...

— To on więc?!...

— Tak, on, on, mój Józiu, okradł nas, wydarł nam całe mienie, cały nasz grosz sierocy!

Mówiąc to, matka objęła mnie za szyję, całowała i płakała tak gorzko, że słuchać było trudno.

— Widzisz, Józiu,—mówiła—teraz żyjemy z ciężkiéj pracy: ja bieliznę biorę do prania, ale siły już nie mam, z każdym dniem słabsza jestem, na nogach się chwieję...

Nie mogłem przez całą noc oka zmrużyć: myślałem ciągle o mojéj biednéj matce i postanowiłem, że jak tylko będę mógł już wstawać, to zaraz poszukam jakiego zarobku dla siebie. Szkoda mi będzie szkoły, ale opuścić ją muszę; za szkołę bo płacić trzeba, a ja powinienem robić coś takiego, za coby mnie jeszcze zapłacono. Modliłem się w cichości, aby Bóg pozwolił mi jak najprędzéj wstać i wyjść o swoich siłach. Co będę robił? nie zastanowiłem się nad tém. Tylu chłopców pracuje i zarabia na kawałek chleba — dlaczegóżbym ja nie mógł? A gdyby mi trudno było wynaleźć inne zajęcie, to zrobię sobie dwa woreczki, pójdę nad Wisłę, nazbieram piasku i będę wołał po podwórkach: go! go! go! wiślanego! przecież i takim sposobem ludzie zarabiają...

Po tygodniu wstałem, ubrałem się i mogłem wyjść z domu.

Jedna myśl mnie zajmowała tylko: znaléźć zajęcie! zarobek! I nic dziwnego: biedna moja matka nie mogła tak ciężko pracować; widziałem, jak staje się coraz smutniejszą, coraz słabszą.

Wyszedłem na miasto, gapiłem się po ulicach, rozglądałem, namyślając się, kogobym o robotę poprosił — i tak doszedłem aż do mostu. Wciąż miałem na myśli roznoszenie piasku, udałem się więc nad Wisłę, chcąc wypatrzéć, zkąd chłopcy piasek biorą.

Kiedy tak rozglądałem się w koło, przypatrując się berlinkom i statkowi parowemu, który świstał, jak kolej żelazna, uczułem, że ktoś uderzył mnie w ramię i zawołał:

— A ty raku! co tu robisz?

Obejrzałem się i spostrzegłem Jaśka, tego właśnie kocmołucha, który u mego wujaszka był w terminie.

— Co robię?—odrzekłem—nic, tak sobie, patrzę.

— To cię widać wypędzili ze szkoły, kiedy, zamiast siedzieć nad książką, łazisz tutaj...

— Nie, mój Jasiu, nie wypędzili, ale sam przestałem chodzić.

— Nie podobało ci się? masz racyę!... to jest głupia robota!...

— Owszem, podobało mi się; ale... nie mam czém płacić...

— Nie masz czém płacić? to także masz racyę, bo i ja także nie mam czém płacić. Takich porządnych ludzi, to, powiadam ci, pełny świat; i z tych niby to panów, co się rozbijają dryndami, połowa nie ma czém płacić!... Ale mnie to trochę dziwno. Ty miałeś przecie matkę, i ona nie była bez grosza, bo sam widziałem, jak mojemu staremu, niby majstrowi,—niech go drzwi ścisną!—pożyczyła.

Opowiedziałem Jaśkowi smutną naszą historyę, opowiedziałem ze wszystkiemi szczegółami i rozpłakałem się przy tém.

Jasiek słuchał uważnie, kiwnął kilka razy głową i rzekł:

— Ho, ho, mój kochany! jego to sprawka; ma się rozumieć, że on te kwitki zabrał, a że były zamknięte, to cóż to znaczy? Wam głupim to się zdaje, że zamek to mur; ja, choć nawet nie czeladnik, a ci każdy zamek, choćby angielski, lada goździem otworzę — tylko trzeba wiedzieć jak; a stary! ho! ho! jemu żelazna kasa fraszki! Przecież ja przy nim robiłem, to wiem... Co ja się zamków naotwierał! żebym choć tyle groszy miał w kieszeni...

— Jakto? więc ty kradniesz?!

— Głupi jesteś! co innego jest kraść, co innego zamki otwierać; pierwsze należy do fachu złodziejskiego, a ja przecież byłem terminatorem ślusarskim...

— Byłeś? ja myślałem, że jesteś jeszcze.

— Nie, teraz mam inną posadę...

— Ty posadę?

— No, tak; jestem sobie konduktorem!!

— Konduktorem?! od kolei? czy może od tramwaju?

— Od świeżego powietrza, hulam sobie!... Stary chciał mnie bić, więc mu powiedziałem, że jest łajdak i uciekłem od niego, i tymczasowo jestem bez posady; ale to bajki, znajdę takich majstrów dosyć; robotę znam tak dobrze, jak czeladnik, a oprócz pożywienia i szturchańców, innéj pensyi nie biorę; ja nie zginę; idzie mi o ciebie. I cóż ty myślisz robić z sobą?

— Nie wiem; chciałbym, w najgorszym razie, piasek nosić...

Jasiek wybuchnął śmiechem.

— Ty!? ty do piasku? z temi wybielonemi rękami? jesteś ciekawy mebel!

— Dlaczego?

— To nie dla ciebie, nie dasz rady... trzeba czego innego poszukać... Ja ci coś znajdę, a wiesz dlaczego? dlatego, że cię lubię. Kupiłeś sobie moje serce za szóstaka. Pamiętasz, żeś mi dał szóstaka na bułki? Honorowy człowiek o takich interesach nie zapomina, a ja jestem człowiek honorowy... Słuchaj-no — rzekł po chwili namysłu—czyś ty kiedy widział jakiego pana, co ma zegarek?

— Widziałem...

— A czybyś potrafił wyciągnąć mu taki zegarek z kieszeni?

— O nie! nie! tego nie umiem i nie chcę!

— Wierzę ci, odrazu poznałem, żeś głupi; a do takiego interesu trzeba mieć rozum. Wiesz co, że i ja jestem na to głupi, i pytałem cię tylko tak, dla żartu. Uważasz, że jestem człowiek poczciwego serca, ale to do rzeczy nie należy. Przedewszystkiém trzeba myśléć o twojéj posadzie. Przyjdź jutro w to samo miejsce i o téj saméj godzinie, to ci coś powiem; bo przecie z rękawa posady nie wytrząchnę.

Podziękowałem Jaśkowi — a nazajutrz stawiłem, się nad Wisłą.

Jaśka jeszcze nie było; sądziłem, że może zapomniał i że już całkiem nie przyjdzie, lecz niebawem zjawił się, uśmiechnięty, wesoły, z papierosem w ustach.

— Jak się masz? — zawołał zdaleka—jesteś punktualny jak zegar, za co nie minie cię nagroda: będziesz od jutra redaktorem „Kuryera“!

— Redaktorem? ja!?—zapytałem zdumiony.

— Ty, cóżeś tak oczy wytrzeszczył? myślisz że to wielkie rzeczy?... bierze się sto Kuryerków pod pachę i roznosi od domu do domu. Potrafisz?

— Potrafię.

— A widzisz! za to będziesz brał grube pieniądze, a oprócz tego, jak będziesz regularnie nosił, to ci każdy z twoich państwa da co pierwszego na piwo. Po wiadam ci, że to procentowy urząd! trochę szkodliwy na bóty, ale dla oszczędności można chodzić boso. No! namyślaj się: chcesz, czy nie chcesz?...

— Chcę—odrzekłem.

— Masz psie szczęście! rodziłeś się widać w czepku, a może nawet w starym cylindrze... Widzisz, ja mam tam znajomego Antka, on już jest trzy lata takim redaktorem od noszenia Kuryerów; starszy, co jest nad wszystkiemi chłopakami, bardzo go lubi, a jak który chłopak ucieknie, albo jak jakiego wypędzą, to Antek stara się sam o nowego. Właśnie rozmawiałem z nim wczoraj i powiedział mi, że cię weźmie. Idźmy zaraz!...

Poczciwy Jasiek! Na drugi dzień już z paką Kuryerów przebiegałem ulice, wdrapywałem się na drugie i trzecie piętra. Trudno mi było z początku, okropnie trudno. Trzeba się było wypytywać stróżów, gdzie każdy lokator mieszka; ale po tygodniu już znałem wszystkie schody na wylot, po ciemku mogłem wszędzie trafić. Wprawiłem się do téj roboty, boć do każdego za-

trudnienia można się przyzwyczaić; a wolnym czasem, w święto, brałem się do swoich książek, które mi jeszcze jako pamiątka po szkole pozostały, i powtarzałem, co mnie nauczono.

Mama z początku gniewała się na mnie za to, żem bez jéj wiedzy i pozwolenia taki nieszczególny wyszukał sobie zarobek; ale jak na pierwszego przyniosłem kilkanaście rubli do domu, przycisnęła mnie do piersi i ucałowała. Czułem wtenczas, że jéj łzy gorące spadają mi na twarz. Zarobek mój bardzo się przydał mamie, bo z prania utrzymanie było ciężkie, a ona biedna nie miała zdrowia. Nic a nic już zdrowia nie miała. Bywało, rankami skarży się na zimno, choć w stancyi, że się ciągle ogień palił, było gorąco, jak w piekle; a wieczorami to ją znowuż wrzucało w gorączkę, że chciała oba okna otwierać i otwierała nieraz, chociaż z ulicy wiatr ciągnął ostry... Biedna, biedna matka! co ona nacierpiała, co namęczyła się na tym świecie! i za co? Za co?... Czy zrobiła ludziom co złego? czy skrzywdziła kogo?... Nieraz w nocy, gdy mnie jéj kaszel przebudził, myślałem: dlaczego jednym ludziom drzwiami i oknami szczęście idzie, a drugim ciężko, jak z kamienia?... Ale któż mi na to odpowie?... Wszakże na wszelkie pytania, jakie kiedykolwiek zadawałem ludziom, słyszałem tylko jedną jedyną odpowiedź:

— Głupi jesteś!

Jakby namówili się z sobą—i tu, i w naszych stronach, wszyscy odpowiadali jednakowo, tak jednakowo, że aż się serce krajało.

Smutno na świecie, a jak dla mnie, to jedyném pocieszeniem, jedyną radością w tym smutku, była moja matka. Ona miała zawsze dla mnie dobre słowo, ona była mi życzliwą opiekunką; to téż kiedy jéj na zdrowiu lepiéj było, kiedy uśmiechnęła się czasem przy święcie, gdyśmy trochę za rogatki wyszli, to mi serce rosło z radości.

Chodziliśmy najczęściéj ku Wilanowu, a gdy się matka zmęczyła, siadaliśmy oboje przy drodze na trawie, patrzyliśmy na żyto, na wąsate kłosy jęczmienia, które chwiały się i kłaniały ciągle... i przypominała nam się wówczas cicha wioska rodzinna, hen, hen daleko... nasz biały domek na folwarku, gdzieśmy z nieboszczykiem ojcem mieszkali, tłusty konik, dwie krówki graniaste, a nawet pies kudłaty, z którym tarzałem się po dziedzińcu...

Przeszło wszystko, jak sen; grób ojca pewnie już się zapadł na cmentarzu; nasze ciche życie smutkiem zatrute; ostatni grosz zły człowiek zabrał... i dlaczego? dlaczego? dlaczego?!

Upływał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, ja trzymałem się miejsca, a biedna moja matka coraz bardziéj zapadała na zdrowiu. Bywało, dzień, dwa leży, wstać nie może. W tym domu był stróż Michał, który miał żonę bardzo poczciwą kobietę. Ona-to odwiedzała matkę moją chorą, ona gotowała jeść i zapłaty żadnéj nie chciała brać za to, taka była dobra.

Kiedy już Michałowa widziała, że z matką bardzo źle, sprowadziła zakonnicę. Siostra miłosierdzia potrafiła jakoś wyperswadować matce, że jéj najlepiéj bę-

dzie w szpitalu, że tam znajdzie wygody i lekarstwa. Usłuchała matka moja téj rady, i zawieźliśmy ją do Dzieciątka Jezus.

Nie mam serca opisywać, jak daléj było i co było; dość, że zostałem sam na świecie, sam jeden, sierota! nie miałam ani się przed kim poskarżyć, ani użalić; nikt nie uśmiechnął się do mnie; nikt tak przychylnie, tak słodko, jak ona, nie spojrzał. Za trumną szedł tylko stróż Michał i ja; Michałowa pozostała w domu, bo musiała bramy pilnować...

Tego dnia było szaro, mokro, błoto na ulicach, deszcz padał przenikający, drobniutki; ulice były dość puste, bo na taki czas ten tylko wychodził, kto musiał. Jednokonny karawan wiózł trumnę matki na cmentarz, a karawaniarz tak konia popędzał, żeśmy ledwie mogli zdążyć z Michałem za trumną... Pomyślałem sobie: jak to dobrze na świecie: jak bogaty umrze, to go wiozą krok za krokiem, powoli, jak gdyby mu chcieli przydłużyć pobyt na ziemi; z biedakiem zaś, z takim, który dużo przecierpiał, lecą jak na jarmark, aby prędzéj zakopać go w grobie, gdzie znajdzie nareszcie odpoczynek i wytchnienie... Znalazła go téż i biedna moja matka, znalazła pod mogiłą, którą grabarze usypali naprędce.

Ja nie płakałem nic a nic, patrząc na to, tylko mię tak coś ściskało w gardle, tak mnie coś dusiło, żem nie mógł ani słowa wymówić, nawet pacierza na grobie. Stałem tylko, jak słup drewniany, i nie wiem jak długo byłbym tak stał na miejscu, ale Michał wziął mnie za rękę i powiedział:

— Chodź nieboraku! nieboszczki nie wskrzesisz; niech odpoczywa z Bogiem...

Poszedłem.

Weszliśmy do jakiejś bawaryi pod cmentarzem, gdzie Michał kazał dać piwa. Chciwie pochwyciłem kufel, bo mnie coś w gardle paliło; myślałem, że się ochłodzę...

Michał pił dużo i gadał jeszcze więcéj, a jakeśmy wracali do domu, to nie był bardzo pewny na nogach. Poczciwy człowiek, przyrzekał mi, że mnie nie opuści w zmartwieniu, że u niego w stancyi kąt dla siebie znajdę i łyżkę strawy... Nie kłamał: dawał mi kąt i pożywienie za niewielkie pieniądze, i zawsze mi powtarzał, że bieda biedę wspierać powinna.

W parę tygodni po pogrzebie matki była bardzo ładna pogoda i święto. Po ulicach roiły się tłumy ludzi, wesołych, wystrojonych, śmiejących się niewiadomo czego — spieszyli oni na spacery, nad Wisłę, za miasto...

Poszedłem i ja Alejami, Solcem, nad brzeg Wisły... Poszedłem ot tak, bezmyślnie, za drugimi, bo nie miałem co robić i nie miałem się gdzie ze swoim smutkiem podziać... Chodząc tak po nad brzegiem, zobaczyłem Jaśka. Siedział na bulwarze, nogi spuścił nad wodę i ryby łapał na wędkę.

Zbliżyłem się do niego.

— Jaśku—rzekłem z cicha—jak się masz?...

— Cicho, cicho,—rzekł—nie przeszkadzaj!... widzisz, że łapię łososie, takie, co pół kopy na funt... ale—

dodał po chwili — coś tak spasował? wyglądasz, jak śledź dwugroszowy, panie redaktorze!

— Zmartwienie mam — odrzekłem — matka mi umarła...

Janek przestał się śmiać.

— Umarła...—rzekł, kiwając głową, — umarła... ha... to i lepiéj!...

— Lepiéj?—spytałem zdziwiony.

— O ty raku, raku! —odpowiedział z dziwnym jakimś uśmiechem,—cóż to ty sobie myślisz, że śmierć to zły interes?...

Milczałem.

— Procentowy interes, bo tam pod ziemią zupełnie inny porządek... Komornego się nie płaci, ubrania nie drze, a i taki — dodał, wskazując ręką—nie okpi i nie skrzywdzi...

— Kto?

— Nie widzisz go, twego wujaszka, jaki wystrojony, z żoną i jakiemiś facetami siada do łódki. Na Kępę sobie jadą, na zabawę... Bodajeś się zabawił na samym dnie Wisły, szubieniczniku!... Nie żałuj matki, jéj tam lepiéj...

. . . .

Mieszkałem ciągle u Michała i przyjaźniłem się z Jaśkiem, który na wielkiego pana wyszedł, bo nareszcie czeladnikiem został. Dobry to był chłopak, poduczył się nieźle czytać, pisać i rachować, miał lepszy przyodziewek, wyglądał porządnie. Ja wciąż nosiłem Kuryera. Czasem w święto chodziłem z Jaśkiem na Powązki; rozmawialiśmy wtedy o mojéj matce; on mi

zawsze mówił, że jéj tam lepiéj — i pewnie miał racyę.

Przestałem téż matki żałować, choć myślałem o niéj ciągle, i zawsze co rok dawałem na mszę za jéj duszę.

Jednego ranka przyszedł stójkowy i kazał mi iść do cyrkułu. Zląkłem się bardzo, chociaż nie zrobiłem przecież nic złego... ale jak wołają, trzeba iść—więc poszedłem. Tam zaprowadzili mnie do jednego pana, co miał surdut z żółtemi guzikami i siedział przy stole, założonym mnóstwem papierów. Przychodzili tam różni panowie, panie, żydzi—dużo narodu, a ja stanąłem sobie na uboczu i czekałem.

Nareszcie ten pan zawołał:

— Kowalkiewicz Józef! jest?

— Jestem, proszę pana,—odrzekłem.

— Mój kochany, ty jesteś niemiec...

— Ja niemiec?

— Czegóżeś tak oczy wytrzeszczył? juścić niemiec; wiadomo przecież, że kto niemiecki poddany, to niemiec. Paszport twój wyszedł, więc albo się postaraj o prolongacyę, albo sobie jedź do swego kraju. Żebyś mi to w trzy dni załatwił! rozumiesz?

Nie rozumiałem ani słowa, ale odpowiedziałem, że rozumiem i wyszedłem. Rewirowy, który był przy tém obecny i jednocześnie wychodził z kancelaryi, wytłumaczył mi dopiero, że pókim był mały, to byłem zapisany w paszporcie matki, a jak matka umarła, to mi dali paszport osobny, a że już wyszedł, więc trzeba nowego. Powiedział mi téż, że o taki paszport trzeba prosić ja-

kiegoś niemieckiego konsula i wskazał, gdzie ten konsul mieszka.

Nie mogłem sobie tego wymiarkować, co to jest konsul i do tego niemiecki? myślałem, że jaka osoba; tymczasem, jakem tam przyszedł, przekonałem się, że to wcale nie osoba, lecz cyrkuł taki, jak nasz. Tak samo tam panowie siedzą i paszporta piszą, tylko, że gadają ciągle po niemiecku, że ich zrozumiéć nie sposób.

Znalazł się jakiś pan, co się ze mną po ludzku rozmówił, ale paszportu dać nie chciał i kazał mi jechać napowrót tam, gdziem się urodził, do téj saméj wsi. Nie mogłem zrozumiéć, co mu to przeszkadza, że ja u Michała mieszkam i Kuryery roznoszę; alem zdobył się na odwagę i powiedziałem, że nie mam żadnego interesu w tamte strony jechać.

Krzyknął na mnie:

— Jakto nie masz?! do wojska masz iść! czas na ciebie!...

Do wojska!... W jednéj chwili przypomniał mi się mój biedny ojciec,—przypomniało mi się, jak znosili go z woza, z nogą obwiązaną w gałgany, jak mu potém urznęli nogę...

W twardéj, smutnéj doli, człowiek zapomina płakać; więc i ja téż nie zapłakałem, tylko zapytałem spokojnie:

— Proszę pana, dla czego ja mam iść do wojska?

Spojrzał na mnie, ramionami wzruszył i rzekł:

— Głupi jesteś, mój chłopcze.

. . . .

Tyle jest „pamiętników roznosiciela.“ Jakie są dalsze losy ich autora, nie wiem. Może się znajdzie niezadługo w Afryce i zdobywać będzie nowe terytorya dla wielkiéj niemieckiéj ojczyzny... Może padnie, ugodzony nożem murzyna, a może téż zginie z pragnienia i gorączki pod ognistym pocałunkiem afrykańskiego słońca; może, konając gdzie daleko, wśród obczyzny, zwróci zamglone oczy w niebo i stygnącemi ustami jeszcze zapytywać będzie: — dla czego? i za co?—ale któż mu na to pytanie odpowie?!

MŁYNARZ Z ZARUDZIA.

(OBRAZEK WIEJSKI).

W lesistéj okolicy, obfitującéj w łąki, bagna i wody, leży wioska Zarudzie. Rzeczka wije się poza szeregiem chat nizkich, i po łagodnym spadku tocząc swe wody, ginie w ogromnym stawie, zarośniętym po brzegach trzciną i sitowiem.

Rzeczka zowie się „Ruda,“ gdyż w pewnych porach roku woda w niéj przybiera barwę rdzawo-zrudziałą, i ma smak metaliczny, żelazny. Widocznie przypuszczano tu obecność rudy żelaznéj, gdy rzeczkę mianem „Rudy“ ochrzczono, wieś nazwano Zarudziem, a w okolicy było ze trzy Rudki, a Wólki: rudzka, zarudzka, rudawa, rudna, i ktoby tam spamiętał!?

Okolica ta, odległa od linii dróg żeleznych, od świata odcięta, zapadła, miała jakiś smętny, melancholiczny charakter. Szum lasów usposabiał do dumań, a szare mgły, wlokące się nad moczarami, błędne ogniki, migocące nocami, fantazya ludu ubierała w kształty duchów, wiedźm i upiorów... Lud był przesądny, zabobonny, ciemny, ale pracowity — i życie jego upływało spokojnie, cicho, jak woda rzeczki Rudéj, bez gwałtownych wstrząśnień, bez szumu.

Po nad brzegiem stawu ciągnęła się dróżka, z kolejami, wyrżniętemi głęboko w wilgotnym gruncie, z wybojami, w które zapadały się koła chłopskich wózków. Ta drożyna, okrążając staw, dochodziła do wysokiéj grobelki, utrzymującéj w karbach posłuszeństwa wodę, któréj kazano młyńskie koła obracać. Wlokły się tędy ze wsi wozy ze zbożem, a powracały z mąką, a młyn turkotał ciągle, gdyż w promieniu kilkumilowym nie miał współzawodnika.

Niegdyś, przez długie lata, kiedy jeszcze młyn do dworu należał, mieszkał tu stary młynarz Walenty, z córką jedynaczką, śliczněj urody dziewczyną. Poczciwy człowiek był, nie oszukał nigdy nikogo, szanowali go ludzie, i byłby zapewne do saméj śmierci nie porzucił młyna, ale nieszczęście się stało...

Piękna Kasia jakoś późno wieczorem poszła stawidło zasunąć. Nikt nie wie, jakim sposobem, boć przecie robiła to nieraz, ale czy jéj się w głowie zakręciło, czy noga pośliznęła, dość, że padła biedaczka pod koła i śmierć przedwczesną znalazła.

Pochował ją Walenty uczciwie, ciężko nad stratą swoją zapłakał, a potém do dziedzica poszedł, pokłonił mu się nizko, dzierżawy się wyrzekł, i jednego ranka powędrował w świat, nie wiadomo dokąd.

Podobno ludzie, co z Zarudzia na odpust chodzili, widzieli go w Częstochowie i opowiadali, że się jeszcze bardziéj postarzał, że mu duża broda urosła, i że ofiarował się pieszo, o kiju żebraczym, aż do Ziemi świętéj wędrować. Tyle o nim wiedziano w Zarudziu.

Dla aferzystów dzierżawa młyna była bardzo ponętną, to téż gdy Walenty w świat poszedł, przed dworem aż się roiło od interesantów. Poprzyjeżdżali młynarze z dalszych okolic, żydkowie z miasteczek, targowali, krzyczeli, podkupywali jeden drugiego.

Dziedzic, mając tyle ofert, o czas do namysłu poprosił. Tymczasem, gdy się już wszyscy rozjechali, aby po niejakim czasie powrócić i daléj układy prowadzić, zjawił się jakiś człeczyna obcy, bardzo pokorny, cichy, zbiedzony widocznie długą podróżą, i po rozmowie z dziedzicem wziął młyn w kilkoletnią dzierżawę.

Podobno dał ofertę najwyższą, za trzy lata z góry zapłacił, a przytém umiał przemówić do serca dziedzica. Opowiadał, że rodzinę ma bardzo liczną, że z Prus pochodzi, lecz tam musiał sprzedać mizerny kawałek gruntu, gdzie wyżywić się nie mógł. Przyszedł więc tu, aby przytułek jaki znaleźć i spokojnie na kawałek chleba pracować.

Podpisawszy kontrakt, udał się do opuszczonego młyna, który przed tém dokładnie zbadał i obejrzał, i tam rozłożył się na nocleg.

Raniutko, ledwie się widno zrobiło, wstał, zapalił fajkę i, stanąwszy na moście, przypatrywał się okolicy. Punkt obserwacyjny miał bardzo dobry, gdyż młyn znajdował się w samym środku dość obszernéj kotliny, lasami otoczonéj dokoła.

Szwab patrzył długo, długo; na wygolonéj jego twarzy z żółtemi faworytami malował się wyraz chciwości, nozdrza rozdymały się... a w oczach migał blask fosforyczny.

Oskoma go brała—i nie dziw. Przed oczyma jego ciągnęły się pola szerokie, pokryte nieco płowiejącém już żytem, zwartemi ścianami pszenicy, wąsatym jęczmieniem, owsem kiściastym, a pomiędzy temi pólkami, pociętemi jak szachownica w kawałki, zieleniły się garbate zagony kartofli. Na tych pożądliwy wzrok niemca spoczywał najdłużéj... A łąki!! jakby stworzone dla holenderskich krów, nizkie a dające trawę obfitą, soczystą. A las!! Och las! Jakież to kapitały drzemią w tych sosnach czarnych, zaduszanych, wiecznie szumiących, w tych dębach wiekowych, które zdają się żebrać o topór kultury.

Szwab patrzył długo, bardzo długo; potém wydobył z podróżnéj torby kawał czarnego chleba, słoniny, trochę wódki, a posiliwszy się, zamknął młyn na kłódkę i, przewiesiwszy torbę przez ramię, udał się gościńcem ku miastu.

Po kilku dniach powrócił, a za nim nadjechała fura żydowska, na któréj, wśród stosu jaskrawych pierzyn i poduszek, siedziała wysoka, jasnowłosa kobieta z małém dzieckiem u piersi, trzy dziewczyny podlotki i czterech chłopców.

Cała rodzina rozgospodarowała się zaraz we młynie, kobieta zakrzątnęła się koło komina, dziewczęta pobiegły do ogrodu kartofle podbierać, chłopcy zaś sporządzili sobie wędki i ryby łowić zaczęli.

Przyjechało kilka furmanek ze zbożem. Szwab żwawo podniósł stawidła i młyn zaturkotał, głusząc obcy szwargot, rozlegający się w izbie.

Musimy zapoznać się bliżéj z szanownym panem młynarzem. Był to człowiek czterdziestu lat najwyżéj

średniego wzrostu, jak się już powiedziało, zabiedzony, wychudły, o wązkich, zaciśniętych wargach, rysach twarzy ostrych i oczach przenikliwych a sprytnych.

Nazywał się Fryderyk Bentel, po polsku umiał zaledwie kilkanaście wyrazów, ale i z tym szczupłym zapasem radzić sobie umiał, połowę pytań milczeniem zbywając, co wyrobiło mu nawet opinię bardzo mądrego człowieka.

Zauważano téż, że od czasu do czasu chodził do dworu, gdzie miał jakieś konferencye z dziedzicem, i że jeździł co tydzień na pocztę, wysyłał listy i dość znaczną korespondencyę odbierał.

Na młynarstwie znał się nieźle i z roboty jego ludzie byli dość kontenci, co jednak nie przeszkadzało im patrzéć na niego z pewném niedowierzniem i nieufnością.

Po miesiącu pobytu w Zarudziu, Frytz doskonale obeznał się z miejscowością. Znał doskonale granicę gruntów folwarcznych i chłopskich, wiedział do kogo należy każdy kawałeczek pola, lub łączki, jaką ma wartość, jaki dochód przynosi...

W święto. gdy młyn nieczynny był, szwab włóczył się po polach, wszystko plądrował i lustrował.

Nie uszło to uwagi chłopów.

Wojciech Gil, najstarszy we wsi gospodarz, człowiek spokojny i dość zamożny, zwrócił pierwszy uwagę na te peregrynacye młynarza.

— Słuchajta-no kumie,—mówił do najbliższego swego sąsiada, Michała Muchy,—słuchajta-no kumie, co ten szwab tak węszy po naszych polach?

— Ot kucy mu się we święto, to se łazi; wiadomo, bo i cóż ma robić niedowiarek?! do kościoła nie pójdzie, to i łazi...

— Ej! nie, nie, mój Michale, to nie to; powiadam wam, że nie; on tu musi coś niucha...

— Ino wam się tak uwidziało.

— Ale ze dwora gumienny mówił mi, że on i do dziedzica często przyłazi, i gada, i gada; czasem to i bez dwie godziny gadają.

— Ciekawość!!

— Pewnie, że ciekawość; ludzie słyszą, ale chto ich zrozumie?

— Musi po niemiecku gadają.

— Juści, boć to i nasz dziedzic nie co, jeno miemiec, i dlatego miemca do młyna wpuścił. O! nie siedziałby on tu za dawnych państwa—nie!

— Pewnie; ale ja coś słyszałem, że i dziedzic nie wieczny; on się téż ponoś kręci za kupcami, sprzedać chce.

— Żeby choć kto porządny kupił.

— Dałby Bóg miłosierny! jeno mi się widzi, że tu będzie inaczéj...

— Oj, musieliśta wy coś słyszéć, mój kumie?!

Wojciech tajemniczą minę zrobił.

— Wiadomo, żem coś słyszał, i sam nie wiem, co zrobić... ja miarkuję, że dziedzic chciałby folwark na kolonię puścić.

— Ale!

— Tak, tak, mój kumie, a jak, czego Bożechowaj to się stanie, to my gospodarze przepadniemy ze szczę-

tem. Jeszcze z jednym dziedzicem pół biedy, można jakoś połatać, ale jak się tu cała gromada zwali...

— Wiadomo. Ni bydlęciu przejść nie dadzą, ni co...

— A grunta nasze całe pomiędzy rzeką i dworskiem; tedy ja miarkuję, że kiepsko będzie...

Nie dokończył Wojciech, gdy nadbiegł zadyszany wyrostek i krzyknął:

— O rety! tatulu, rety! to się ich najechalo do młyna!

— Kogo?

— A juści kogo?! wiadoma rzec: miemców; tak świargocą, jaź hucy, jak gdyby się pscoły zroiły.

Wojciech na kuma spojrzał.

— A co? — rzekł — widzita...

Chłopak dalej ciągnął:

— Takie świabiska, we śpencerkach, z fajkami, jensze w surdutach, porozsiadały się pode młynem na grobelce, jak wrony, a młynarzowi jeno się ślepie śmieją, tak do nich cościć przemawia, ręcami macha jak wietrak: to tu pokaże, to tam pokaże, i na tatulową łąkę pokazował, i na ten las, co to dziedzic obiecał nam dać za serwitut. Tak het pokazuje, a oni jeno łbami kiwają i rechocą, jak żydy: — jo! jo! jo! I młynarka téż do nich wylazła i tyż dogaduje jo! jo! Postojałem se troche na drodze, popatrzyłem, tymczasem oni jeszcze poświargotali i poszli steczką do dwora, jak nie przymierzając gęsi, a przodem szedł młynarz i precz im pola pokazował, a jeden to się schylił, wziął grudkę ziemi w gębę i pożarł, — żeby się nią udławił psiawiara!!

— Do gęby wzion?—zapytał Wojciech zdumiony.

— A jeno! wzion, sprawiedliwie, i pożarł... i drugie za nim tak samo, jakby jagody zbierali.

— Kumedya prawdziwa!—wtrącił Walenty—i na co to im?...

— Pazerność taka pieska. Taki miemiec to gorsy wilka, wszyćkoby zeżarł, nawet ziemię świętą.. Tedy, powiadasz, Jaśku, że do dwora poszli?...

— A juści, toć patrzyłem swojemi ślepiami; pośli co do jednego, jeno się młynarka kiele młyna ostała, a jeszcze coś krzyczała, świargotała do nich... ale chto ją tam zrozumie?

— Oj kumie!—rzekł Wojciech—nic to dobrego dla nas nie będzie.

— Dyć wiadomo...

— Zniszczenie ino na nas i zguba...

— Wola Boga miłosiernego! cóż tu poradzi?

Wojciech się w głowę drapać zaczął.

— Eh!... poradzić to możeby co i poradził, ale żeby wszystkie za kupą szli. Tylko, że u nas to tak nie bywa, mój kumie; choć, na to mówiący, gromada prawie cała będzie za jedno, to najdzie się drugi i trzeci, co zechce swoim głupim rozumem iść na przekór.

— Prawda, święta prawda, Wojciechu, że jedna paskudna owca całe stado zarazi; toć to i ksiądz na kazaniu to samo powiada... ale zawdy próbowaćby nie wadziło.

— No, juści, tak, trzeba jeno wymiarkować, co miemcy we dworze zrobiły?

— Ale wy będzieta miarkowali, a oni tymczasowie targu dobiją.

— Et! nie bójta się, toć grunt nie bułka za grosz, żeby ją kupić od słowa; a po drugie, że przez kontraktu, przez regenta, téż się nie obejdzie. Trzaby nam z gospodarzamy pogadać... Słuchajta Walenty! pójdźta no wy w jeden koniec wsi, ja w drugi, zwołamy wszystkich, radzić będziem, jak mogąc.

— Ano, niech i tak będzie; pójdę ja, pójdźcie i wy, nawet ja swego chłopca do Rudki palnę zaraz po Rocha,—to chłop mądry i bogaty, dobrzeby od niego téż jakie słowo usłyszéć.

II.

Gdy już ściemniło się i księżyc jasny wypłynął na niebo, oblewając bladawém światłem rzeczkę, staw, pola i lasy, we młynie było bardzo gwarno i wesoło.

Na kominie buchał ogień, a przy nim w ogromnych saganach gotowały się kartofle, któremi młynarka miała swych gości ufetować.

Frytz siedział przy stole z ołówkiem w ręku i obliczania jakieś robił, poczém niemcy wydobywali z woreczków pieniądze i kładli je na stole. Zebrała się spora paczka banknotów, którą młynarz starannie zawinął w papier i do kieszeni schował.

Gwarno było w izbie młynarskiéj. Niemcy rozprawiali głośno, krzyczeli, śmieli się; gościnny gospadarz

flaszę wódki z szafy wydobył, a ta bardziéj jeszcze rozpromieniła twarze. Rozmowa stawała się coraz głośniejszą, wreszcie jeden z nich zaintonował pieśń, inni wtórować mu zaczęli, i przez otwarte okna dźwięki „Wacht am Rhein“ rozległy się nad cichemi polami. Wiatr niósł je na swych skrzydłach do lasu, gdzie powtarzały się kilkakrotném echem. Przebudzone ptaki na gałęziach ze zdumieniem słuchały tego chóru, nie znanego im, niesłyszanego tu nigdy; gałązki na starych dębach i sosnach drżały, jakby przeczuwając w tych dźwiękach motyw zagłady i zniszczenia.

Niemcy jedli i pili, i znowuż śpiewali, a gdy już mieli uciechy do syta i uczuli zmęczenie, pokładli się, gdzie który mógł: we młynie, w stancyi po kątach, a niektórzy na świeżém powietrzu, pod gwieździstém jasnego nieba sklepieniem.

Jeden tylko Frytz nie spał; obliczył raz jeszcze zebrane pieniądze, zawinął je starannie w papier, wsunął do kieszeni i po cichu, nie budząc nikogo, poszedł raz jeszcze do dworu.

Częstym on gościem tam bywał i wiedział, że pan dziedzic późno się bardzo spać kładzie, i że o interesach najlepiéj lubi w nocy rozmawiać.

O tym panu dziedzicu należy powiedziéć słów kilka. Nie dawno, bo zaledwie od lat kilku, przybył w te strony i przybył z jasno określonym celem. Osiedlać się tu, ani gospodarstwa porządnego prowadzić nie myślał; kupił majątek tanio, po to, aby sprzedać go drogo, i znowuż nowéj fortuny na spekulacyę szukać. Przehandlował on już w ten sposób dziesiątki tysięcy mor-

gów ziemi, a gdzie się tylko pokazał, ciągnęła za nim zaraz rzesza kolonistów niemców, którzy nabywali od niego grunta, karczowali lasy i nowe sobie zakładali siedziby.

Pan Wilhelm v. Stern pochodził z Prus, gdzie był mizernym pracownikiem w jakimś kantorze zbożowym; otrzymawszy w spadku kilka tysięcy talarów, porzucił zajmowane stanowisko i przywędrował do naszego kraju szczęścia szukać, co mu się, jak widzimy, wiodło doskonale. Z początku kupił z landsmanem jakiś mały folwarczek, rozkolonizował go, zarobił trochę grosza; późniéj rzucił się na większe afery: nareszcie, rozporządzając już kapitalikiem pokaźnym, stawiał się na wszystkie prawie licytacye i co lepsze majątki kupował.

Szedł on niby w przedniéj straży, a gdzie się tylko zatrzymał, wnet nadciągała za nim gromada ziomków z rodzinami licznemi, i budowała kolonie, w których rozlegała się mowa i pieśni niemieckie.

Zarudzie p. v. Stern nabył bardzo tanio na licytacyi; konkurentów nie miał, gdyż żydkom, którzy nibyto do kupna przystępować chcieli, dał jakieś odczepne, i postąpiwszy kilkadziesiąt rubli nad szacunek urzędowy, stał się właścicielem...

Gdy Frytz wszedł do pokoju, pan v. Stern, wygodnie w fotelu rozparty, paląc fajkę, czytał jakiś dziennik niemiecki, w którym znajdował pożądane wieści z faterlandu.

Zobaczywszy wchodzącego młynarza, odłożył na bok gazetę i spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

Frytz, milcząc, wydobył z zanadrza paczkę pieniędzy i położył ją na stole, poczém obaj ziomkowie zaczęli pocichu rozmawiać, spisywali warunki umowy, około północy dopiero rozstali się. Pan dziedzic zamknął pieniądze w ogniotrwałéj kasie, a Frytz powrócił do młyna, zbudził chłopców, zboże na kosz zasypał i puścił wodę na koła.

Frytz bardzo mało sypiał; myśl dorobienia się, zebrania grosza, odpędzała sen z jego powiek. On pragnął, żeby młyn, i grunt przyległy, i łąki pozostały jego własnością.

Gdy dzień się zrobił, niemcy opuścili młynarską siedzibę i powlekli się w stronę miasteczka, a we wsi zrobił się ruch jakiś niezwykły.

Chociaż dzień był powszedni, nie brano się jednak do pracy; przed chatami ludzie gromadkami stali i rozmawiali z sobą, spoglądając to w stronę dworu, to na młyn, gestykulując żywo.

Wojciech, który najgorliwiéj do sąsiadów swoich przemawiał, chcąc się dowiedziéć, jaki miała skutek wczorajsza konferencya dziedzica z niemcami, udał się do młyna na zwiady, aby Frytza wybadać.

Przyszedłszy, chłopskim zwyczajem, Pana Boga pochwalił; niemiec skinął tylko głową i milczał.

— Panie młynarzu, — rzekł chłop,—możebyście mi dwa korce żyta zmełli, tobym dziś przywiózł.

— Jo, jo.

— To przywieźć, powiadacie?

— Jo.

— A cóż jeno „jo i jo" czy nie umiecie inaczéj gadać?

Niemiec milczał.

— Cóż to wczoraj tyla ludzi u was było?

— To swój.

— Niby z waszych stron?

— Jo.

— A pocoście z nimi do dworu chodzili?

— Grunt kupil.

— Kupili? tak odrazu!

— Jo, jo.

— I las.

— Wsziśtki kupili, my teraz będzie wasza dziedzić...

Chłop plunął.

— Niedoczekanie wasze... cygany!

— Co wy gadal? co wy gadal? wy stara glupia chlop! my kupil, my dal pieniądz, my tu będzie siali i zbieral, i kolonie zrobi. Tak my, my dal gotówki i swoja wlasna praca dal.

Wojciech nie słuchał daléj, odwrócił się i chciał odejść; młynarz pobiegł za nim, wołając:

— Pan Wojciech! pan Wojciech, dwa slowa!

— No, co?

— Patrzyl Wojciech, ten wasz łąka wlazł w mój łąka.

— Dyć w dworską, nie w waszą!

— Wlaśnie to teraz mój ląka; przedal pan Wojciech swój łąka, ja dal dobry pieniądz pan Wojciech, zaraz dal!!

— Idź do starego psa kartoflarzu!—krzyknął rozgniewany Wojciech — bo jak cię zdzielę czém twardém, to ci się wnet mojéj łąki odechce! Widzita go jaki mechanik, bestya!

Mówiąc to, Wojciech zrobił tak energiczny gest ręką, że młynarz jak oparzony odskoczył. Zaklął strasznie i, rzuciwszy na chłopa pełne nienawiści spojrzenie, poszedł napowrót do młyna.

Wojciech powrócił do wsi zły, zagniewany, milczący. Gdy go dopytywano, czego się od niemca dowiedział, machnął niechętnie ręką i mruknął przez zęby:

— Będzieta mieli tera życie!!

Wieczorem przyszedł Walenty i jeszcze kilku gospodarzy i udali się z Wojciechem na osobność do stodoły, gdzie przez długi czas naradzali się, co robić.

Rezultat konferencyi był taki, że Wojciech wózek zaraz wyszykował, szkapinę swoją zaprzągł i obaj z Walentym wybrali się w drogę. Wzięli z sobą worek obroku i trochę siana dla konia, dla siebie kawał chleba czarnego i pojechali na całą noc.

Szkapina wlokła wózek po wyboistych grobelkach, po gościńcu piaszczystym, Walenty drzemał na wozie, a Wojciech, fajkę paląc i na drogę zważając, rozmyślał.

Dumał on o tém, że szwaby i jemu, i całéj wsi wyrządzili krzywdę. Zwyczajnie po chłopsku, rozmyślał, że pojedzie w świat sprawiedliwości szukać, że znajdzie dobrych ludzi, którzy go w ciężkim kłopocie i smutku poratują.

Cóż chłop ma robić? Rozumowi własnemu niebardzo dowierza, więc téż, gdy go jaka bieda przyciśnie, po-

rady w mieście szuka. Tam przecież ludzie piśmienni, przy kancelaryach się kręcą, a pisanie to tak znają, że jak zaczną po papierze machać, to aż pióro piszczy im w garści, niby dusza w czyśćcu. Jak taki nie poradzi, któż poradzi?

Więc też chłopisko stuka ciężkiemi bótami po nierównym bruku miasteczka, rozgląda się wkoło, patrzy to na gmachy urzędów, to na obwarzanki na żydowskich straganach—i myśli, z którejby to strony do takiego piśmiennika przystąpić i gdzie go wynaleźć? To tylko całe szczęście, że nasz świat małomiasteczkowy jest tak znakomicie urządzony, że mądrzy sami szukają głupich, aby im przyjść z radą... Niepodobna zaprzeczyć, że jest to bardzo pięknie.

Po co chłop ma czas tracić, deptać po twardym bruku i w rezultacie nie trafić tam, gdzie pragnie, kiedy, dzięki usłużnym faktorom, będzie zaprowadzony do szynku, posadzony z wszelkiemi honorami na ławie, ażeby sobie po podróży odpoczął; pokrzepiony zostanie wódką i przedstawiony uczonemu juryście, który jest tak w prawie biegły, że, jak sam powiada, potrafi zrobić kozła z barana i barana z kozła...

Gdy Wojciech z Walentym przywlekli się do powiatowego miasteczka i koła ich wózka zadudniły po bruku, dzień się już robił. Słońce patrzyło w brudne szybki okienek i przez wycięte w okienicach serca i półksiężyce mówiło obywatelom miejskim „dzień dobry;“ szynkarze, przecierając oczy zaspane, otwierali swe gościnne przybytki, a stary, białobrody, zgarbiony sługa

bożniczny trzykrotném uderzeniem kija w okiennicę wzywał nabożnych do modlitwy.

Na rynku było jeszcze pusto, tylko dwie kozy wychudłe zbierały resztki rozsypanego obroku, a nędzne, o zjeżonéj sierści psisko, węszyło koło jatek.

Wojciech szkapinę swoją rozkiełznał, torbę z obrokiem zawiesił jéj na łbie, a Walenty również stoczył się z wózka i, poziewając, rozglądał się dokoła.

Jeszcze nie zdążyli dwóch słów z sobą zamienić, gdy z bocznéj uliczki przybiegł zadyszany żydek ze śpiczastą bródką, w wytartym kamlotowym chałacie.

— Dzień dobry, panie Wojciechu! dzień dobry! musieliśta chyba całą noc jechać; z Zarudzia porządny kawał drogi jest!

— A ty zkąd wiesz, że ja Wojciech i że jestem z Zarudzia?

— Oj, oj, ktoby was nie znał?! takie wielgie gospodarz! takie gospodarz to kużde dziecko zna. Dlaczego ja was nie mam znać?! I wy to mnie także musicie znać, bo mnie cały świat zna! Ja sobie nazywam Mendel, Mendel Szpak! Słuchaliście wy kiedy od Mendel Szpak!?

— Nie.

— Aj, waj, panie Wojciechu! tak wam się chce żartować od samego rana. Jakto żeby wy nie słuchali o Mendla?! To nie może być. Jakto? Pierwszy faktor na cały powiatu! aj waj! co ja gadam na powiatu! na cały gibernię! Kto chce zboża przedać, dam jego kupca; kto chce pieniędzy pożyczyć, dam jego takiego bogacza, co pożyczy.

— Nam ta nie potrzeba ni bogacza, ni kupca.

— Ja wiem, co wam niepotrzeba, tylko tak gadam, co wszystkiego można zrobić. Ja wiem, co wam nie potrzeba, i co wam potrzeba, to ja też wiem! Od czego ja jestem Mendel? od tego, żebym wszystko wiedział.

— Co ty tam wiesz! nie bajdurz jeno po próżności, bo nam jenszy interes je w głowie.

— I to ja wiedziałem odrazu, co interes.

Walenty spojrzał pytająco na żyda.

— Oj waj! jeszczeście byli na moście, to ja wiedziałem, że macie interes. Nie dziwujta się, panie Wojciechu, to jest taka prosta rzecz, jak obręcz. Jak chłop jedzie do miasta na targ, to ma na wozie worek, a jak jedzie do miasta za interesem, to ma we wozie tylko torbę z obrokiem. Nu, wy macie tylko torbę. Torbę powiesiliście szkapie na głowę, a interes trzymacie w swojéj głowie i nie wiecie, co z nim robić; a jak wy jego wyjmiecie od swoje głowe i wsadzicie do moje głowe, to zaraz będzie po interesie! Oj, oj! żebym ja miał tyle pieniędzy w kieszeni, co ja już miał interesów w głowie, tobym sobie pytał, co Kråków kosztuje? Jak myślita gospodarze: czy wam kto za to stojenie zapłaci? Chodźta do izby; mój szwagier, Symcha Bas, ma pańske izbe! U niego nawet i panowie bywają. Wczoraj un przyprowadził z Wierzbowa dwa kufa okowity, to ja prawdę powiem, co jeszcze jak żyję takie okowite nie widziałem! Chodźta do niego do izbe, tam znajdziemy na wszystko sposób.

Walenty w głowę się podrapał.

— A no, Wojciechu,— rzekł,—czy tak, czy siak, kieliszek gorzałczyny nie zawadzi, to możeby i pójść?

— Mądre słowo powiadacie, gospodarzu! bardzo mądre! weśta szkapę za grzywę i prowadźcie ją za mną; to niedaleko, zaraz na drugiéj ulicy, koło Szmulowego zajazdu.

Mendel raźnie biegł naprzód i pierwszy stanął przed szynkiem, do którego wepchnął obu chłopów.

Napili się wódki i, usiadłszy na ławie, wyjęli chleb z węzełka i jedli powoli, z rozmysłem, po chłopsku. Mendel do gospodarza coś po żydowsku powiedział, poczém wybiegł na miasto—i niezadługo powrócił w towarzystwie jakiegoś jegomości z czerwonym nosem, obrzękłą twarzą i małemi, bardzo ruchliwemi, oczkami.

Jegomość miał na sobie bronzowy, straszliwie wypłowiały surdut, zielony szalik na szyi, a na głowie zatłuszczoną czapkę z czerwonym lampasem. Na widok tego lampasa, chłopi powstali z ławy.

— Ny, ny, ja wam mówiłem, co przyprowadzę osobę! jaką osobę! Ten pan dla nikogo na świecie nie przyszedłby do szynku.

— To jest przecież z przeproszeniem... traktyernia— rzekła wspaniała osoba, spluwając na widok flaszek, które jéj widocznie robiły oskomę.

— Tak, tak sobie omylałem... to jest traktyernia! ale i do traktyerni pan by dla byle kogo nie przyszedł!... ale jak Mendel prosi, to pan przyszedł!... Siadajcie sobie, panie Wojciechu; pan adwokat nie obrazi sobie; każcie no tylko dać wódki i śledzia, bo pan adwokat ma taką naturę, że lubi zaraz, jak sobie wstanie, wy-

pić kieliszek wódki i przekąsić śledzia. Pan adwokat ma bardzo delikatne zdrowie.

— Cierpię, z przeproszeniem, na... wątrobę.

— Pan adwokat ma takie frybre wątrobowe i bez to może mało jeść... tylko do picia ma ochotę... Siadajcie, siadajcie; powiedzcie, co macie za przeszkodę, pan adwokat zaraz wam doradzi... z czarnego zrobi białe, z białego zielone. On może obrócić kota z ogonem tak, co cały sąd gębę sobie otworzy!

Wojciech odchrząknął raz i drugi, westchnął ciężko i powoli zaczął opowiadać swe kłopoty:—jako się młynarz we wsi osiedlił, jako całą gromadę szwabów sprowadził, jako dziedzic chce szwabom grunt na kolonie rozprzedać, i jako z tego będzie zarudzkim chłopom ciężkie życie i los marny. Bydlęciu przejść nie dadzą, w pola worywać się będą, łąki wypasą, a chłop cóż z taką czeredą poradzi? za łby się z nimi wodzić, pomstować, to i obraza boska, i nie ładnie. Ciężko będzie...

Pan adwokat coraz sobie z flaszki dolewał, śledzia jadł i słuchał; gdy zaś Wojciech swą relacyę skończył, uczony jurysta spojrzał na niego badawczém okiem i spytał:

— No, tak cóż ty chcesz?

Chłopi spojrzeli zdumieni po sobie.

— Jakto co chcesz? — odezwał się Wojciech—to chcę, żeby miemcy gruntu nie kupili, żeby nam się krzywda nie działa. Co mam chcieć więcéj? niech se idą zkąd przyśli i ju, jeszcze krzyżyk na drogę damy...

— Durny ty, mój człowiecze!—rzekł, poważnie kiwając głową, jurysta.

— Wiadomo: żebym nie był durny, tobym rady nie szukał po ludziach,—rzekł Wojciech, spoglądając ponuro.

— Ot, ja tobie powiem: dziedzic chce sprzedać?

— Dyć chce...

— A niemcy chcą kupić?

— Juści, że chcom; grunt ładny, łąka czysta, las—aż im się ślepie świecą do niego, jak wilkom...

— Pieniądze mają?

— Pewnie, że mają; żeby nie mieli, toby gruntu nie kupowali.

— Tak widzisz, braciszku, interes głupi... Dziedzic chce sprzedać... oni chcą kupić... pieniądze mają... tak któż co na to poradzi? Wolna wola...

— Im wolna wola, nam krzywda...

Adwokat głową kręcić zaczął.

— Trudno... trudno... ale, jakto powiadają, wszystko można, tylko... ostrożno; możeby się sposób znalazł... ale, widzisz bracie, sposób drogi! a wy chłopy, nie przymawiając, macie węża w kieszeni...

— Zapłacimy, panie, zapłacimy!

— Uni wszystko zapłacą...—rzekł protekcyonalnie Mendel.

— To się wie, że zapłacimy, aby jeno było za co.

— Będzie za co! — rzekł Mendel—dlaczego nie ma być za co? jak tylko kto ma czém płacić, to ma i za co płacić, to wiadomo, nawet małe dzieci wiedzą o ten interes.

— Ahm—mruknął pan adwokat,—a ileż wy możecie zapłacić?!

— Abo ja wiem?—odpowiedział Wojciech.

— No, ale tak mniéj więcéj?

— Nie znawca ja na to, a zreśtom u nas po chłopsku to je tak, że kto ma na jarmarku, na to mówiący, wieprzka albo świnię, to sam gada, wiele za nią chce.

— Pfe Wojciechu! jak to można przykładać wielgie sprawę do takiego paskudne stworzenie! Pfe, pfe! pan adwokat może sobie obrazić.

— Ja tam nie przymierzając rzekłem...

— No, przymierzając, czy nie przymierzając, to dla mnie równo, a pieniądze grunt. Sprawa ciężka. Kosztów, stempli potrzeba, bez tego nic zacząć. Znasz, bracie, że kto smaruje, ten jedzie, a kto nie, to nie.

— Siłaż to na one stemple?

— Ja tobie, Wojciechu, ot co powiem. Ja teraz od was dla siebie nic nie chcę. Wy dobrzy ludzie, ja z wami wódki wypił, śledzia zjadł, no i ja łubię was; ale na to, co mówiłem, trzeba dać trzy czerwone papierki...

— To niby trzydzieści rubli,—wtrącił Mendel.

Chłopi spojrzeli po sobie.

— Kupa grosza!—rzekł Wojciech, drapiąc się po czuprynie.

— Kupe! jakie to jest kupe!?—zawołał Mendel—to jest całkiem nic! Miarkujcie tylko sami: taka wielga sprawa! sam papier, co do niéj potrzebny, toby na wasze furę nie zabrał! a rachujcie teraz piórów, atrament, pieczęciów, numerów! Żebym ja tak zdrowie

miał, jak to jest bagatelka, głupstwo jest, te trzy papierków!... Nie macie sobie nawet co namyślać, tylko wyjmować z kalite i dać...

— Jak dać, to dać, ale co będzie?

— Obaczycie co będzie; obaczycie, co pan adwokat tak niemców zakręci, co uni nie będą wiedzieli, z której strony mają swoje głowe.

— Widzita panie—mówił Wojciech—my miarkujemy, że pan wie, co zrobić, ale chcemy i my téż wiedziéć.

— Na co wam to wiedziéć? albo takie wiedzenie zmieści się w wasze głowe?

— Et, nie plótłbyś jeno po próżności! toć my od siebie nie przyszli, jeno od gromady; a jak się gromada spyta, cośmy zrobili, to musi otworzymy gębę i będziemy stojeli jak kołki?...

— Masz racyę, człowieku,—rzekł adwokat—masz racyę; tak wytłumacz gromadzie, że ja się wziął do tego interesu i że wszystko będzie dobrze.

— I niby miemcy gruntu nie kupią?

— Nie kupią.

— A jak im dziedzic sprzeda, to co będzie?

— Niech sprzedaje; wyprocesujemy.

— A proszę pana, żeby, na to mówiący, tak po dobroci pójść do dziedzica i prosić go, żeby, co ma miemcom sprzedać, nam sprzedał. Poszukawszy u nas między gospodarzami, pieniędzyby się zdybały.

— Phi! próbować można, ale to nie na wiele się przyda, próżno tylko kłaniać się będziecie czort wie komu.

— Jušci wolelibyśmy po dobroci.

— Durny ty, człowieku, z dobrocią twoją razem, durny, jak stołowe nogi. Dobrocią będziesz wojował, a on cię jeszcze za drzwi wyrzuci.

— Co ma wyrzucać?!

— Idź, próbuj. Cóż to, jego nie znam? Rób, jak chcesz, mój bracie, wola twoja... Tylko, jeżeli masz ochotę, żebym ja waszą sprawę prowadził, to daj na koszta.

— Co będziecie bałamucić, Wojciechu?—rzekł Mendel—dajcie na koszta. Z próżne klektanie to jest tylko klektanie, to trzy grosze nie warto!... Macie co robić, to róbcie, bo pan adwokat nieczasowy człowiek jest. Pójdźcie do kancelaryi, w Icka domu, na górze, to znajdziecie tam pełno ludzi jak na jarmarku.

— No tak, tak, ja mam zajęcia, u mnie czas drogi, ja tu nie będę z wami bałamucił.

Wojciech sięgnął do kieszeni, wydobył długi, płócienny woreczek, zawiązany sznurkiem, i odwróciwszy się do ściany, zaczął liczyć papierki.

— Niech pan porachuje, je trzydzieści, jak jeden.

Oczki pana adwokata aż się zaiskrzyły na widok gotówki, na którą także i Mendel, i pan Symcha Bas baczną zwrócili uwagę. Widocznie mieli oni z uczonym prawnikiem jakieś rachunki i radzi się byli zahypotekować na téj summie. W kilku słowach porozumieli się, że należy chłopów jak najprędzéj wyprawić, a pana jurystę zatrzymać i nie wypuścić, dopóki długu nie zapłaci. Szło im także i o to, aby pan adwokat to, co ma przepić, przepił na miejscu, nie gdzieindziéj. Tak

się téż i stało. Mendel pod jakimś pozorem wyprowadził chłopów na miasteczko, a Symcha tak umiał winkelkonsulentowi coraz to świeże flaszki podsuwać, że czcigodny ten mąż upił się najrzetelniéj i o Bożym świecie zapomniał.

Powierzywszy sprawę swoją w tak godne i pewne ręce, chłopiska wracali do domu z niejaką otuchą i nadzieją. Gwarzyli jednak między sobą, że najlepiéj będzie wyrzec się danego adwokatowi zadatku i z samym dziedzicem w zgodny sposób sprawę załatwić, choćby zaofiarowawszy wyższą cenę.

Już słońce zniżyło się ku zachodowi, gdy Wojciech z Walentym przywlekli się do Zarudzia. Oczekiwała na nich gromada; ledwie z wozu zsiąść zdążyli, otoczyła ich kołem.

Długo radzili chłopiska i już była noc późna, gdy się zaczęli rozchodzić do domów.

III.

W kilka miesięcy późniéj, już na jesieni, gdy listki na drzewach żółknąć i opadać zaczęły, a na polach zrobiło się już pusto, w Zarudziu zaszły wielkie zmiany.

Dziedzic odjechał. Do dworu, w którym mieszkał, sprowadziło się kilka rodzin kolonistów, niemców było wszędzie pełno.

Jedni we dworze pomieszczenie znaleźli, drudzy zajęli czworaki i domy po służbie folwarcznéj, inni we

młynie u swego przywódzcy, Fryca, gościnność znaleźli, a byli i tacy, co pobudowali sobie szałasy i w nich jak cyganie mieszkali. Wszędzie, gdzie się było obrócić, rozlegała się mowa niemiecka.

Dawni oficyaliści: ekonom, karbowy, fornale, parobcy, służba leśna — poszli szukać chleba gdzieindziéj.

W staréj stodole urządzili sobie koloniści dom modlitwy, i jeden z nich, starszym zwany, czytał im co niedziela ewangelie, poczém wszyscy chórem, kobiety i mężczyzni, śpiewali psalmy.

Przybysze należeli do sekty anabaptystów—i, ku wielkiemu zdumieniu chłopów, odbywali w rzece ceremonię chrztu nad trzydziestoletniemi osobami.

Chłopi trzymali się od niemców zdaleka, nie rozmawiali z nimi dla bardzo prostéj przyczyny, że ich zrozumieć nie mogli; patrzyli jednak na nich z podełba i trzeba było tylko lada sposobności, aby tłumiona nienawiść wybuchnęła z całą siłą...

Chłopi opierali się téj inwazyi, chodzili do dziedzica, prosili, ofiarowali większą sumę. Frytz wszakże bystre miał oko; widział te zabiegi i potrafił je sparaliżować. Cichaczem dorzucił jeszcze jakąś sumkę w imieniu swych landsmanów i interes do skutku doprowadził, témbardziéj, że i sympatye dziedzica miał za sobą.

Fakt się stał; niemcy całą gromadą napłynęli do Zarudzia.

Znowuż Wojciech z Walentym puścili się do miasta i, przy pomocy Mendla, odszukawszy swego adwo-

kata, zaczęli mu robić wymówki, że ich oszukał, że wyłudził pieniądze, a ostatecznie nic nie pomógł.

Pan adwokat uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Durny wy naród! teraz dopiero zaczniemy z nimi tańcować.

Poczém, zasiadłszy przy stole, szeptał do chłopów długo, a w miarę jak mówił, ci kiwali głowami i potakiwali mu.

— Teraz wiecie już sposób?—zapytał.

— Wiemy, wiemy.

— I rozumiecie dobrze?

— Wielga rzecz! toć na to niepotrzeba wielgiego rozumienia, jeno wziąść dobrą kłonicę w garść i nie dać przystępu i tylo!

— Ot, tak, to wasza chłopska rzecz, a co później będzie, to moja rzecz; ja będę wiedział, jak kota ogonem obrócić... w tém moja głowa.

Ażeby pan adwokat mógł zawczasu przygotować wszelkie podania, prośby i stemple, znowuż chłopi złożyli kilkadziesiąt rubli, lecz tym razem wracali do domu rozpromienieni, rzeźwiejsi.

Symcha Bas nie żałował gorzałki, namawiał ich nawet, aby małą baryłkę wzięli z sobą do domu.

Po powrocie Wojciecha z miasteczka i odbytéj konferencyi z gromadą, oczy całéj wioski zwróciły się na las; zdawało się, że tam jest punkt ciężkości wszelkich kwestyi spornych. Dniem i nocą chłopcy i wyrostki z Zarudzia włóczyli się po lesie, lub w blizkości lasu, i pilnowali, czy który niemiec drzewa nie ścina.

Jednego ranku ze dwadzieścia furmanek kolonistów toczyło się ku lasowi, na każdéj furze siedziało kilku szwabów z siekierami. Czas im już było pomyśléć o budowaniu stałych siedzib, a że wraz z gruntem nabyli las, niegdyś dworski, więc téż jechali po drzewo, jak po swoje.

Zaledwie jednak pierwszy łoskot siekier rozległ się w boru, do Wojciecha wpadł zadyszany wyrostek, wołając:—Tatulu, tatulu! miemcy są w boru!

Okrzyk ten zaalarmował całą wieś. Chłopi, uzbroiwszy się w pałki i w siekiery, rzucili się w gromadzie, jak który mógł,—na wozach, wierzchem i pieszo. Za nimi dążyły baby z pomiotłami i kosiorami, wrzeszcząc na całe gardło. Oprócz małych dzieci, nikt nie pozostał w chałupach.

Gdy cała czereda do lasu wpadła, wysunął się naprzód jakiś chłop młody, pijany trochę, i zamachnąwszy się kłonicą, byłby pierwszego spotkanego niemca trupem położył, lecz Wojciech powstrzymał go w porę.

— Stać! — krzyknął grzmiącym głosem — stać, nie ruchać się! — a zwróciwszy się do niemców, zapytał:

— Jakiém prawem, psiawiary, rąbiecie tu drzewo?

Grad przekleństw niemieckich był mu odpowiedzią.

Wojciech powtórzył pytanie, sołtys z żółtą blachą na piersiach, oznaką jego wioskowéj godności, wystąpił naprzód.

— Oddajta, miemcy, siekiery—rzekł—i idźta se z Bogiem, po dobroci; za to, cośta wyrąbali, zaskarżymy

was do sądu, a teraz idźta, pokiśmy dobre, bo będzie z wami biada: nas tu jest więcéj, powiążemy was, jak baranów, i odstawimy do wójta.

Na krzyk nadbiegł Frytz młynarz.

— Ho! ho!—zawołał,—pan sołtys chce być gospodarz w nasz las? Obaczymy, jak będzie skarżył pan sołtys! To Wojciech takie sztuk zrobil... ja Wojciech zapakuje w kryminal.

Stary Wojciech naprzód wystąpił.

— Nie szczekaj, niedowiarku! pókim dobry, proszę cię.

— Szczekal? kto szczekal? Zdjąć czapka, głupia bydlo! my tu dziedzic, my pan! to nasza łas, nasza grunt.

Wojciech powoli, z zimną krwią, zbliżył się do niemca,—a trzeba wiedzieć że siłacz to był na całą okolicę sławny: pięć ćwierci pszenicy z łatwością na plecy zarzucał; wzrostu był dobrego, a grubą, narobioną swą łapą szyny żelazne mógł skręcać. Może dla tego, że tak silny, spokojny on był chłop i nie chciwie do bitwy się rzucał.

I teraz trzymał ręce przy sobie, pobladł tylko trochę i, zbliżywszy się do niemca, rzekł spokojnie:

— Słuchaj no, szwabie, nie ujadaj. My tu przyszli, bo takie mamy prawo: las je wasz, ale serwitut nasz i bez to wziąć nie damy. Chcesz, prawuj się z nami, skarż do sądu, ale ani patyczka nie ruchaj, bo wnet ci łapę przetrącę. Nie kręć tym łbem czerwonym, jeno zkąd przyszedłeś, tam se idź.

— Hola! — krzyknął rozłoszczony niemiec, — ja tobie dam!

— Powiadam ci, psia wiaro, żebyś odstąpił, bo źle będzie. Was tu jest szwabów ze dwadzieścia, a nas cała kupa, a zresztom na jednego naszego pięciu takich kartoflarzów bajki.

Frytz krzyknął na niemców, aby ścinali drzewa. Rozległ się stuk siekier.

Wojciech obrócił się do chłopów:

— Słuchajta, ludzie! jesteście mi świadki, żem prosił po dobrości — nie słuchali. Nie dajmy swego! Bierzmy ich, chłopcy! związać, jeno politycznie, gnatów nie łamać!

Rzekłszy to, zbliżył się do Frytza. Niemiec porwał siekierę i z wściekłością, zgrzytając zębami, rzucił się na chłopa.

Wojciech zamachnął pałką i siekierę wytrącił z rąk Frytza, tak, że tylko furknęła w powietrzu; poczém, grube swe palce wsadziwszy w czuprynę młynarza, podniósł go do góry, jak kota, i krzyknął:

— Wiązta no mu chłopy kulasy, żeby tak nie wierzgał śkaradnie.

W jednéj chwili młynarz, skrępowany jak baran, leżał na ziemi, miotając przekleństwa, grożąc sądami, zemstą, krwią i ogniem.

— Szczekaj, szczekaj! — rzekł Wojciech — pies cię ta bestya rozumie.

Tymczasem chłopi załatwiali się z pozostałymi niemcami. Zawiązała się formalna bójka; krzyk, wrzask, jęki napełniły powietrze.

Jeden kolonista, żylasty, tęgi szwab, podoficer landwery, zranił dwóch chłopów siekierą, drugiemu znów chłopi przy szamotaniu się wyrwali rękę ze stawów, a co było przy tém guzów, siińców, skaleczeń, a przekleństw i krzyku—któżby spisał.

Kilku kolonistów, widząc, że się źle dzieje, zemknęło cichaczem z pola bitwy. Krzakami, gęstwiną, pełzając prawie, przedzierając się przez gąszcza i bagna, wymknęli się na łąkę, dopadli pierwszych lepszych koni, jakie się tam pasły, i tak, jak byli, z podrapanemi twarzami, w poszarpaném odzieniu, pocwałowali do najbliższego miasta zaalarmować władzę i policyę.

Bójka, jak łatwo było przewidziéć, skończyła się zupełną porażką dla kolonistów. Powiązanych złożyli chłopi na furmanki i pod silną strażą odwieźli do wójta.

Wiadomość o zajściu w lesie prędko doszła do wioski i do kolonii niemieckich.

Zrobił się gwałt, z jednéj i drugiéj strony zaczęły się zbiegać baby i dzieci. Wszystko to pędziło na plac bitwy z krzykiem, nieopisanym wrzaskiem, a gdy dobiegło do wozów, na których chłopi wieźli swoich jeńców powiązanych, wszczęła się bitwa, gwałtowniejsza jeszcze, bo babska—bój na paznogcie i zęby.

Leciały poszarpane chustki z głów, różnokolorowe szmatki z ubrania, krew płynęła po twarzach i rękach. Długo ukrywana nienawiść i złość teraz w całéj pełni wybuchła. Chłopi z trudnością zdołali rozerwać walczące z sobą kobiety i utorować drogę dla wozów, na których skrępowanych niemców odwieźli do gminy.

Wójt, rozważywszy dobrze całą sprawę, kazał ich wszystkich wpakować do kozy.

Nie długo jednak tam byli zamknięci. Skoro noc nadeszła, wyłamali kraty w chlewiku, służącym za prowizoryczne więzienie, i dawszy stróżowi parę drobnych szturchańców na pamiątkę, zemknęli do swoich siedzib.

Pan adwokat z miasteczka, główny reżyser scen opisanych powyżéj, aż zatarł ręce z radości, dowiedziawszy się o fakcie wyłamania krat z chlewiku i ucieczce aresztowanych. Przez całą noc on siedział w izbie Wojciecha i stylizował kilkuarkuszową prośbę, w któréj wyliczył wszystkie przestępstwa niemców: Naruszenie praw serwitutowych, nieposłuszeństwo względem sołtysa, zbrojny opór, obelgi słowne, któremi znieważono wojta, wreszcie wyłamanie krat w areszcie gminnym, ucieczka i pobicie stróża.

Trzeba oddać panu adwokatowi tę sprawiedliwość, że podczas pisania owego memoryału był prawie naczczo, wypił albowiem tylko, jak się wyrażał, „głupie trzy kwaterki araku dla rozjaśnienia myśli.“ Tylko „dla rozjaśnienia myśli,“ gdyż taką miał już naturę, że, gdy bardzo umysł sforsował, doznawał zaraz pewnéj czczości i osłabienia. W podobnych wypadkach, jedyném skuteczném dla niego lekarstwem był arak, albo, w braku takowego, zwyczajna okowita.

Dopiero po ukończeniu pracy, znakomity jurysta pokrzepiał nieco swój nadwątlony organizm, używając jednak więcéj pokarmów płynnych, aniżeli stałych, gdyż te ostatnie nie szły mu na zdrowie.

Chłopi, znając już to jego usposobienie, chcieli mu dogodzić, prosili, ażeby się nieco wzmocnił i pokrzepił; lecz szanowny jurysta propozycyi nie przyjął i zażądał od Wojciecha, żeby go jak najprędzéj odesłał do miasta. Dostał za swą prośbę znaczne stosunkowo honoraryum, zgarnął je skwapliwie do kieszeni i odjechał — nie wprost gościńcem, ale bocznemi dróżkami.

Miał w tém swój cel.

W Zarudziu, z powodu wczorajszéj bójki, spodziewanym był lada chwila przyjazd władzy; on zaś, chociaż taki znakomity prawnik i znający się biegle na rozmaitych formach i przepisach, nie lubił się z przedstawicielami władzy spotykać. Czuł do nich wyraźną niechęć jeszcze z dawniejszych czasów, kiedy go o sfałszowanie jakiegoś dokumentu posądzono.

Było to wprawdzie nie w tém miasteczku, lecz daleko gdzieś w innéj gubernii; ale zawsze ci panowie od sprawiedliwości lubią spisywać swoje pamiętniki i rozsyłać je po wszystkich miastach. Brzydki zwyczaj.

Gdy jurysta manowcami i bocznemi drożynami przekradł się do swego domicilum, do Zarudzia zjechali urzędnicy.

Rozpoczęło się badanie, śledztwo, a potém ludzie coraz musieli jeździć do różnych sądów i urzędów.

Koloniści i chłopi patrzyli wrogo na siebie: pierwsi nie wchodzili już więcéj do lasu, drudzy trzymali w nim straż nieustanną.

Sprawa toczyła się swoim porządkiem.

Wprawdzie znalazł się ktoś, co proponował pogodzić zwaśnione strony, zawrzéć z niemcami układ i za

służebność wziąć kawał lasu na własność; ale chłopi ani słuchać nie chcieli.

Pan adwokat dokumentnie wytłumaczył im, że, jak się uprą i procesować zaczną, to calusieńki las dostaną i wszystkie łąki, a niemców na cztery wiatry wypędzą.

IV.

Frytz Beutel nie mógł zapomnieć téj chwili, w któréj Wojciech podniósł go za czuprynę jak kota i kazał związać chłopom.

On, Frytz, waleczny Frytz, który do austryaków i francuzów strzelał, jak do kaczek, on, przywódca główny kolonistów i największy bogacz między nimi, został tak sponiewieranym! i przez kogo? przez półdzikiego chłopa, azyatę, nie mającego idei ani o kulturze wielkiego narodu, ani o jego odtylcowych karabinach!

To téż, gdy dostrzegł Wojciecha zdala, marszczył krzaczaste brwi rude i spoglądał z podełba, jak wilk.

Wojciech jednak na to nie zważał. Pilnował swoich łąk, żeby w nich młynarski inwentarz szkody nie robił; uprawiał swój grunt, jeździł do pana adwokata na narady, ciągle był czynny, ruchliwy i cała wieś spoglądała na niego z uszanowaniem, jak na swego przewodnika i obrońcę.

Raz w nocy wyszedł na łąki, aby obejrzéć, czy w nich kto szkody nie robi.

Idąc, szeptał pacierz. Blady sierp księżyca jaśniał na wysokości, powietrze było ciche i spokojne.

Ścieżka, prowadząca ku łąkom, wiła się wśród wierzb płaczących, nad samym brzegiem stawu, gdzie szumiały trzciny wysokie, pochylając ciągle i podnosząc puszyste, aksamitne pałki.

Zdawało się Wojciechowi, że w tych trzcinach jakiś szelest usłyszał.

Stanął, obejrzał się wkoło raz i drugi; ale nie dostrzegł nic.

Trzcina tylko szumiała jak przedtém, wydając szelest suchy. Gałązki wierzbiny kołysały się nad wodą, a gdzieś na bagnach odzywał się ptak błotny.

Wojciech szedł ku swéj łące powolnym, równym krokiem; w ręku miał kij, którym się podpierał.

W górze ciągnęły się chmury, księżyc wyglądał niekiedy z poza nich i wówczas drzewa wychylały się z ciemności, woda pokrywała się migocącą łuską srebrną. Po chwili znowuż tarcza księżycowa schowała się za chmurę i ciemność ogarniała łąki, wodę, oraz drzewa nadbrzeżne.

Wojciech szedł śmiało. Oczy jego przyzwyczajone były do ciemności, a przy tém znał miejscowość doskonale; każde drzewo, krzak, każdy zakręt ścieżki były mu znane.

Tyle lat tu przeżył!

Łąka Wojciecha zaczynała się zaraz za olszyną. Szereg dużych drzew był niby linią graniczną pomiędzy terytoryum dworskiém, dziś należącém do niemców, a włościańskiém.

Dochodząc już do olszyny, Wojciech znowuż usłyszał szelest; zdawało mu się, że jakiś człowiek jest w pobliżu, że zeschła gałązka chrupnęła mu pod stopą.

Stanął, obejrzał się i nadsłuchiwał — lecz szmer znów ucichł.

Chłop machnął ręką niechętnie, zły sam na siebie, że mu się coś przywiduje.

Nie było to jednak przywidzenie.

Cień jakiś przesuwał się ostrożnie między drzewami, chował się za niemi, to się pod krzakami czaił, to znowuż przypadał do ziemi i jak wąż pełzał po trawie.

Chmury napływały coraz większe, zaczęło się robić parno, podniósł się wietrzyk i kilka grubych kropli deszczu upadło.

Te krople grube, ciężkie padały dość rzadko z początku, następnie coraz gęściéj, gęściéj, aż zamieniły się w gwałtowną ulewę.

Zerwał się wiatr silny, a deszcz, uderzając w liście drzew i w trzciny nadbrzeżne, robił szum niesłychany.

Wiatr chwiał gałęziami olch, miotał na wszystkie strony wątłą wierzbiną, szarpał sitowia i trzciny.

Była to przerażająca muzyka rozszalałéj ulewy. Wojciech, chcąc przed deszczem się schronić, usiadł pod drzewem, głowę wtulił między ramiona i półgłosem odmawiał pacierz.

Owa postać tajemnicza, która przed deszczem kryła się za krzakami i pełzała w trawie, jak wąż, teraz zbliżała się szybko, pewna, że szum wiatru i szum ulewy zagłuszy odgłos jéj kroków.

Osłonięty cieniem nocy, człowiek zbliżał się z szybkością i stanął może o dwa kroki za plecami Wojciecha.

Pochylił się nieco naprzód i zamachnął z całéj siły kołkiem, który trzymał w ręku.

Dało się słyszéć głuche uderzenie, jęk bólu niedokończony, przerwany, i Wojciech powalił się na ziemię, jak kłoda.

Zabójca widocznie pewnym był swéj ręki i ciosu, gdyż nie spojrzał nawet na ofiarę swéj zbrodni, tylko szybko na bok uskoczył; pałkę wbił głęboko w błoto wśród trzciny, a sam wsiadł w małe czółenko i, z gorączkowym pośpiechem wiosłując, na środek stawu wypłynął.

Ciemność nocy i ulewa zasłaniały go zupełnie.

. . . .

Rano wspaniale weszło słońce. Krople deszczu wisiały jeszcze na gałęziach, szkliły się na listkach drzew i na trawie! Z kominów chat dym wznosił się prosto, słupem ku niebu, w wiosce było gwarno, ludzie wybierali się w pole do pracy.

W chacie Wojciecha niepokoić się zaczęto. Gdzie się podział stary? — pytano, — co się z nim stać mogło? Wiedziano, że wychodził w nocy na łąkę, co zresztą było rzeczą powszednią, gdyż prawie codzień to czynił. Może z łąki poszedł do sąsiedniéj wioski do wójta?... przypuszczano, że tak być mogło, tém bardziéj, że nieraz starowina tam chodził, a nie miał zwyczaju opowiadać się nikomu.

— Ha, poszedł to i poszedł, przecież nie małe dziecko, trafi do chałupy.

W ten sposób perswadowała sobie Wojciechowa, ale oto już i południe nadeszło, już się ku wieczorowi słońce schylać zaczęło, a tu Wojciecha jak niéma, tak niéma.

Wyszła kobieta na próg, przysłoniła ręką oczy od słońca i patrzy na drogę, ale próżno — nie widać.

Dopiero przed samym wieczorem dwóch chłopaków bosych, wystraszonych, wpadło do wsi z krzykiem okropnym.

— Olaboga! ludzie, olaboga! — wrzeszczeli jak opętani.

Drogą przechodził właśnie sołtys.

— A czego się tak drzesz, raku jeden z drugim?— rzekł surowo,—czyś wilkołaka zobaczył?

— Oj nieszczęście, nieszczęście!—wołał chłopak, dzwoniąc zębami ze strachu.

— Gadaj, pędraku, jak? co? gdzie?—pytał zaniepokojony sołtys.

— A juści gadaj,—odrzekł chłopak,—duch w nas ledwie... my byli z Jaśkiem na łące...

— Po coś tam łaził?

— Za ptakami, ale nie było ptaków, nie należliśmy ptaków, jeno Jasiek wlazł w trzcinę i chciał kapelusem rybków dostać, ale nie dostał, bom ja zaraz krzyknął, kiele miemcowéj łąki... hen pod olszyną, taki bielusieńki, het mu gębę wyblichowało, jak płótno, musi tak bez deszcz, co do samego rana padał. Ja mówię do Jaśka: chodź, ale on nie poszedł, bo się bojał i ja się

bojałem, i uciekliśmy oba bez łąki, i bez Słowikowy owies, i Kaśka Zawodzianka krowy pędziła, i krzyczy: słuchajta! ale nic my nie słuchali, jeno perliśmy do wsi, na przełaj i bez płot, aj!...

— Powiesz, ty utrapieńcze, raz, co jest!? — krzyknął rozgniewany sołtys, chwytając chłopaka za czuprynę.

— Oj, puśćta, bo mi cały łeb obedrzecie!

— To gadaj, raku, porządkiem! co jest!

— Oj! już go niéma, niéma go! — krzyknął drugi chłopak, — pomarł na śmierć!

— Kto?!

— Wojciech, Wojciech pomarli!

— Gdzie?

— Dyć leżą tam pod olsyną, na łące, taki bieluśki jak płótno, nawet oczów nie mają zamkniętych, jeno patrzy.

Usłyszawszy to, sołtys puścił chłopaka, wbiegł do chałupy, krzyknął na sąsiadów i w kilku pobiegli na łąkę.

Istotnie, pod olszyną leżał trup Wojciecha. Obejrzeli go i nie dostrzegli nigdzie śladów pobicia, ani ran.

— Ha!—zakonkludował sołys — zmarł nieborak, wola Najwyższego Boga! Jeno dziwno mi, toż dyć wczoraj chodził najzdrowszy.

Chłopi, wzdychając, wyprostowali ciało biednego Wojciecha, a jeden z nich, unosząc głowę, zawołał:

— Patrzajta, patrzajta! nie swoją śmiercią on umarł; obaczta no, jak to mu głowa z tyłu chrobocze, niby garnek rozbity.

Sołtys dotknął głowy Wojciecha i westchnął ciężko.

— Za nasze krzywdy on zginął — rzekł.—Niech no was dwóch zostanie na warcie przy nieboszczyku, a my chodźmy do młyna, może tam co najdziemy.

Zrozumieli chłopi i w milczeniu poszli za sołtysem.

Młyn był nieczynny. Koła stały nieruchomo, a woda, przeciskając się wązkim strumykiem przez zamknięte stawidła, szemrała smutnie.

Sołtys do drzwi zapukał. Były zamknięte, nikt nie odpowiadał.

— Może w polu są śwaby? — zauważył któryś chłop.

— Nie szkodzi; poczekamy,—rzekł sołtys.

I usiedli chłopi na mostku, czekając aż kto z młyna się zjawi.

Sołtys westchnął ciężko i rzekł do swego sąsiada:

— Grzesna rzec kogo posądzać, ale mnie się widzi, mój kumie, że w tém je miemiecka ręka...

— Pewnie, pewnie... Boska ręka, a potém miemiecka; widać sądzono mu było biedakowi...

— Hm... musiał go zamordować w nocy...

— Burza szkaradna była, deszcz lał; ja zbudziłem się zaraz po północku i wyjrzałem bez okno, to taka ulewa była, zem się jeno przezegnał. Myślałem, ze cały świat zmiecie, ze drzewa z korzeniami powyrywa... a wiatr tak pomstował, tak piscał...

— Oj prawda... I w taką to noc trza było naszemu Wojciechowi ginąć, przez świętej spowiedzi, nie po ludzku...

— Ha... dopust Boży... ale cichojta! młynarka z pola idzie; nie mówta nic, ja sam będę do niej gadał.

— Dobra wieczór, pan soltys,—odezwała się nadchodząca kobieta,—ja zbieral zielsko dla prosiąt. Pan chcial? co pan chcial, pan soltys?

— My to niby do waszego męża, według podatku...

— Ja, ja; ja wiem, co wy zawsze według podatek; tu duża podatek jest! Aber Frytz niema, pojechal Frytz do miasto, interes mial... nie prędko wróci... Powiedz pan soltys wiele podatek? ja placi, bo Frytz dlugo być w droga.

— A, moja pani młynarko, kiedyż to wasz mąż wyjechał?

— Jeszcze wczoraj, bardzo raniutko.

— Raniutko?...

— Ledwie słonc zaświecil.

— A w nocy nie był w domu?

— Nie byl, ani troszki nie byl... daleko jechal!

Chłopi spojrzeli po sobie, zdziwieni.

— Co pan soltys tak pyta?—rzekła młynarka.

— Ano, nic, tak się pytam... myślałem, że jest wasz mąż...

— Niéma, niéma—on jechal.

— Tu u nas, widzicie, wypadek się stał,—mówił powoli sołtys—nieszczęście, a że niedaleko ode młyna, więc myśleliśmy, że wasz mąż co wie...

— Jaki nieszczęście?

— A juści... Wojciecha ktoś zabił... na łące... dziś w nocy...

— Ach! Herr Jesus!—wrzasnęła przerażona niemka—ach, Herr Jesus! i pan może myśli, że to Frytz?... och, nie! nie!

— Nie, nie myślę; jeno tak, po somsiedzku, chciałem się spytać... może Frytz co słyszał? może widział, czy kto nie chodził w nocy nad staw, na łąki?

— Ach jej! ach jej! — powtarzała niemka, drżąc z przerażenia —aber to nie... nie Frytz! to nie Frytz, to nie Frytz! to nie można Frytz... Ach!...

Sołtys nie odpowiedział na te wykrzykniki, skinął tylko na chłopów i poszli ku wsi napowrót.

Nazajutrz przyjechali urzędnicy z powiatu, sędzia śledczy i lekarz.

Zwłoki starego Wojciecha przeniesione zostały do stodoły, zrobiono na nich sekcyę, przeprowadzono śledztwo. Pomimo wszelkich usiłowań, niepodobna było wykryć winowajcy. Podejrzenie padło na kolonistów, gdyż ciągłe spory i zatargi ich z chłopami, których głównym przywódzcą był Wojciech, wzajemne odgróżki i chęć zemsty, dość wyraźnie wskazywały przypuszczalny motyw zbrodni. Żadnych jednak dowodów, żadnych nawet poszlak nie było. Każdy niemiec z osobna udowodnił, gdzie się znajdował i co robił podczas owéj fatalnéj nocy, a o Frycu nie było nawet mowy. Widziano go, jak wyjeżdżał ze wsi, widziano późniéj w miasteczku, gdzie się zatrzymał na popas.

Biedny Wojciech, zabity, jak opiewały akta śledcze, „narzędziem tępém, twardém,“ spoczął w łonie matki-ziemi, na któréj całe życie pracował. Pomiędzy

grube narobione palce wetknięto mu święty obrazek i zabito wieko trumny na zawsze.

Cała wieś była na pogrzebie, z okolicy nawet dalszéj poprzychodzili ludziska, aby mu oddać ostatnią posługę. Wiatr roznosił daleko odgłos pieśni żałobnych i jęk dzwonów; para wołów ciągnęła powoli wóz, na którym położono białą, ze świeżych tarcic zbitą, trumnę.

Kiedy już ksiądz ostatnią odmówił modlitwę, kiedy bryły ziemi, rzucane rękami życzliwych, z głuchym łoskotem uderzały w trumnę, przez tłum, z nieludzkim krzykiem, zaczął się przeciskać obdarty, wpół nagi, torbami obwieszony żebrak.

Znano go dobrze w Zarudziu, gdyż od czasu do czasu odwiedzał tę wioskę; znano go i dawano mu zawsze jałmużnę. Z litości wspierano go, a po części z obawy, gdyż był niby nawiedzony, niby opętany, a wiadomo, że taki różne rzeczy może... z upiorami się zna i z wilkołakami jest za pan brat... Bano się owego żebraka, tembardziéj, że był niemową, i gdy się odezwał do kogo, to takim przerażającym głuchym krzykiem, że aż mrowie przechodziło po skórze. Zwano go Jackiem niemową, albo głupim Jackiem, albo nawiedzonym.

Teraz, przedarłszy się przez tłum, rzucił kij na ziemię, padł na twarz nad grobem i zaczął krzyczéć tak dzikim, tak przerażającym głosem, aż się wszyscy pomimowolnie w tył cofnęli.

Po chwili zerwał się, pochwycił kij i groził nim komuś strasznie, przewracając oczami; ale gniew jego trwał niedługo, bo wnet rozśmiał się jakimś idyoty-

cznym, głupkowatym śmiechem, wziął z nad grobu trzy bryły ziemi, schował je do torby i, nie oglądając się na nikogo, wyszedł z cmentarza i przez pola podążył w stronę lasu.

V.

Mogiła Wojciecha dobrze już trawą porosła, a biały krzyż, na niéj postawiony, szarawą barwę przybrał; od czasu, w którym stała się zbrodnia w Zarudziu, upłynęło dwa lata, a jednak nawet śladów mordercy nie wykryto.

Ludzie bąkali coś pomiędzy sobą, szeptali, lecz głośno nikt odezwać się nie śmiał. Zresztą czasy złe przyszły. Klęski, ciężki przednówek, więc każdy, kłopotami swemi zajęty, nie miał czasu myśléć o czém inném. Różne klęski spadły przez te dwa lata na wieś. Nieurodzaj, grad, pomór na bydło ciężkiém brzemieniem zwaliły się zarówno na chłopów, jak i na kolonistów niemców. Chłopi łatwiéj jeszcze te klęski znosili, gdyż byli między nimi ludzie zasobni, mający jaki taki grosz na ciężką godzinę, ale niemcom było daleko trudniéj. Co mieli gotówki, to wydali na kupno gruntu, za który nawet jeszcze nie zapłacili wszystkiego, licząc na to, że się zboże urodzi i że dług z dochodów spłacą.

Nadzieje te w zupełności zawiodły. Poprzedni właściciel upominał się o resztę należności, przynaglał,

sądem groził. Kilkakrotnie Frytz jeździł do niego i o zwłokę upraszał—ale napróżno.

Niemcy byli przygnębieni i smutni, a nawet krzywem okiem spoglądali na Frytza za to, że ich tu na złą dolę sprowadził. Pan młynarz pocieszał ich, doradzał wytrwałość, niektórym z własnéj kieszeni pożyczał pieniędzy i obiecywał, że spór z chłopami prędko się skończy, a wtenczas będą mogli las sprzedać i resztę należności poprzedniemu właścicielowi zapłacić. Próbował nawet różnych środków, aby w drodze polubownéj zamianę przeprowadzić; nie udawało się to jednak, gdyż pan „adwokat“ chłopów z opieki nie wypuszczał.

Podburzał ich nieustannie, a obiecywał, że nietylko'ów las, który im za służebność niemcy ofiarują, ale wszystkie grunta i łąki, niegdyś dworskie a obecnie niemieckie, do nich należéć będą.

Frytz próbował układów. Wiedział on, że drogą oporu rzecz nie prędko dojdzie do ładu, a szło o to, żeby jak najprędzéj las sprzedać i za otrzymane z tego źródła pieniądze resztę szacunku za grunt zapłacić. Rzecz była pilna, gdyż poprzedni właściciel czekać nie chciał, procesem groził. Niemcy zaś burzyli się i szemrali przeciwko Frytzowi, że ich w złe interesa wprowadził i naraził na straty.

W ogóle w usposobieniu, nawet w powierzchowności młynarza, zaszły w ostatnich czasach wielkie zmiany: przygarbił się, postarzał, opuścił. Rozmawiając z ludźmi, nie patrzył im prosto w oczy, ciągle oglądał się po za siebie, jakby go jakieś widmo straszyło.

Po nocach sypiać nie mógł. Przez całe noce światło w młynie nie gasło. Dziwili się temu chłopi i szeptali między sobą, że Frytz z dyabłem jakieś konszachty mieć musi... albo, że go jakiś robak toczy i dręczy...

Nasyłał młynarz różnych ludzi z namowami, z prośbami; ale chłopi, przez doradzcę swego burzeni, ani słuchać chcieli o układzie.

— Co oni chcą?—mówił Frytz—ja dal dwa włoka dobry porządny las za marne para fury leżanina i kilka żerdzi od płotu, a wy nie chciala, wy glupia!

Chłopi śmieli się tylko.

— My — mówili — zgodzilibyśmy się z jednym dziedzicem, żeby był człowiek jak się patrzy, prawdziwy dziedzic; ale was tu je cała kupa śwabów, to nie chcemy i tylo!

Frytz klął, gniewał się i pienił ze złości, ale to nic nie pomogło,—chłopi byli niewzruszeni.

W dodatku spotkało go nowe nieszczęście. Ów Jacek niemowa, głupkowaty, a jak ludzie mówili, opętany, zaczepiał go przy każdém spotkaniu, patrzył na niego błędnemi oczami, wygrażał mu pięścią i kijem.

Raz na jarmarku uderzył go nawet kijem wobec mnóstwa ludzi.

Frytz ujął się za swój honor i wraz ze świadkami awantury pociągnął niemowę do policyi.

Tam Jacek wrzeszczał jeszcze bardziéj; wymachiwał rękami, pokazywał na Frytza, uderzał się po głowie i rzucał na ziemię. Chciał coś opowiedzieć, coś wyznać, a im bardziéj się zapalał, z tém większą

trudnością chrapliwe słowa wydobywały mu się z gardła, krew uderzała do głowy, oczy wychodziły na wierzch,—pienił się, jak szalony.

Burmistrz, myśląc, że ma do czynienia z pijanym lub waryatem, kazał go zamknąć do kozy. Sześciu silnych ludzi ledwie zdołało go wepchnąć, biedaka, do tego prowizorycznego więzienia.

Zamknięty nie uspokajał się jeszcze, krzyczał jak opętany, szarpał kraty w oknie, miął na sobie ubranie, wściekły, że go ludzie zrozumieć nie mogą.

A on chciał im tylko coś powiedzieć—parę słów powiedzieć jedynie...

Nakrzyczawszy się, naszarpawszy kraty napróżno, biedny niemowa runął na ziemię i zasnął.

Nazajutrz, gdy stróż otworzył drzwi aresztu, biedny niemowa był zupełnie spokojny. Uśmiechał się tylko idyotycznie i milczał.

Stróż dał mu znak ręką, że może wyjść. Jacek więc pozbierał swoje torby, zawiesił je na plecach i odszedł tak spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło.

Wychodząc z miasteczka, bawił się krzesiwkiem, jak dziecko, uderzał stalą o krzemień i zadmuchiwał iskry, a przytém śmiał się głośno.

Gromada żydziaków odprowadziła go za miasteczko, krzycząc hura! rzucając na niego grudkami ziemi i błotem.

On jednak nie zważał na to; szedł spokojnie, powoli, krzesząc iskry i śmiejąc się do nich. Wyszedłszy za miasto, nie udał się gościńcem, lecz poszedł miedzami, kierując się w stronę Zarudzia.

Noc głęboka zapadła już. Wioska była uśpiona, nawet stróże nocni chrapali jak najęci, leżąc na przyzbie pod karczmą. Od czasu do czasu pies szczeknął, lub puszczyk się w staréj budowli odezwał, i znowuż nastawało milczenie.

Powietrze było spokojne, tylko ze strony wschodniéj lekki i ciepły wietrzyk pociągał i kołysał gałązkami drzew.

Nagle na dachu młyna pokazał się płomyk; mały z początku i blady, jak błędny ognik na bagnisku, to błyskał, to znikał, jakby sobie żeru szukając; nareszcie uczepił się starych, zeschłych gontów, ugryzł je aż trzeszczéć zaczęły, rozszerzał się, wzmagał, rozlewał jak woda po spadzistéj dachu powierzchni, wreszcie strzelił w niebo słupem ognistym i oświetlił staw, las, łąki i całą okolicę dokoła.

Gdy już cały dach objął, Jacek-niemowa z idyotycznym uśmiechem usiadł sobie niedaleko, na wzgórku pod lasem, krzesał ogień krzesiwkiem i śmiał się idyotycznie, głupkowato.

Ogień przebudził mieszkańców młyna z twardego snu.

Napół nadzy, przerażeni, wybiegli oni z płonącego budynku, płacząc i miotając się w rozpaczy.

Frytz tylko, jak skamieniały, załamawszy ręce, przyglądał się zniszczeniu swego mienia z obojętnością pozorną.

Ludzie z kolonii i ze wsi nadbiegli, ale o ratunku nie mogło być mowy.

Ogień z szybkością pożerał wiązania, belki i ściany. Dach zapadł się z trzaskiem, miliony iskier uniosły się w górę, dym buchnął kłębem gęstszym, czarniejszym i całe mienie młynarza zginęło bezpowrotnie.

Jeden kolonista dostrzegł Jacka, siedzącego na wzgórku i bawiącego się krzesiwkiem; krzyknął na drugich i pobiegł ku niemu.

Szturchali, popychali podpalacza, ale on przyjmował to obojętnie i śmiał się.

Gdy go przyprowadzono do pogorzeliska, gdy ujrzał, że z całego młyna tylko czarny, okopcony komin pozostał, nie mógł radości swéj utaić, podskakiwał do góry i klaskał rękami, jak dziecko.

Potém chwycił Frytza za połę i, bełkocząc coś niezrozumiale, ciągnął go, pokazując w stronę łączki, na któréj przed dwoma laty Wojciech został zabity.

Oczy młynarza błysnęły strasznym blaskiem, zachwiał się, zbladł, jak kreda, i silném uderzeniem pięści odrzucił niemowę daleko.

Jacek padł na ziemię, a patrzącym zdawało się, że już nie wstanie o swéj mocy, tak bowiem silnie i z takim impetem był pchnięty.

Lecz niemowa widocznie twardą miał naturę. Ryknął przeraźliwym głosem, zwinął się w kłębek, jak gadzina, a potém nagle, gdy się tego najmniéj spodziewano, skoczył na Frytza. Chwycił go rękami za faworyty, gryzł, drapał, tak, że niemiec padł na ziemię, nie mogąc się obronić od téj napaści.

Zaledwie zdołano wydrzéć młynarza ze strasznych objęć niemowy. Podrapany, pokrwawiony, Frytz uciekł

do najbliższéj kolonii, a Jacek wpadł znowu w stan apatyi i patrzył przed siebie bezmyślnie, uśmiechając się głupkowato.

Jako podpalaczowi, schwytanemu prawie na gorącym uczynku, związano ręce. Nie bronił się wcale i bez oporu dał się odprowadzić do gminy, gdzie zamknięto go w areszcie.

Tam rzucił się na garść słomy, służącéj aresztantom za posłanie, i zasnął ciężkim, twardym snem.

Piękny ranek zajaśniał nad rumowiskiem spalonego młyna. Tylko okopcony komin sterczał ku niebu, a z przepalonych belek i krokwi wznosił się w górę dym.

Nad brzegiem stawu głośno płakała Frytzowa, dzieci wystraszone tuliły się do niéj.

Młynarz w stodole najbliższego kolonisty leżał na słomie rozgorączkowany, rzucał się, mówił od rzeczy i wymachiwał rękami.

Kilku niemców z przerażeniem słuchało jego słów urywanych, bez związku rzucanych w malignie. Spoglądali oni to na Frytza, to na siebie, i zdawało im się, że rozjaśnia się przed nimi straszliwa jakaś tajemnica.

I we wsi między chłopami szemrać zaczęto. Zachowanie się niemowy dawało dużo do myślenia. Dlaczego, pytano, ów Jacek żebrak, kaleka, taki spokojny dotychczas, ów Jacek, który nigdy nikomu wody nie zamącił, a nawet o jałmużnę natarczywie nie prosił, naraz stał się podpalaczem i z taką zawziętością straszną rzucał się na młynarza?

Zaczęto przypominać sobie szczegóły pogrzebu Wojciecha, dziwne zachowanie się niemowy wówczas, i przypomnienia te bardzo łatwo naprowodzały na domysł, że Frytz albo sam zabił Wojciecha, albo téż do téj zbrodni należał. Zapewne niemowa, który włóczył się nocami po łąkach, lasach, musiał być świadkiem tego morderstwa.

— Trzebaby dać znać do sądu, — rzekł sołtys w kilka dni po opisanym wypadku.

— Aha! dajcie—odpowiedział jeden z chłopów— i co z tego będzie? Niemowa, choćby co i wiedział, przecie nie powie, bo nie może, i będzie tylko włóczenie się próżne i mitręga. Niech go tam psy zjedzą tego miemca! Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, zapłaci mu za tę krzywdę, którą nieboszczykowi i nam wszystkim wyrządził.

— Zawdy, mój kumie, — wtrącił inny, — lepiéj podać do sądu; po co taki zbójca między nami ma być? Zabił Wojciecha, a potém może jeszcze was zabije, albo sołtysa, albo mnie. Zbójcy pasuje nie na roli siedziéć, ale w kryminale, a ja wam powiadam, że ta Wojciechowa śmierć, to jego sprawka, przysiągłbym...

— I pewnie, że nie czyja sprawka.

— Ja zara miarkowałem, że to tak, ale jak się za rękę nie złapało, to trudno.

— Zawdy lepiéj będzie go odstawić do sądu. Pójdźmy tedy z sołtysem i weźmy go.

Chłopi zaczęli się naradzać i namyślać. Stanęło na tém, że sołtys miał pojechać do gminy, i jeżeli wójt

uzna przypuszczenie za słuszne, to jutro rano Frytz zostanie odstawiony do więzienia.

Stosownie do tego postanowienia, sołtys z dwoma chłopami do gminy pojechał. Po odbytéj z wójtem konferencyi, postanowiono, nie czekając ranka, téjże nocy jeszcze Frytza uwięzić i w ręce sprawiedliwości oddać.

Sprowadzono dwóch strażników, i nim północ nadeszła, udano się na kolonie zarudzkie.

Jeżeli jednak chłopom bardzo szło o to, ażeby śmierć Wojciecha została pomszczoną, to Frytzowi również wiele zależało na tém, ażeby z sądami do czynienia nie mieć. Rozumiał on bardzo dobrze, że postępowanie niemowy, aczkolwiek nie demaskowało go zupełnie, jednak rzucało na niego podejrzenie, które mogłoby go łatwo przed kratki sądowe zaprowadzić.

Osądził zatém, że lepiéj będzie nie narażać się na tego rodzaju przykrości — i zniknął, jak kamfora. Najusilniejsze poszukiwania w całéj kolonii nie doprowadziły do rezultatu; Frytz przepadł, jak kamień w wodę.

Na zapytanie wójta Frytzowa odpowiadała głośnym płaczem, koloniści zaś twierdzili, że nie wiedzą nic o swoim przywódcy.

— Zapewne ze zmartwienia, że go takie nieszczęście spotkało,—mówili—uciekł gdzie w las i tam może sobie życie odebrał, a może padł ze znużenia i wilki go rozszarpały.

Rozesłano ludzi w różne strony, rozpytywano się po drogach, szukano w lesie — napróżno jednak; Frytz przepadł i już go nigdy w Zarudziu nie widziano.

Żoną jego i dziećmi zaopiekował się najstarszy z kolonistów, Wilhelm Knoch, który téż i interesa wszystkie po nim objął.

VI.

Dawny właściciel, nie mogąc należności swéj od niemców odebrać, rozpoczął kroki egzekucyjne i zagroził kolonistom wywłaszczeniem.

Ciężki czas przyszedł na nich: pieniędzy nie mieli, a co gorsza, brakło im Frytza, który wszystkie interesa ich dotychczas prowadził i swoim sprytem umiał ich z kłopotów wyciągać.

Pisali téż listy do swoich, do „Vaterlandu", chcąc aby świeży transport niemców przyszedł i ziemię od nich odkupił; sami zaś mieli zamiar daléj na wschód wędrować, gdzie ziemia tańsza, a dorobek łatwiejszy. Lecz i to łatwém nie było. Tego rodzaju sprzedaż nie dokonywa się tak prędko... czasu na nią potrzeba. Zresztą, skoro tylko jaki niemiec przywędrował w te strony, dowiedziawszy się od żydków o sprawach i zatargach z chłopami, zmykał gdzie pieprz rośnie i nie chciał słuchać o kupnie.

Spalonego młyna nikt nie odbudowywał, a i Frytzowa z dziećmi wyniosła się z kolonii. Pojechała prawdopodobnie za granicę do męża, a przyciśnięci potrzebą niemcy zaczęli z chłopami konferować, proponując sprzedaż swoich kolonii.

Pan adwokat, dowiedziawszy się o tém od Mendla, natychmiast do Zarudzia przyjechał.

— Co wy robicie, ludzie?!—zawołał, wpadłszy do izby sołtysa.

— Co mamy robić?

— Podobno kupujecie grunta od niemców?

Chłop poskrobał się w głowę.

— Ha,—rzekł,—jakby nie chcieli drogo, to dlaczego nie? mamy trochę pieniędzy.

— Durny wy naród! — rzekł z politowaniem pan adwokat—i cóż wy będziecie kupować?

— Co? juści wiadomo co... łąki, grunt, las.

— I będziecie za to pieniędzmi płacili?

— Toć pewnie, że nie śmieciami?

— Cha! cha! — rozśmiał się doradca — durny wy naród, powtarzam, aj durny!

— Bez co my mamy być durne?

— Bo widać pieniędzy u was za dużo.

— Ni za dużo, ni za mało, trocha jest.

— I chce wam się płacić za to, co i tak wasze?

— Ale tak samo pan gadał, jak miemce kupowali, że to nasze, a dlatego kupili i siedzieli, i nieboszczyk Wojciech bez nich marnie zginął i przez świętéj spowiedzi życie skończył. Teraz oni znów chcą sprzedać, a pan znowu powiada, że nasze.

— A jakbyś wiedział, że wasze.

— Może ono i nasze, ale prędzéj nie nasze, skoro było przódy dziedzicowe, a tera je miemcowe; a dziś, jak my nie kupimy, to będzie znowu miemcowe, albo żydowskie, albo jakie, według tego, kto się napatoczy i kupi.

— Durny wy naród! prawujcie się, to nikt nie kupi.

— Eh, panie! co z tego prawowania? jeno mitręga, włóczęga i koszt.

— Opłaci się! powiadam, że się opłaci.

— Ale! pan nam jeno gruszki na wierzbie pokazuje, ino w gębie oskoma, a w brzuchu pusto; a tak, jak człek kupi, to będzie przynajmniéj wiedział, że ma swoje; będzie se orał, siał, pana Boga chwalił, ta i spał spokojnie przez kłopotu.

— Widzę, że was ktoś już nabuntował.

— Co miał buntować?

— Ty mnie, braciszku, nie okpisz; mam ja nos.

— Wiadomo, co pan ma nos, i to porządny, niby ogórek po świętym Jakóbie; ale my woleli się poradzić takiego, co ma głowę.

— Patrzaj go, jaki mądry! o głowie rozprawia, a sam bez głowy żyje.

Chłop się roześmiał.

— Nie będziemy pożyczali od pana,—rzekł,—dość już tego okpiwania.

— Co to! obelgi!? skarżyć będę! do kryminału wsadzę!—Walenty powoli zbliżył się do doradzcy, ujął go za ramię, obrócił ku drzwiom i wypchnął na ulicę...

— Oto droga do sądu—rzekł.

— Ach! łajdaki, chamy przeklęte, bydło! ja was nauczę rozumu!—wrzeszczał obrażony jurysta—ja was!...

Ogólny śmiech był mu odpowiedzią.

Pan adwokat wszakże, zamiast do sądu, powlókł się na kolonie do niemców i długo bardzo z nimi konfe-

rował; ale zapewne z nieszczególnym rezultatem, gdyż mu nawet furmanki do miasta nie dano i, jak nie pyszny, pieszo musiał powracać.

W sprawę chłopów z niemcami wdał się proboszcz i dwóch obywateli z sąsiedztwa. Dzięki ich staraniom, układ przyszedł do skutku. Chłopi kupili kolonie, a niemcy, zabrawszy manatki, powędrowali na wschód szukać tańszéj ziemi i szczęścia.

Rozstano się w sposób zgodny; chłopi nie pożałowali im nawet furmanek do najbliższego miasta.

W kilka tygodni po wyjeździe szwabów, Zarudzie odmieniło swoją postać. Domy i zabudowania kolonistów poznoszono, niektóre zaś przerobiono na swojski ład. Młyn odbudowano; jest on teraz dużo większy: nowe, białe jeszcze koła kręcą się prawie ciągle, spieniona woda spada z nich, burzy się i kłębi, jak w odmęcie.

I młynarz jest nowy; wyszukali go chłopi za granicą... aż w sąsiednim powiecie! Sławny to na całą okolicę mechanik, podobno nawet od biedy zegar potrafi naprawić, umie téż wasągi wikliną wyplatać i inne delikatne roboty wykonywa.

Wieś cała dumna jest, że takiego majstra posiada, okolica jéj zazdrości. I słusznie, bo młynarz wyuczył kilku chłopaków pleść kosze i na każdy jarmark posyła te wyroby. Półkoszki zarudzkie zjednały sobie rozgłos, i każdy szanujący się gospodarz nigdy innych nie kupi.

Jako jedyna pamiątka po niemcach, zostało kilkadziesiąt drzewek owocowych. Młodzizna to jeszcze, niewiadomo co z niéj wyrośnie; ale chłopi podzielili się

niemi i poprzesadzali do swych ogródków—ciekawi, jak „niemieckie gruszki“ smakować będą.

Dobrze jest we wsi, zgodnie, spokojnie, cicho; życie płynie jednostajnym trybem—niby strumyk wśród łąki.

Niemowę nie długo trzymali w więzieniu. Sąd widział, że ma biednego szaleńca przed sobą i kazał, żeby go do szpitala oddano. Tak się téż i stało; ale szpitalne wygody nie smakowały Jackowi, wolał widocznie ciągłą tułaczkę o chłodzie i głodzie, wolał się włóczyć po polach i lasach... Przy pierwszéj téż sposobności uciekł.

Co prawda, nikt go nie gonił i do powrotu nie zmuszał, więc téż biedny niemowa przywlókł się w swoje strony, bardziéj jeszcze obdarty i wynędzniały, niż dawniéj, ale uśmiechnięty, wesoły. Ktoś mu z litości dał starą sukmanę, to miał czém grzbiet okryć, a chleba w każdéj chałupie dostał.

Frytz przepadł, jak kamień w wodę. Od czasu spalenia się młyna nikt już o nim we wsi nie słyszał, przypuszczali chłopi, że go dyabeł żywcem pochwycił i zabrał jak swego.

Naturalnie była to czysto chłopska hypoteza, w rzeczywistości zaś Frytz się znalazł i innemi drogami, omijając Zarudzie, jak zapowietrzone miejsce, zdaleka, pociągnął z gromadą świeżych kolonistów na Wołyń. Podobno kupił spory kawał ziemi, również nad rzeką, i młyn buduje. Dorobi się majątku niezawodnie.

Pewnego dnia przyjechał do Zarudzia pan Mendel Szpak, wielki faktor, wielki znawca wszystkich interesów, pierwsza głowa w całém mieście. W okolicy stać miała kawalerya, więc téż Mendel wysłany został przez

bogatego kupca w celu skupowania siana, na którém można było robić korzystne interesa.

Zarudzie obfitowało w łąki, gospodarze więc mieli zawsze dużo siana na sprzedaż. Mendel wiedział o tém i najpierw do Zarudzia przyjechał.

— Aj waj! aj waj!—mówił do Walentego,—jakie wy tera bogate! jakie fortuny macie! Naprzeciwko was, zarudzkich gospodarzów, to każdy obuwatel kapcan, hrabia kapcan! książę kapcan! wszystkie kapcany jest... Nic wam nie brakuje na świecie, chyba mleko od kure! No! trochę siana, toby wam się zdało; wy macie bardzo paskudne łąków, tu nie można kupić półtora funta siano!

— Co ty pleciesz, człowieku! dyć tu łąki rarytne, siano niby siafran.

— Ny! co z tego, choć uno siafran, ale mało go jest, z jakim sposobem możecie co sprzedać? Chyba na wiązki do miasta.

— Bajbugo jeden! toć tu je ze czterdzieści stogów na sprzedaż!

— Aj waj! aj waj! co ja słucham!... Wiele powiadacie? czterdzieści stogów?!

— A jeno, może nawet i więcéj.

— To też kiepsko jest.

— Dlaczego?

— Bo teraz cene spadniało. Kto tera siano chce kupić?

— No to niech stoi; na wiosnę ludzie kupią. Ale powiedz-no, Mendlu, co robi nasz hadwokat?

— Ten gałgan!?

— O, gałgan! a jakieś go nam stręczył, to mówiłeś, że to wielki hadwokat?

— Tak, tak, ja mówiłem prawdę, i tera powiem prawdę: un buł wielgi adwokat i wielgi gałgan téż—to jest dwa prawde, na moje sumienie! Un był taki prawnik, co nawet nie mógł umierać bez sądu.

— Albo umarł?

— Niech jemu dyabli wezmą z takiém umarciem? powiedzcie sami, czy to porządne ludzie tak robią? Ny— między ludzie to jest tak, czy w waszym zakonie, czy broń Boże w naszym zakonie: jak kto umiera, to sobie leży w łóżku, modli sobie do Pana Boga, żeby miał miłosierność dla niego; un—umiera, a ten to wiecie, jak zrobił? Un przyszedł do mego szwagra, do Jankla Bas,—znacie jego, on ma takie rarytne wódkę. Un do niego przyszedł, kazał sobie nalewać wódki, przytknął jeno do gęby i szojn! przewrócił sobie, kieliszek stłukł... nowy kieliszek, na moje sumienie!—i umarł. Zrobiuło się gwałt, przylecieli strażniki, nie dali jego ruchać, potém przyszedł sąd, pokrajali mu... tfy! całe szynk strefnił paskudnik! I na co un to zrobił? albo ja wiem? un miał z tych chłopskich interesów duże pieniądze.

— Musi majątek ostawił.

— Oj ostawił! niech moje wrogi taki majątek ostawiają!! Cała parada, ostawił dwa butelki—jedne całkiem próżne, a w drugiéj może było nie cały półkwaterek.

— To ci sukcesya dopiero!

— Sukcesye! niech je dyabli wezmą! ładne sukcesye; oba te butelki dał mój szwagier na kredyt!!

KONIEC.